Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

MAGAZYN *na* MAJÓWKĘ

FOT. JAKUB WŁODEK

Marek Kondrat

„Dzień świra" łączy Polaków ▶18

PROSTO Z POLSKI

Pokolenie roztropnych rowerzystów

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

JULIA SZEREMETA

Jej ciosy ranią teraz bardziej

▶10

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908150 18>

Kradną rowery zamiast samochodów ▶14

„Zależy mi na relacji" Jak faceci nakłaniają do cyberseksu ▶16

Żołnierze z TikToka Putin rekrutuje pod Himalajami ▶22

Porażka Rosji Ukraina i USA zawarły sojusz gospodarczy ▶4

Piątek-niedziela, 2-4 maja 2025 | Redaktorzy prowadzący **Marek Markowski, Sławomir Łopatyński** | Cena gazety **11,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 101.10898 Nakład 111 tys. + 302 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl cd54021495

Państwo bezradne wobec takiej formy wojny hybrydowej

Braun dymi, Putin się cieszy

To był niegroźny happening? Bzdura. W podobny sposób jak najazd Grzegorza Brauna i jego zwolenników na magistrat w Białej Podlaskiej zaczynały się ruchawki w miastach Donbasu. Tłuszcza nacierała na gmachy administracji, zdzierała flagi, a potem ogłaszała swoje rządy. A na koniec czołgami przyjeżdżali Rosjanie. Przesadzam? Do granicy z Białorusią, wasala Rosji, jest z Białej Podlaskiej ledwie 30 kilometrów. Z takim sąsiadem nigdy nic nie wiadomo. A gdyby taka akcja miała miejsce w Suwałkach, na przedpolu strategicznego przesmyku? Braun nie kryje przecież swoich prorosyjskich poglądów. Nie ma przypadków, są tylko znaki.

Napaść Brauna pokazała, że na pewną formę wojny hybrydowej państwo polskie jest zupełnie nieprzygotowane. Radzimy sobie z powszechnymi rosyjskimi cyberatakami, stawiamy odpór dezinformacji. Polska jest jednak sparaliżowana wobec aktów przemocy. Policja zamiast interweniować przyglądała się tylko temu, jak Braun wznieca tumult pod urzędem miasta w Białej Podlaskiej i zdejmuje z gmachu flagę Ukrainy, wywieszoną w geście solidarności z ofiarami Putina.

Tak samo było w 2023 r. gdy Grzegorz Braun niszczył mikrofon w Niemieckim Instytucie Historycznym. Kiedy zaatakował gaśnicą świecznik chanukowy w Sejmie, straż marszałkowska pozostała bierna, przeciwstawiła mu się tylko lekarka Magdalena Gudzińska-Adamczyk. Braun prysnął jej gaśnicą prosto w twarz. Policja nie reagowała, gdy Braun niedawno wtargnął do szpitala w Oleśnicy, by „aresztować” lekarkę Gizelę Jagielską, która wcześniej legalnie dokonała aborcji.

Trudno nie odnieść wrażenia, że poprzez antysemickie i antyukraińskie wybryki Grzegorza Brauna Rosja testuje sprawność naszego państwa. Państwo musi pokazać swoją siłę i skuteczność

Policjanci nie reagowali, choć mogli, bo poselski immunitet nie chroni Brauna przed zatrzymaniem na gorącym uczynku, po popełnieniu czynu zabronionego. Nasze służby wolą mu się przypatrywać z odległości i przekazać sprawę prokuratorom, by pisali wnioski do Sejmu o zgodę na postawienie Brauna przed sądem. Tak jest dla ich bezpieczniej, bo w końcu nie wiadomo, kiedy zmieni się władza i będzie znowu policjantów rozliczać.

Dlatego Braun czuje się bezkarny i eskaluje, jego haniebne poglądy docierają do coraz szerszej grupy odbiorców, antysemita i rusofil staje się celebrytą. Rosjanie patrzą na to i się z nas śmieją. Od lat testują odporność naszego państwa poprzez różnego rodzaju prowokacje. Chyba już wiedzą, że nie będą w stanie zasiać w Polakach chociażby zrozumienia dla putinowskiej polityki. W takim razie będą siać wśród nas chaos, tak jak robili to w XVIII w. Braun doskonale się w tej roli sprawdza.

Co jeszcze musi się stać, by państwo zajęło się tym indywiduum na poważnie?

Bartosz T. Wieliński

Andrzej rysuje

Kod dostępu do Wyborcza.pl

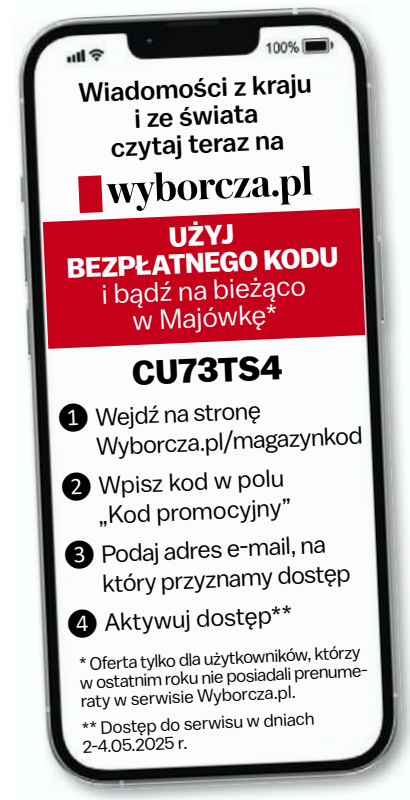

Sygn. akt III K 686/19
WYROK
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Dnia 09 listopada 2021 roku

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie III Wydział Karny w składzie:
Przewodniczący: (...)
Protokolant: (...)

po rozpoznaniu na rozprawie w dniu 23.06.2021 r. i 26.10.2021 r.
sprawy z oskarżenia prywatnego Andrzeja Kryże
przeciwko Witoldowi Jarosławowi Gadomskiemu
s. (...)
ur. (...)
oskarżonemu o to, że:
1. w dniu 09 września 2018 r. w Warszawie, za pomocą środków masowego komunikowania, jako autor materiału prasowego pt. „PiS może mieć kłopot z Przywieczerskim”, opublikowanego na stronie internetowej pod adresem http://wyborcza.pl/7,75968,23900562,pis-moze-miec-klopot-zprzywieczerskim.html pomówił Andrzeja Kryże o to, że Andrzej Kryże wydając jako sędzia wyrok w sprawie tzw. afery FOZZ (Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego) był stronniczy i nierzetelny, kierował się przy tym swoimi sympatiami politycznymi chcąc ukryć niekorzystne dla partii Prawo i Sprawiedliwość wątki tej sprawy, efektem czego było wydanie wyroku, który nie utrzymał się w sądzie apelacyjnym i który to sąd obniżył kary wszystkim oskarżonym, podczas gdy wyrok wydany przez sędziego Andrzeja Kryże utrzymany został w mocy w zasadniczej części, nie doszło do obniżenia kar wszystkim oskarżonym, Sądy wyższych instancji oraz Europejski Trybunał Praw Człowieka potwierdziły bezstronność sędziego oraz jego rzetelność w procedowaniu sprawy, a wątki dotyczące Porozumienia Centrum Sąd Najwyższy uznał nie tylko za nieistotne, ale i w ogóle niepodlegające rozważaniu w sprawie FOZZ, co poniżyło Andrzeja Kryże w opinii publicznej jako osobę, która piastowała stanowisko sędziego oraz naraziło na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania przez niego działalności naukowo-dydaktycznej,
tj. o czyn z art. 212 §1 i 2 k.k.
2. w dniu 10 września 2018 r. w Warszawie, za pomocą środków masowego komunikowania, jako autor materiału prasowego pt. „Ziobro zagra FOZZ-em”, opublikowanego na drugiej stronie papierowego wydania dziennika „Gazeta Wyborcza” pomówił Andrzeja Kryże o to, że Andrzej Kryże wydając jako sędzia wyrok w sprawie tzw. afery FOZZ (Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego) był stronniczy i nierzetelny, kierował się przy tym swoimi sympatiami politycznymi chcąc ukryć niekorzystne dla partii Prawo i Sprawiedliwość wątki tej sprawy, efektem czego było wydanie wyroku, który nie utrzymał się w sądzie apelacyjnym i który to sąd obniżył kary wszystkim oskarżonym, podczas gdy wyrok wydany przez sędziego Andrzeja Kryże utrzymany został w mocy w zasadniczej części, nie doszło do obniżenia kar wszystkim oskarżonym, Sądy wyższych instancji oraz Europejski Trybunał Praw Człowieka potwierdziły bezstronność sędziego oraz jego rzetelność w procedowaniu sprawy, a wątki dotyczące Porozumienia Centrum Sąd Najwyższy uznał nie tylko za nieistotne, ale i w ogóle niepodlegające rozważaniu w sprawie FOZZ, co poniżyło Andrzeja Kryże w opinii publicznej jako osobę, która piastowała stanowisko sędziego oraz naraziło na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania przez niego działalności naukowo-dydaktycznej,
tj. o czyn z art. 212 §1 i 2 k.k.
wyrok został zmieniony wyrokiem Sądu Okręgowego w Warszawie z dnia 8 czerwca 2022r., sygn. akt X Ka 349/22

orzeka:

I. oskarżonego Witolda Jarosława Gadomskiego uznaje za winnego popełnienia obu zarzucanych mu czynów, z których każdy wyczerpuje dyspozycję art. 212 §1 i 2 k.k., z tym, że w opisie każdego z tych czynów w miejsce sformułowania „co poniżyło Andrzeja Kryże w opinii publicznej jako osobę, która piastowała stanowisko sędziego oraz naraziło na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania przez niego działalności naukowo-dydaktycznej” przyjmuje sformułowanie „co mogło poniżyć Andrzeja Kryże w opinii publicznej jako osobę, która piastowała stanowisko sędziego oraz mogło narazić na utratę zaufania potrzebnego do wykonywania przez niego działalności naukowo-dydaktycznej” przy czym ustala, że czyny zarzucone oskarżonemu w pkt 1 i 2 komparycji zaskarżonego wyroku, a przypisane w pkt I tenoru zaskarżonego wyroku, zakwalifikowane jako przestępstwa z art. 212 §1 i 2 k.k., stanowiły jeden czyn zabroniony w rozumieniu art. 12 k.k. w zw. z art. 4 §1 k.k. i za tak opisany czyn, na podstawie art. 212 §2 k.k., przy zastosowaniu art. 59 k.k.
odstępuje od wymierzenia kary;
II. (uchylony);
III. na podstawie art. 212 §3 k.k. nakłada na oskarżonego Witolda Jarosława Gadomskiego obowiązek uiszczenia nawiązki w kwocie 5.000 (pięciu tysięcy) złotych na rzecz Fundacji Ewy Błaszczyk „Akogo?” (KRS: 0000125054);
IV. na podstawie art. 215 k.k. orzeka podanie niniejszego wyroku do publicznej wiadomości poprzez jego publikację:
a) na drugiej stronie dziennika „Gazeta Wyborcza”, tą samą czcionką, co artykuł, w którym zawarto pomawiające treści, w sposób czytelny, bez jakichkolwiek komentarzy i odniesień do jego treści, bez sąsiedztwa jakichkolwiek innych wyroków, reklam, ogłoszeń czy przeprosin, bez zastosowania jakichkolwiek zabiegów formalnych i treściowych umniejszających znaczenie, rangę i powagę publikacji,
b) na stronie internetowej www.wyborcza.pl w dziale opinie, tą samą czcionką co artykuł, w którym zawarto pomawiające treści, w sposób czytelny, bez jakichkolwiek komentarzy i odniesień do jego treści, bez sąsiedztwa jakichkolwiek innych wyroków, reklam, ogłoszeń czy przeprosin, bez zastosowania jakichkolwiek zabiegów formalnych i treściowych umniejszających znaczenie, rangę i powagę sytuacji i utrzymanie treści podlegającego publikacji wyroku przez okres 1 (jednego) miesiąca;
V. na podstawie art. 628 pkt 1 k.p.k. zasądza od oskarżonego Witolda Jarosława Gadomskiego na rzecz oskarżyciela prywatnego Andrzeja Kryże kwotę 300 (trzystu) złotych tytułem zwrotu poniesionych przez oskarżyciela zryczałtowanych kosztów postępowania oraz kwotę 5.184 (pięciu tysięcy sto osiemdziesięciu czterech) złotych tytułem zwrotu kosztów poniesionych na wynagrodzenie pełnomocnika.

1 RP

eprasa.pl cd54021495

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Ambasador
Gazety Wyborczej

Dołącz do wyjątkowego grona **100 osób**, które wspierają wolność słowa i rzetelne dziennikarstwo

W świecie pełnym dezinformacji rzetelne źródła wiadomości mają wyjątkową wartość. Dlatego stworzyliśmy Pakiet Ambasadorski – limitowaną propozycję dla 100 osób, które chcą wspierać niezależne dziennikarstwo.

To jednorazowa inwestycja we wspólne wartości – wolność słowa, prawdę i rzetelność. W „Gazecie Wyborczej" doskonale wiemy, ile kosztuje obrona tych wartości.

Przez osiem lat rządów PiS byliśmy zasypywani pozwami, zastraszano naszych partnerów, hejtowano piszących na naszych łamach dziennikarzy. Robiliśmy jednak to, co do nas należy – patrzyliśmy władzy na ręce i ujawnialiśmy kłamstwa. Przetrwaliśmy ten czas dzięki wsparciu osób takich jak Ty.

Bycie Ambasadorem „Gazety Wyborczej" to nie przywilej. To wybór tych, którzy chcą realnie wpływać na przyszłość wolnych mediów w Polsce.

Adam Michnik
i zastępcy redaktora naczelnego
„Gazety Wyborczej": ***Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz Wieliński***

Co zyskujesz jako Ambasador „Gazety Wyborczej"?

- ✓ Pełny dostęp na zawsze do treści Wyborcza.pl dla Ciebie i 2 osób
- ✓ Udział w kameralnym spotkaniu w redakcji z Adamem Michnikiem – wspólnie podsumujemy wybory prezydenckie
- ✓ **Tylko do 11 maja:** zaproszenie na galę Człowiek Roku Wyborczej, która odbędzie się 16 maja 2025 r.

Dowiedz się więcej na **wyborcza.pl/ambasador**

eprasa.pl cd54021495

Wymuszenie wobec ofiary czy sukces Kijowa?

• **Sekretarz skarbu Scott Bessent i wicepremierka Ukrainy Julia Swyrydenko podpisują porozumienie o powołaniu wspólnego inwestycyjnego funduszu odbudowy**

FOT. U.S. DEPARTMENT OF THE TREASURY

Wiele wskazuje, że w trudnych wojennych warunkach rząd Wołodymyra Zełenskiego wynegocjował z Donaldem Trumpem maksimum tego, co mógł, by zapewnić sobie amerykańskie wsparcie i zachować suwerenność.

Maciej Czarnecki, Andrzej Kublik

Po miesiącach przeciągania liny i niekiedy burzliwych negocjacji, w środę wieczorem (30 kwietnia) Waszyngton i Kijów podpisały w końcu porozumienie o utworzeniu wspólnego inwestycyjnego funduszu odbudowy Ukrainy.

Płynąć będą do niego m.in. dochody z nowych projektów eksploatacji złóż surowców w Ukrainie. Administracja Trumpa jest żywotnie zainteresowana dostępem do tych surowców, w tym do metali ziem rzadkich, i liczy na licencje na wydobycie dla amerykańskich firm.

Co zawiera umowa?

Porozumienie powinno ułatwić przyznawanie tych licencji, choć Ukraińcy zapewniają, że nie traktują Amerykanów preferencyjnie w stosunku do Europejczyków: byłoby to sprzeczne z przepisami Unii Europejskiej, do której chcą przystąpić. Tekstu porozumienia nie ujawniono, ale jego najważniejsze punkty znamy z wypowiedzi ukraińskich oficjeli:
• amerykańska i ukraińska strona będą miały po 50 proc. w funduszu i będą nim wspólnie zarządzać, a żadna ze stron nie będzie miała przewagi głosów; • przez pierwszą dekadę wszystkie dochody ukraińsko-amerykańskiego funduszu będą reinwestowane w rozwój i odbudowę Ukrainy; po tym okresie będzie można po raz pierwszy podzielić je za zgodą obu stron; • dochody i wkłady do funduszu nie będą opodatkowane ani w Ukrainie, ani w USA;
• Ukraina będzie przekazywać do funduszu 50 proc. swoich dochodów z eksploatacji nowych złóż surowców krytycznych oraz złóż ropy naftowej i gazu; • same zasoby naturalne pozostaną jednak własnością Ukrainy, a dochody państwa ze złóż eksploatowanych już obecnie nie będą przekazywane do funduszu; • amerykańska strona jako swój wkład do funduszu będzie mogła zaliczyć także nową (ale nie dotychczasową) pomoc wojskową dla Ukrainy;
• Stany Zjednoczone będą pomagać w ściągnięciu do Ukrainy inwestycji, technologii i innowacji za pośrednictwem rządowej agencji Development Finance Corporation.

Nerwowa reakcja Moskwy

Choć pomysł wykorzystania surowców naturalnych jako karty przetargowej w zagwarantowaniu zachodnich interesów w Ukrainie wysunął w swoim planie pokojowym sam Wołodymyr Zełenski, to od miesięcy Kijów był stawiany w tej sprawie pod ścianą. Cały świat zobaczył to podczas pamiętnej wizyty Zełenskiego w Białym Domu 28 lutego, kiedy strofowali go Donald Trump i wiceprezydent JD Vance.

Komentując podpisanie porozumienia, zasiadający w komisji ds. zagranicznych Izby Reprezentantów Demokrata Gregory Meeks wypalił wręcz, że zakrawa ono na „wymuszenie". Były rosyjski prezydent Dmitrij Miedwiediew wyzłośliwia się, że to de facto poddanie Ukrainy Stanom Zjednoczonym, które „w końcu złamały reżim w Kijowie, by płacił za amerykańską pomoc".

Jednak już sam fakt, że Moskwa reaguje nerwowo, powinien dać do myślenia. Owszem, Ukraina negocjowała w trudnych warunkach. Jednak z ostatecznej wersji umowy udało się jej wykreślić wiele niekorzystnych zapisów (np. o przekazaniu do funduszu części swoich gazociągów lub elektrowni atomowych, rozstrzyganiu sporów na podstawie prawa USA albo potraktowaniu dotychczasowego wsparcia wojskowego USA jako długu).

Ukraińskie źródło dziennika „The Washington Post" opisuje, że mimo publicznych nieporozumień negocjacje w sprawie umowy były produktywne, a obie strony wsłuchiwały się w swoje argumenty. – Ukraina wypracowała mocne porozumienie, które – jeśli zostanie odpowiednio wprowadzone w życie, to jest kluczowe – może doprowadzić do obopólnego sukcesu. Ukraina naprawdę potrzebuje amerykańskich inwestycji – mówi źródło.

Bilans zysków i strat

Oczywiście dla Ukraińców idealnie byłoby nie zgadzać się na niektóre punkty, np. ten o potencjalnym podziale dochodów po 10 latach. Jednak to odległa perspektywa, w której Trump nie będzie już zapewne aktywnie uczestniczył w polityce, a obopólne korzyści wydają się niebagatelne:
• Potencjalne licencje dla amerykańskich firm na wydobycie zasobów w Ukrainie zwiększają amerykańskie zaangażowanie, co zwiększa bezpieczeństwo Ukrainy (choć twardych gwarancji bezpieczeństwa, na które od dawna liczy Kijów, w umowie brak). A Amerykanom zapewniają atut w rywalizacji gospodarczej z Chinami.
• „Podczas gdy Putin ciągle mówi »nie« dążeniom Trumpa do pokoju, Ukraina ponownie powiedziała »tak« – zauważa Doug Klein, analityk think-tanku Atlantic Council. Innymi słowy, Trump dostał w okolicach 100 dni rządów coś, co może sprzedawać jako swój duży sukces. Jeśli wojna będzie się przeciągać, trudniej będzie mu oskarżać o to Ukrainę.
• Porozumienie rodzi nadzieje na utrzymanie, a może nawet zwiększenie amerykańskiej pomocy wojskowej – Trump będzie mógł mówić swoim wyborcom, którzy są raczej sceptyczni wobec wspierania Ukrainy: „Patrzcie, nie robimy tego za darmo, jak Joe Biden". Podczas spotkania organizowanego przez stację telewizyjną NewsNation już stwierdził: – Biden dał im 350 mld dol. w gotówce i sprzęcie wojskowym, i nie dostaliśmy nic w zamian. Zawarliśmy porozumienie, które w teorii daje nam znacznie więcej niż 350 mld dol.

Mimo publicznych nieporozumień negocjacje w sprawie umowy były produktywne, a obie strony wsłuchiwały się w swoje argumenty

Obie strony mówią o zyskach

Oficjalne komentarze po podpisaniu umowy podkreślają oczywiście tylko zyski. – Ta umowa jasno sygnalizuje Rosji, że administracja Trumpa jest zaangażowana w proces pokojowy skoncentrowany na wolnej, suwerennej i prosperującej Ukrainie w perspektywie długoterminowej. Prezydent Trump wyobrażał sobie to partnerstwo między narodem amerykańskim a narodem ukraińskim, aby pokazać zaangażowanie obu stron w trwały pokój i dobrobyt w Ukrainie – podkreślił sekretarz skarbu Scott Bessent.

To będzie „równoprawne dobre porozumienie międzynarodowe o wspólnych inwestycjach w rozwój i odbudowę Ukrainy" – powiedział premier Ukrainy Denys Szmyhal. Sekretarz stanu Marco Rubio ocenił na X, że to „ważny krok do tego, by zakończyć tę wojnę".

Jeśli chodzi o innych komentatorów, to obawy przed stawianiem Ukraińców pod ścianą mieszają się z nadzieją, że porozumienie przysłuży się ukraińskiej sprawie. Choć Demokrata Meeks grzmi o „wymuszeniu", to jednocześnie wyraził nadzieję, że teraz Trump skupi się już na Putinie. Kongresmen wezwał go, by pracował wraz z Kongresem nad tym, by: • pociągać Rosję do odpowiedzialności za zbrodnie wojenne; • zapewnić Ukrainie kolejne transze wsparcia wojskowego; • zaostrzyć sankcje wobec Rosji; • przeznaczyć środki z zamrożonych rosyjskich aktywów na odbudowę Ukrainy.

„Tak zwana umowa partnerska jest na tyle uciążliwa, że równa się przetrząsaniu kieszeni ofiary napadu" – ocenia ostro Ed Verona, kolejny analityk Atlantic Council. Jednak słychać też bardziej łaskawe głosy, w tym w samej Ukrainie. Były prezes Narodowego Banku Ukrainy Kyryło Szewczenko zauważa na X, że „podczas gdy mocarstwa światowe ścigają się w celu zabezpieczenia kluczowych minerałów, niewykorzystane złoża Ukrainy oferują rzadką okazję do zmniejszenia zależności od Chin". „Porozumienie zapewnia amerykańskim firmom równy dostęp (bez wyłączności) do nowych projektów wydobywczych, a Ukraina będzie inwestować przychody w odbudowę" – pisze Szewczenko.

„Pomoc wojskowa będzie liczyła się jako inwestycja USA, co pokazuje, jak mocno w tych czasach są ze sobą powiązane kluczowe minerały i obrona. Sukces porozumienia może stworzyć pozytywny precedens, wysyłając jasny sygnał do międzynarodowych graczy finansowych i przemysłowych, że inwestowanie na Ukrainie jest nie tylko opłacalne, ale także bezpieczne"– ocenia bankowiec. ●

www.nekrologi.wyborcza.pl/34375000

Z głębokim smutkiem żegnamy naszego przyjaciela

Janusza Grzelaka

Profesora psychologii społecznej, wybitnego badacza, nauczyciela i społecznika zaangażowanego w sprawy publiczne naszego kraju i regionu.

Działacza i eksperta sierpniowej i podziemnej Solidarności. Członka Zarządu Regionu Mazowsze, w stanie wojennym łącznika merytorycznego Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Solidarności, współtwórcę dokumentów programowych związku. Uczestnika rozmów okrągłego stołu w zespole do spraw oświaty i nauki. Wiceministra edukacji w rządzie premiera Tadeusza Mazowieckiego.

Był Janusz człowiekiem nauki i działania, rozumu i wartości. W swoim życiu zawodowym i społecznym łączył racjonalność z odwagą poszukiwania nieoczywistych rozwiązań, wierność pryncypiom z otwartością na dialog i różnicę opinii. W trudnych czasach stanu wojennego był dla nas moralnym i intelektualnym wsparciem. W okresie demokratycznej Polski drogowskazem obywatelskiego zaangażowania i odpowiedzialności za dobro publiczne.

Serdeczne wyrazy współczucia przekazujemy

Rodzinie i Bliskim Janusza

Jan Krzysztof Bielecki, Konrad Bieliński, Anna Bikont, Bogdan Borusewicz, Zbigniew Bujak, Jerzy Buzek, Władysław Frasyniuk, Ewa Granatowicz, Janusz Granatowicz, Aleksander Hall, Piotr Kapczyński, Krzysztof Kilian, Jacek Kozłowski, Wiktor Kulerski, Ewa Kulik-Bielińska, Bogdan Lis, Helena Łuczywo, Witold Łuczywo, Henryk Majewski, Barbara Malak, Maciej Musiał, Andrzej Musielak, Ryszard Musielak, Marek Muszyński, Mirosław Odorowski, Janusz Pałubicki, Józef Pinior, Danuta Przywara, Krzysztof Pusz, Antoni Stawikowski, Jacek Taylor, Lech Wałęsa, Jerzy Zdrada

1 RP

eprasa.pl cd54021495

Lekarze wściekli po tragedii

– Trzeba jasno powiedzieć, od czego zaczęło się przekraczanie granic: od napaści na lekarzy w czasie pandemii, na które państwo nie reagowało – mówi prof. Andrzej Matyja, chirurg i były prezes Naczelnej Rady Lekarskiej.

Milena Kuchnia

– Teraz wszyscy są mądrzy. A jak zgłaszamy takie niepokojące rzeczy, to nikt nas nie słucha – denerwuje się prof. Matyja.

Po zabójstwie ortopedy z Krakowa lekarze domagają się od rządu natychmiastowych zmian. „Już nie apelujemy, a żądamy" – napisali w oświadczeniu przedstawiciele Okręgowej Izby Lekarskiej w Krakowie. Kierują swoje słowa do rządzących: „Skoro bezkarnie można siać mowę nienawiści z sejmowej mównicy, skoro jad sączy się z areny debaty wyborczej, skoro przedstawiciele narodu nie ponoszą konsekwencji za fizyczną napaść na drugiego człowieka, co więcej, znajdują wręcz uznanie, trudno się dziwić narastaniu agresji w społeczeństwie".

Lekarze mają dość agresji

Szpitale w całej Polsce rozpoczęły środę od minuty ciszy, a pracownicy przypięli do piersi czarne wstążki. To akt solidarności z rodziną i bliskimi ortopedy dr Tomasza Soleckiego, który został we wtorek brutalnie zamordowany przez swojego pacjenta w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie.

„Poza minutą ciszy, czas na ruch" – napisali w oświadczeniu młodzi lekarze zrzeszeni w Porozumieniu Rezydentów. I dalej: „Od wielu lat medialna nagonka na medyków trwa w najlepsze, jednak ostatnie kilkanaście miesięcy prezentuje to na zupełnie nowym poziomie".

Jak dodają, apogeum tych nastrojów można było zobaczyć w komentarzach pod artykułami informującymi o ataku nożownika w Krakowie: dostrzegli tam nawet gratulacje dla sprawcy.

Zachęcają lekarzy i pielęgniarki do mówienia głośno o przypadkach agresji, z którymi spotykają się na co dzień. W komentarzach mnożą się historie: „Odmówiłam wypisania recepty na kilkadziesiąt opakowań silnych opioidów – usłyszałam przez telefon bardzo szczegółowe groźby gwałtu, pobicia i poderżnięcia mi gardła" – pisze jedna z lekarek.

Podobne oświadczenia wydała zarówno Okręgowa Izba Lekarska w Krakowie, jak i Naczelna Rada Lekarska. Żądają w nich od rządu i parlamentarzystów „podjęcia natychmiastowych działań w celu zapewnienia bezpieczeństwa medykom podczas wykonywania swojego zawodu oraz walki z wszelkimi przejawami agresji". Co kryje się pod tym hasłem?

– Podstawową rzeczą jest ściganie z urzędu i karanie każdej mowy nienawiści. Hejt, szerzony nawet przez polityków – i to nierzadko z Bogiem na ustach – jest tolerowany i bezkarny. To doprowadza do przekraczania kolejnych granic – mówi prof. Andrzej Matyja.

Tłumaczy, że lekarze potrzebują bezwzględnych kar, stanowczej walki z hejtem i propagowania szacunku do zawodów zaufania publicznego. – Ta tragedia dotknęła lekarza, ale może również dotknąć nauczyciela, adwokata – każdego, kto działa dla społeczeństwa – dodaje.

Wśród postulatów pojawia się również kwestia uznania medyków za funkcjonariuszy publicznych. – Dlaczego są nimi tylko wtedy, gdy leczą na fundusz? Co, jeśli do zabójstwa dochodzi, gdy przyjmują pacjenta w ramach wizyty prywatnej? To wtedy inna śmierć? – pyta prof. Matyja.

• **Czarne flagi przed Szpitalem Uniwersyteckim w Krakowie po zabójstwie ortopedy dr Tomasza Soleckiego** FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

> *Dziś mamy tsunami agresji w każdej z jej form. Nie możemy godzić się na język niechęci, lekceważenia, pogardy, bo za słowami coraz częściej idą czyny. Naszej zgody na to nie ma*
>
> OKRĘGOWA IZBA LEKARSKA Z KRAKOWA

Lekarze z Krakowa: „Obelgi już nawet nie robią wrażenia?"

Temat ataków na pracowników służby zdrowia zaognił się w styczniu, kiedy całą Polskę obiegła informacja o zabójstwie ratownika medycznego w Siedlcach. Mężczyzna został zadźgany przez pacjenta, któremu udzielał pomocy. Środowiska medyczne apelowały wówczas do Ministerstwa Zdrowia – dziś, jak piszą, „już nie apelują, a żądają natychmiastowych działań".

„Dziś mamy tsunami agresji w każdej z jej form. Nie możemy godzić się na język niechęci, lekceważenia, pogardy, bo za słowami coraz częściej idą czyny. Naszej zgody na to nie ma" – zwraca się do rządu Okręgowa Izba Lekarska z Krakowa.

W tych słowach można doszukiwać się odniesień do głośnej akcji skrajnie prawicowego kandydata na prezydenta, Grzegorza Brauna. Dwa tygodnie temu europoseł wdarł się do szpitala w Oleśnicy, żeby, jak mówił, dokonać „obywatelskiego zatrzymania" lekarki, która przeprowadzała tam aborcję. Przez kilkadziesiąt minut dr Gizela Jagielska była przetrzymywana w gabinecie i niedopuszczana do pacjentów. Następnie jeden z prawicowych blogerów ujawnił jej adres domowy i napisał, że „według prawa Bożego zasłużyła na śmierć z rąk ludzi za przelanie niewinnej krwi ludzkiej".

Medycy zwracają uwagę na to, że agresja wobec służby zdrowia staje się coraz bardziej akceptowalna, a granice się przesuwają.

– Ja i moja rodzina dostaliśmy niedawno zdjęcia, jak leżę zastrzelony w samochodzie. Spyta pani, czy zawiadomiłem organy ścigania. Nie, bo jako lekarze mamy takie doświadczenie, że to i tak nic nie da albo że okaże się, że to czyny o małej szkodliwości społecznej – opowiada chirurg.

Do morderstwa ortopedy dr Tomasza Soleckiego doszło we wtorek (29 kwietnia). Sprawca wtargnął do gabinetu, w którym lekarz odbywał wizytę i zadał mu od kilkunastu do kilkudziesięciu ciosów nożem, głównie w klatkę piersiową oraz brzuch.

– Pomimo ogromnego zaangażowania personelu, bo w ratowaniu życia Tomka brało udział ponad 20 osób, nie udało nam się go uratować – mówił w środę łamiącym się głosem dyrektor Szpitala Uniwersyteckiego Marcin Jędrychowski podczas briefingu prasowego, zorganizowanego po tym, jak zaatakowany przez nożownika lekarz zmarł po trwającej dwie godziny operacji.

Sprawca próbował uciekać z budynku, ale został zatrzymany przez ochroniarzy. To 35-letni Jarosław W., były pacjent dr Soleckiego, który już wcześniej miał nękać ortopedę. W ubiegłym roku przeszedł pod jego opieką operację ręki. Od tego czasu zgłaszał pretensje dotyczące swojego stanu zdrowia.

– Syn bardzo się od tego zabiegu zmienił, non stop mówił, że lekarz mu coś wstrzyknął, że wstrzyknął mu truciznę. Mówił, że się źle czuje, że umiera. Nawet byliśmy z nim u onkologa, ale nic nie wyszło – powiedzieli „Super Expressowi" rodzice Jarosława W. Jak twierdzą, mimo pozytywnych wyników badań, mężczyzna nie chciał słuchać rodziny i odmawiał pomocy psychiatry. – Gdybyśmy wiedzieli, co planuje, zadzwonilibyśmy po pomoc – przekonują.

Jarosławowi W. postawiono zarzut zabójstwa ortopedy oraz próby ataku na pielęgniarkę, która usiłowała pomóc ciężko rannemu lekarzowi. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34373925

WE WTOREK I W ŚRODĘ W „WYBORCZEJ"

Testy dla 8-klasistów

Przykładowe arkusze egzaminacyjne do ćwiczeń

we wtorek – matematyka,
w środę – język polski

1 RP

eprasa.pl cd54021495

Banda tchórzy udaje trupa

Kto zostanie nowym przywódcą? Iść w prawo czy w lewo? Po 100 dniach Trumpa Demokraci nadal mają same pytania i żadnych odpowiedzi

• **15 kwietnia, Kalifornia. Dwie najbardziej charyzmatycze (jeśli nie jedyne) postaci u Demokratów - lewicowa kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez, lat 35, i socjaldemokratyczny senator Bernie Sanders, lat 83, na wiecu w ramach ogólnokrajowej trasy „Fighting Oligarchy"**
FOT. REUTERS/AUDE GUERRUCCI

Maciej Czarnecki

KORESPONDENCJA Z TEMPE W ARIZONIE I Z NOWEGO JORKU

– Walczymy o to, byśmy pozostali demokracją! Jeden człowiek, jeden głos, a nie miliarderzy kupujący sobie wybory – grzmi ze sceny weteran amerykańskiej lewicy, senator Bernie Sanders.

W wypełnionej po brzegi hali sportowej Mullet Arena w Tempe, uniwersyteckim mieście na przedmieściach Phoenix, zebrało się około 5 tys. osób – głównie młodych – a co najmniej tysiąc pocałowało klamkę i czeka na zewnątrz. Zeszłoroczny wiec Donalda Trumpa w tej hali nie przyciągnął takiego tłumu.

83-letni Sanders, ubrany w niebieską koszulę i rozpiętą granatową marynarkę, tryska energią. Obok niego, tuż przy mównicy z hasłem „Fight Oligarchy", które jest mottem całego ich touru po USA, wciśnięta w dżinsy 35-letnia nowojorska kongresmenka Demokratów Alexandria Ocasio-Cortez, zwana powszechnie AOC, pokazuje dwa palce w geście zwycięstwa.

– Musimy pozbyć się wielkich pieniędzy z polityki – nawołuje, kiedy przychodzi jej kolej, a ludzie biją brawo.

To leitmotiv ich przemówień, które przyciągają tłumy na campusach takich jak ten. Sanders i AOC mówią o nierównościach ekonomicznych, bezrobotnych, tonących w długach z powodu horrendalnych kosztów opieki medycznej, zagrożeniach dla rent, emerytur i ubezpieczeń Medicaid ze strony administracji Trumpa i wspierającego ją Elona Muska.

– Z całego serca jestem przekonany, że można ich pokonać! – woła Sanders.

Sam fakt, że musi o tym zapewniać, mówi wiele o nastrojach opozycji. „Ekonomiczny populizm" – jak nazywają to amerykańscy komentatorzy, chociaż tak naprawdę Sanders i AOC głoszą po prostu hasła w duchu europejskiej socjaldemokracji i domagają się przejrzystego finansowania polityki – jest jednym z niewielu zjawisk, które w czasie potężnego kaca po przegranej Kamali Harris budzą jakiekolwiek pozytywne emocje po lewicowo-liberalnej stronie.

•

Symbolem kryzysu, w którym znaleźli się Demokraci, mogą być niewielkie, okrągłe transparenty, które trzymali w ciszy podczas orędzia Trumpa w Kongresie 4 marca. Wypisano na nich: „Nieprawda", „Musk kradnie", „Ocalić Medicaid". Przypominały wątłe wiosełka, którymi politycy opozycji bezskutecznie starali się zawrócić bieg rwącej rzeki MAGA.

Od przegranej Harris Demokraci dyskutują o popełnionych błędach, szukają nowej tożsamości – po angielsku mówi się jeszcze ładniej, „soul searching", „poszukiwanie duszy" – i taktyki docierania do wyborców. Na razie mają więcej pytań niż odpowiedzi. Kto zostanie nowym przywódcą? Czy należy przesunąć się w prawo, czy w lewo? Jak komunikować się z opinią publiczną? Jak atakować Trumpa: frontalnie i całościowo, czy punktowo, wybierając najważniejsze starcia? A może, jak zaproponował w głośnym eseju w „New York Timesie" Jim Carville, strateg Billa Clintona z kampanii w 1992 roku, „paść i udawać trupa", czyli po prostu poczekać, aż republikańska władza zawali się ciężarem własnych błędów?

Złośliwi powtarzają, że Republikanie to partia, która uparcie powtarza, że rząd federalny nie potrafi dbać o interesy Amerykanów, a kiedy dochodzi do władzy, udowadnia, że miała rację.

Tylko jak odpowiedzieć na strategię, której sednem jest mylenie przeciwnika? Steve Bannon, dawny guru alt-prawicy i współtwórca wyborczego sukcesu Trumpa w 2016 r., zdefiniował ją kiedyś terminem z futbolu amerykańskiego. To „flooding the zone", czyli „zalewanie pola przeciwnika" własnymi zawodnikami – czyli wciąż nowymi tematami i wrzutkami.

– Codziennie uderzamy w nich trzema rzeczami. Skupią się na jednej, a my zrobimy swoje, bang, bang, bang. Ci goście nigdy nie będą w stanie się otrząsnąć. Musimy jednak zacząć z prędkością, z jaką pocisk opuszcza lufę po wystrzale.

W roli prawdziwego wroga trumpizmu Bannon obsadził nie tylko Demokratów, lecz i liberalne media.

– Taktyka „zalewania pola walki" do pewnego stopnia działa – przyznaje mi Laura Kelly, dziennikarka portalu The Hill. Zaraz jednak zastrzega: – Ale Trumpowi sprzyja też republikańska większość w Izbie Reprezentantów i Senacie, która uniemożliwia jakikolwiek istotny sprzeciw, przynajmniej w Kongresie. Urzędnikom administracji Trumpa nie grożą wezwania, niepożądane śledztwa czy zeznawanie przed komisjami, gdzie musieliby tłumaczyć się publicznie, co robią.

– To może się zmienić, jeśli Demokraci zanotują dobry wynik w wyborach w połowie kadencji prezydenta, chociaż Trump będzie prawdopodobnie ignorował żądania Kongresu – uważa Kelly.

Wszyscy mają ich dość

Do 29

PROC.

• **– rekordowo niskich – spadł odsetek Amerykanów, którzy pozytywnie oceniają partii Bidena i Kamali Harris**

•

Na razie jednak Demokraci mają problem. Niektórzy darczyńcy, sfrustrowani niepowodzeniami i wystraszeni potencjalnym odwetem ze strony Trumpa, zakręcili im kurek z pieniędzmi.

– Istnieje więcej niż 50-procentowa szansa, że będą reperkusje ze strony wypaczanych i korumpowanych instytucji państwowych za to, że starałem się pomóc Harris w wyborach – ocenił w podcaście „The diary of a CEO" miliarder i współzałożyciel LinkedIn Reid Hoffman.

Jego rzeczniczka oświadczyła potem „New York Timesowi", że Hoffman jest na razie niechętny finansowaniu progresywnych projektów politycznych, bo „uważa, że najpierw strategia Partii Demokratycznej musi się zmienić".

Wśród wyborców, z którymi rozmawiam w różnych częściach kraju, widzę ogromne niezadowolenie. Wielu ludzi nie trawi Trumpa, chcieliby sensownej alternatywy, ale kręcą nosem na partię Bidena i Harris. W marcowym sondażu CNN odsetek Amerykanów, którzy pozytywnie oceniają jej działania, spadł do rekordowo niskich 29 proc.

– Jestem zaskoczony, że Trump działa w takim tempie i że lekceważy wyroki sądów. Ale Demokraci są zupełnie nieskuteczni. Priorytetem są dla nich cele partii, a nie kraju – mówi mi Alex, 28-letni student inżynierii na Uniwersytecie Stanowym Arizony i weteran marines.

Rozmawiamy na zalanym słońcem, wysadzanym palmami deptaku campusu w Tempe, po którym przemykają na zajęcia grupki studentów.

– Od dawna, niestety, żyjemy w systemie dwupartyjnym, i nie mieliśmy niezależnego prezydenta. Ogromnym problemem jest lobbing, to, że korporacje mogą sobie kupować polityków – ciągnie mój rozmówca.

W listopadowych wyborach zamierzał głosować na Roberta F. Kennedy'ego juniora, ale ekscentryczny (walczy z globalnym ociepleniem i przetworzoną żywnością, jest fanem medycyny alternatywnej i szczepionkowym sceptykiem, wierzy w chemtrails, teorię spiskową o tym, że smugi kondensacyjne to chemikalia celowo rozpylane w atmosferze) kandydat niezależny wycofał się i poparł Trumpa (a potem w nagrodę został sekretarzem zdrowia w nowej administracji). Wobec tego Alex nie poparł nikogo.

Jak opowiada, przerażają go rosnące koszty życia. Za dwupokojowe mieszkanie płaci około 1,5 tys. dol. miesięcznie z rachunkami. Stać go tylko dlatego, że dostaje rentę wojskową i pożyczkę studencką, którą będzie musiał później spłacić.

– Jestem na granicy milenialsa i zetki. Tacy jak ja zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że nigdy nie będziemy w stanie kupić sobie domu, nie dostaniemy godziwej emerytury po pracy do 65. roku życia. Straciliśmy wiarę w rząd. Jestem zmęczony głosowaniem na ludzi, którzy nic dla mnie nie robią. Mój czynsz i tak będzie rósł, tak jak rachunki za zakupy spożywcze i czesne.

•

Już podczas poprzedniej wizyty w Tempe, parę miesięcy przed spóźnioną podmianką kandydata Bidena na Harris, widziałem, jak bardzo niepopularni zaczynają być Demokraci wśród części liberalno-lewicowej młodzieży, uznającej waszyngtońskich polityków za odklejonych od rzeczywistości.

Rozczarowani są też uczestnicy antytrumpowego protestu „Hands off!" w Nowym Jorku. Zjawiły się na nim tysiące ludzi, mimo zniechęcającej, chłodnej i deszczowej aury, zupełnie odmiennej od tej w Arizonie. – Popieram Demokratów, ale nie mają teraz żadnego przywództwa. Tak, Sanders i AOC przyciągają tłumy. No i dobrą próbą było to, co zrobił Booker. Trzeba próbować wszystkiego – opowiada Linda, jedna z demonstrantek.

Chodzi jej o przemowę 55-letniego, czarnego senatora z New Jersey Cory'ego Bookera, który z 31 marca na 1 kwietnia krytykował Trumpa bez przerwy przez ponad 25 godzin. W ten sposób pobił dotychczasowy rekord najdłuższego

1 RP

eprasa.pl cd54021495

wystąpienia, ustanowiony 68 lat temu przez segregacjonistę z Karoliny Południowej Stroma Thurmonda.

– Banda tchórzy. A Booker urządził tylko kiepski performance – utyskuje Kirsten Shaw, młoda pracowniczka nowojorskiej dzielnicy finansowej.

– To co powinni robić Demokraci? – pytam.

– Mieć kręgosłup, żeby głosować za tym, za czym się opowiadają, a nie wraz z Republikanami – odpowiada.

To przytyk do marcowej decyzji lidera Demokratów w Senacie Chucka Schumera, by wesprzeć głosami prowizorium budżetowe Republikanów i zapobiec tzw. shutdownowi, czyli paraliżowi administracji.

Schumer przyznał, że projekt był zły, ale gdyby nie przeszedł, mogłoby to dać trumpistom pretekst do jeszcze większych cięć wydatków, np. na Medicaid. – Mieliśmy dwie opcje: odciąć palce lub ramię – przekonywał. Jednak wyborcom Demokratów to się nie spodobało. Wielu oczekuje totalnej opozycji, twardego przeciwstawiania się Trumpowi. – Także w sprawie Gazy, żeby przestano tam bombardować niewinne dzieci – dodaje Shaw.

●

– Demokraci są kompletnej rozsypce. Zobaczymy, kto będzie miał odwagę stawiać się Trumpowi. Na pewno nie Schumer. Ale Booker już tak. Dojdzie do przetasowań, w których będą zwycięzcy i przegrani. Koniec końców Partia Demokratyczna wyjdzie z tego mocniejsza – przewiduje prof. Thaddeus Pawlowski, wykładowca urbanistyki na Columbii, którego też spotykam na demonstracji.

Pytam, czy sądzi, że odpowiedzią na kryzys mogą być hasła Sandersa i AOC. Nie kryję, że mam wątpliwości, bo stara prawda głosi, że w Ameryce nie można wygrać wyborów z łatką socjalisty. Te prezydenckie rozstrzygają się na umiarkowanych światopoglądowo przedmieściach tzw. swing states, stanów wahadłowych w Midweście i na południu kraju, a nie w liberalnych miastach takich jak Nowy Jork.

– Zobaczymy. Wszystko się teraz tak pozmieniało... Na pewno nowością jest sojusz technologicznej elity Doliny Krzemowej z twardo prawicowym, populistycznym ruchem MAGA. To szalenie niebezpieczne. Myślę, że to popchnie klasę pracującą – o ile coś takiego jeszcze istnieje – w kierunku liberalnych wartości starej Partii Demokratycznej – spekuluje Pawlowski, którego dziadkowie przybyli do USA z Polski.

Demokraci mają problem. Darczyńcy, sfrustrowani niepowodzeniami i wystraszeni potencjalnym odwetem ze strony Trumpa, zakręcili im kurek z pieniędzmi

Wypadałoby spytać o to kogoś z Midwestu, więc odzywam się do znajomego z Minnesoty, emeryta i zdecydowanego przeciwnika Trumpa Paula Sherburne'a.

– Demokraci są bardziej rozbici niż zazwyczaj. Brakuje przywódcy, który nadawałby ton wypowiedziom partii. Są różni politycy, którzy starają się zapełnić pustkę, w tym formalnie niezależny Bernie Sanders, ale nikomu się to nie udaje. A na pewno nie jemu – pisze mi Sherburne.

Ubolewa, że „Demokraci powinni mieć gotowy plan B na wypadek zwycięstwa Trumpa, ale wyraźnie nie mieli i są całkowicie nieprzygotowani". – Szczerze mówiąc, myślę, że największa nadzieja w tym, że Trump sam siebie zaorze. Zaczynamy to już widzieć wobec niekompetencji jego gabinetu, no i oczywiście tego, co wyprawia Elon Musk. Żenującym przykładem była afera z Signalem i Pete'm Hegsethem, który zresztą pochodzi z Minnesoty.

Sherburne nawiązuje do skandalu ze wrzuceniem przez sekretarza obrony planów ataku na rebeliantów Huti w Jemenie na czat, do którego przez przypadek dodano redaktora naczelnego „The Atlantic".

– Sądzę, że wyznawcy MAGA, który byli albo wystrychnięci na dudka, albo wystarczająco głupi, by wierzyć, że Trump cokolwiek dla nich zrobi po powrocie do władzy, zaczynają zdawać sobie sprawę, że są głównymi ofiarami oligarchii i chciwości – przekonuje.

Ani sondaże, ani moje rozmowy z republikańskimi wyborcami tego nie potwierdzają. Sherburne jest jednak przekonany, że niedługo trumpiści zwrócą się przeciwko przywódcy.

●

W ostatnich tygodniach po kraju rozlały się protesty przeciwko Trumpowi i Muskowi. Nie tak spektakularne jak słynny marsz kobiet ze stycznia 2017 roku, początku pierwszej kadencji Trumpa, gdy tylko na ulicach Waszyngtonu zjawiło się pół miliona ludzi. Ale jest ich więcej, są bardziej rozsiane i oddolne.

– Jednym z błędnych założeń związanych z zalewaniem pola przeciwnika jest to, że kiedy to robisz, uderzasz we wszystkich – tłumaczył portalowi Axios Maurice Mitchell. Przewodniczący małej, ale aktywnej lewicowej Partii Pracujących Rodzin (WFP) uważa, że trumpowa strategia przyciąga do inicjatyw oporu ludzi, którzy wcześniej się nie angażowali: członków lokalnych związków zawodowych, rodziców zaniepokojonych cięciami funduszy na edukację, weteranów, a nawet niektórych niezadowolonych wyborców Trumpa.

Pojawiły się nowe formy protestu. Ludzie chodzą na spotkania z politykami Republikanów i głośno zadają pytania, więc przywództwo Partii Republikańskiej poradziło kongresmenom, by na razie organizowali je wirtualnie. Organizowane są bojkoty konsumenckie, z których najsłynniejszy dotyczy oczywiście Tesli.

Pytanie, czy Demokraci zdołają wykorzystać to politycznie. – Panuje przekonanie, że mają dwie opcje. Pierwsza: powinni przesunąć się na lewo, by spróbować zdobyć nowych, niezadowolonych wyborców za pomocą przesłania populistycznego. Druga: pójść na prawo i zawalczyć o wyborców wahadłowych i niezależnych, którzy nie kochają Trumpa, a może nawet jakichś rozczarowanych Republikanów – mówi Jennie Sweet-Cushman, politolożka z Uniwersytetu w Pittsburghu.

– Co by oznaczało pójście na prawo? – pytam.

– Już zaczynamy to trochę widzieć. Gavin Newsom wypalił, że partia poszła zbyt daleko w kwestiach światopoglądowych. Oczywiście on ma ambicje prezydenckie i wybrał taką drogę. Musi pójść na prawo, by jako gubernator Kalifornii być do strawienia dla reszty kraju – odpowiada Sweet-Cushman. Chodzi jej m.in. o marcową wypowiedź Newsoma, że udział transpłciowych sportsmenek w żeńskich zawodach jest „głęboko niesprawiedliwy".

W sondażach przed prawyborami Demokratów prowadzi... Kamala Harris. Jednak zdaniem komentatorów to jeszcze łabędzi śpiew po zeszłorocznych wyborach. Porażka była zbyt dotkliwa, by Harris miała szanse znów zawalczyć o Biały Dom.

Wysoko stoją notowania sekretarza transportu z czasów Bidena, Pete'a Buttigiega. To jeszcze młody – 43 lata – polityk, świetny mówca, poliglota, weteran z Afganistanu. Zostałby pierwszym prezydentem USA, który jest zdeklarowanym gejem. Faworytką lewicy jest AOC. Liczą się też Newsom, Booker oraz popularni gubernatorzy z Midwestu i okolic: Josh Shapiro z Pensylwanii, Tim Walz z Minnesoty, Gretchen Whitmer z Michigan i J.B. Pritzker z Illinois.

Jednak do 2028 roku, kiedy odbędą się wybory prezydenckie, będzie jeszcze sporo przetasowań. – Najpierw Demokraci powinni wygrać wybory do Izby Reprezentantów i pokazać, że potrafią przedstawić sensowną alternatywę – kwituje Sweet-Cushman. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34374660

W SPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU: MATKI I CÓRKI
Najtrudniejsza miłość. Jak utrzymać dobre relacje?

NATALIA KUKULSKA
Wiem, że ta mała Natalka jest ikoniczna, ale moje życie jest tu i teraz

URODA
Kosmetyki naturalne, czyli jakie?

wysokieobcasy extra

*PREZENT
Hydro-żel oczyszczający i nawilżający lub kosmetyki/książka do wyboru

1 RP

eprasa.pl cd54021495

Gdzie ten postęp obiecany przez Dolinę Krzemową?

Giganci technologiczni uchodzili kiedyś za symbole innowacji i postępu. Dziś stali się symbolem zawiedzionych nadziei i wszystkiego tego, co poszło nie tak w kapitalizmie ostatnich dekad.

Tomasz Markiewka

• **Giganci cyfrowi zarabiają na przyciąganiu naszej uwagi. To jest ich model biznesowy. Nie mają więc wielkiej motywacji, by cokolwiek zmieniać w tej kwestii** FOT. SYNTHEX

Unia Europejska przechodzi od słów do czynów. Trzy lata temu uchwaliła ustawę o rynkach cyfrowych, która była wymierzona w monopolistyczne zapędy gigantów branży technologicznej. W tym miesiącu, powołując się na tę ustawę, ukarała Apple'a (500 milionów dolarów grzywny) i Metę, czyli właściciela Facebooka i Instagrama (200 milionów).

Apple'owi dostało się za ograniczanie twórcom aplikacji możliwości informowania klientów o promocjach i innych ofertach. Mecie za wprowadzenie systemu „zgódź się albo płać", czyli zmuszanie użytkowników do wyboru: albo zgodzicie się na wykorzystanie swoich danych osobowych do personalizowania reklam, albo płaćcie abonament za korzystanie z Facebooka i Instagrama bez reklam.

Nie chodzi tylko o złamanie tych konkretnych zapisów ustawy. Ten spór jest częścią głębszej zmiany politycznej i kulturowej.

Giganci technologiczni uchodzili kiedyś za symbole innowacji i postępu. Dziś stali się symbolem zawiedzionych nadziei i wszystkiego tego, co poszło nie tak w kapitalizmie ostatnich dekad.

Co ma internet do faksu

Wystarczy spojrzeć, jak zmieniła się reputacja czołowych postaci branży nowych technologii, takich jak Mark Zuckerberg czy Elon Musk. Tego drugiego porównywano kiedyś do Iron Mana, dziś większość osób postrzega go raczej jako kogoś w rodzaju złoczyńcy z filmów o Jamesie Bondzie.

Joel Kaplan, przedstawiciel Mety ds. globalnej działalności (a kilka lat wcześniej doradca Republikanów), nie kryje rozczarowania decyzją Komisji Europejskiej.

– Tu nie chodzi tylko o grzywnę; wymuszając na nas zmianę modelu biznesowego, Komisja w praktyce nakłada na firmę Meta wielomiliardowe „cło" i zmusza nas do oferowania usługi gorszej jakości – stwierdził po wydaniu wyroku.

Ironiczny komentarz sam ciśnie się na usta.

Usługi gorszej jakości? W sensie, że Facebook i Instagram mogą działać jeszcze gorzej niż dziś? To możliwe, żeby było tam jeszcze więcej botów, śmieciowych informacji, bezsensownych filmików i grafik generowanych przez AI lub natrętnych reklam i treści sponsorowanych?

Obie platformy Mety są doskonałym przykładem czegoś, co dziennikarz Cory Doctorow określa bezceremonialnie mianem „gównowacenia się internetu". W skrócie ten proces przebiega tak: Najpierw platformy kuszą użytkowników atrakcyjną, bezpłatną usługą – robią wszystko, by zdobyć naszą uwagę i zbudować możliwie największą społeczność.

Kiedy użytkownicy się przyzwyczają i zostają „na pokładzie", serwis zaczyna się zmieniać. Coraz większą rolę odgrywają interesy reklamodawców i partnerów biznesowych – pojawia się więcej reklam, a algorytmy zaczynają promować przede wszystkim treści, za które ktoś zapłacił.

W końcu, gdy platforma osiągnie pozycję nie do ruszenia, poziom usług spada jeszcze szybciej. Bo teraz zarówno użytkownicy, jak i reklamodawcy są w pułapce. Muszą tańczyć tak, jak im zagra platforma, bo nie bardzo jest gdzie uciec. Co najwyżej na inną platformę z podobnymi problemami.

W efekcie platformy społecznościowe zdominowały cyfrowy krajobraz – nie dlatego, że są tak dobre, ale dlatego, że stały się „za duże, by upaść".

Branża mediów to doskonały przykład. Wszystkie gazety i portale zakładają konta na platformach społecznościowych, bo wiedzą, że coraz więcej osób tam zdobywa informacje. Według danych Pew Research Centre aż 54 proc. dorosłych Amerykanów deklaruje, że przynajmniej czasem trafia na najnowsze wiadomości za pośrednictwem platform społecznościowych.

Za mediami idą pojedynczy dziennikarze. Platformy dzięki temu dostają właściwie za darmo mnóstwo treści od osób opłacanych przez redakcje, co jeszcze bardziej umacnia ich dominację.

Dobrym przykładem jest to, co się działo po nieudanym zamachu na Donalda Trumpa. Natychmiast zwiększył się ruch w serwisach społecznościowych, a Musk zaczął zachwalać swoją platformę X – twierdził, że reaguje na wydarzenia lepiej i szybciej niż tradycyjne media.

Jednocześnie zarówno on sam, jak i tysiące innych użytkowników podawały zdjęcia z zamachu, w tym to najpopularniejsze – z Trumpem na tle amerykańskiej flagi. Tylko że to zdjęcie zrobił profesjonalny fotograf pracujący dla amerykańskiej agencji prasowej Associated Press.

Innymi słowy, Musk zarabiał na pracy opłacanej przez te same tradycyjne redakcje, z których sobie pokpiwał.

Firmy cyfrowe należą do najpotężniejszych na świecie. Za potęgą idą wpływy, także te polityczne. Wszystkie przeznaczają miliony dolarów na lobbing. Ale co my – jako społeczeństwo – dostajemy w zamian?

Dzięki swojej niemal monopolistycznej pozycji firmy big tech nadal należą do najbogatszych na świecie. Wycena rynkowa może jednak skrywać niewygodną prawdę na temat ich ogólnego wpływu na gospodarkę i społeczeństwo.

Gdybyście szukali kiedyś przykładów na to, jak bardzo ekonomiści potrafią się pomylić w swoich przewidywaniach, to jest duża szansa, że natraficie na tekst Paula Krugmana z 1998 roku. Krugman pokusił się w nim o stwierdzenie, że internet będzie miał wpływ na gospodarkę nie większy niż... faks.

Śmieszne, prawda?

Często pytam moich studentów, jaki wynalazek z ostatnich dekad wpłynął najbardziej na naszą gospodarkę. Internet jest zdecydowanie najczęstszą odpowiedzią. Ewentualnie urządzenia ściśle z nim powiązane – jak smartfon. Nikt nie wspomniał nigdy o faksie.

Nie sądzę, by moi studenci byli wyjątkiem. Wpływ internetu wydaje się niezaprzeczalny, a na pewno większy niż faksu. W tej opowieści jest jednak mały zwrot akcji. Tak, Krugman się pomylił, internet okazał się wynalazkiem o poważniejszych skutkach, ale... kiedy spojrzymy na dane, te skutki okazują się znacznie mniejsze niż podpowiada nam intuicja.

Po raz pierwszy ekonomiści i komentatorzy zaczęli wyłapywać ten zaskakujący trend w okolicach 2010 roku. Jakiś czas temu odkopałem artykuł Johna Cassidy'ego sprzed dwunastu lat dla „New Yorkera", w którym ten ze zdziwieniem analizował dane amerykańskiego Departamentu Pracy.

Przez chwilę wydawało się, że internet wywołał „cud produktywności" – w latach 1996–2000 wydajność pracy rosła w USA aż o 2,75 proc. rocznie, podczas gdy wcześniej było to tylko 1,5 proc. Jednak od 2005 roku wzrost produktywności wrócił do poziomu sprzed ery internetu, a w kolejnych latach jeszcze osłabł. W 2011 roku produktywność wzrosła zaledwie o 0,6 proc., w 2012 roku – o 0,7 proc., a pod koniec tego roku nawet spadła.

Może Cassidy trafił po na dziwny okres w gospodarce? Pisał swój tekst niedługo po kryzysie finansowym z lat 2007/2008. Ale kiedy Ezra Klein, dziennikarz „New York Timesa", wrócił do tematu dwa lata temu, natrafił na ten sam fenomen. Żadnego zauważalnego skoku w wydajności gospodarki.

Pralka przebija internet

Jeśli to wszystko prawda, to rodzi się oczywiste pytanie: dlaczego internet i cała branża cyfrowa nie zwiększyły produktywności gospodarki?

Niemal każdy, kto analizuje zagadkowy brak wpływu internetu na dane dotyczące produktywności, natrafia prędzej czy później na teksty ekonomisty Roberta Gordona. Jego teza jest prosta: internet i powiązane z nim wynalazki nie zmieniają sposobu produkcji tak, jak zrobił to na przykład silnik parowy.

„Od 2000 roku wynalazki koncentrują się głównie na urządzeniach rozrywkowych i komunikacyjnych, które są mniejsze, nowocześniejsze i bardziej zaawansowane, ale nie zmieniają zasadniczo wydajności pracy ani standardu życia tak, jak zrobiły to kiedyś elektryczność, samochody czy kanalizacja" – pisał Gordon już w 2012 roku.

Do tezy amerykańskiego ekonomisty można dorzucić jeszcze kilka rozpoznań. Klein we wspomnianym tekście zauważył, że internet ma dziwną cechę: co jedną ręką daje, drugą zabiera. To prawda, że powstanie komputerów oraz sieci przyspieszyło i ułatwiło wiele rzeczy. Jednocześnie jednak wprowadziło do naszych społeczeństw całe mnóstwo rozpraszaczy.

Tym sposobem wracamy do big techu. Giganci cyfrowi zarabiają na przyciąganiu naszej uwagi. To jest ich model biznesowy. Nie mają więc wielkiej motywacji, by cokolwiek zmieniać w tej kwestii.

Będą ciągle obiecywali, że ich nowa innowacja znowu coś uprości i przyspieszy. Obecnie tym czymś nowym jest „sztuczna inteligencja" pod postacią wielkich modeli językowych. Ale potem się okazuje, że to „coś nowego" służy głównie do wytwarzania nowych treści mających przyciągnąć naszą uwagę. Dobrym przykładem zalew zdjęć i filmików generowanych przez AI.

Co z tego mamy?

Prędzej czy później coraz więcej osób zaczyna zadawać sobie pytanie: czy ta gra jest warta świeczki?

Firmy cyfrowe należą do najpotężniejszych na świecie. Za potęgą idą wpływy, także te polityczne. Wszystkie przeznaczają miliony dolarów na lobbing. Ale co my – jako społeczeństwo – dostajemy w zamian?

Zalew dezinformacji, mnóstwo śmieciowych treści, dorosłych i młodych uzależnionych od smartfonów?

Obrońcy internetu i firm technologicznych mogą się bronić, że to wybiórczy obraz. Przyspieszenie przepływu informacji jest faktem. Tak samo jak automatyzacja niektórych czynności dzięki rozwojowi branży cyfrowej. Może po prostu tradycyjne wskaźniki słabo nadają się do wychwycenia największych zalet internetu, smartfonów i innych podobnych innowacji?

Może...

Niemniej zmiana trendów kulturowych też jest faktem. Rozdźwięk między tym, jak branża technologiczna zachwala swoje produkty, a tym, jak podchodzą do nich politycy, media, ekonomiści czy zwykli użytkownicy się powiększa.

Big tech nie może liczyć dłużej na taryfę ulgową, na przykład w formie luźnych regulacji antymonopolowych bądź związanych z prywatnością w sieci. Pokazała to nawet reakcja na ChatGPT i pozostałe wielkie modele językowe. Media i politycy podeszli do tego wynalazku z większym sceptycyzmem niż do poprzedniej nowinki z Doliny Krzemowej, czyli platform społecznościowych. Od samego początku toczy się ostra debata na temat zalet i wad tych modeli.

To dobrze. Jeśli firmy technologiczne, szczególnie te największe, chcą byśmy na serio traktowali groźby o „pogorszeniu jakości usług", muszą się bardziej postarać i udowodnić, że te usługi naprawdę są coś warte. ●

1 RP

eprasa.pl cd54021495

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

wyborcza.pl

Trzymaj się **faktów**

Zeskanuj mnie

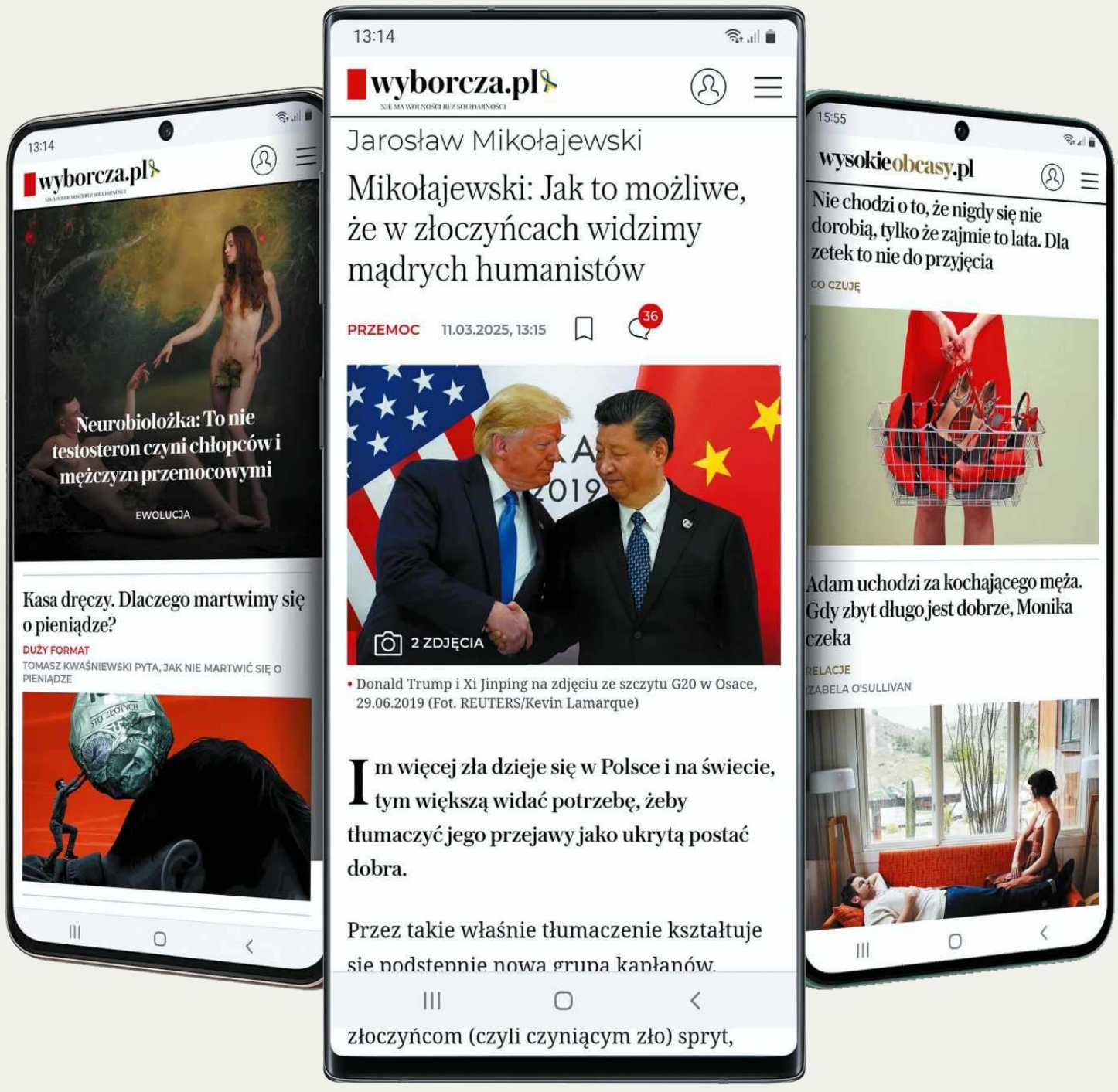

eprasa.pl cd54021495

MAGAZYNNAMAJÓWKĘ

Prawa ręka, szczęka pęka

JULIA SZEREMETA: Szczerze, to miałam raczej wywalone. Imprezowałam sobie, a na treningach „tryb leniuszek"

Dawid Krawczyk

„tryb leniuszek" i imprezowanie w klubach. Taka była Julia Szeremeta, zanim trener zagroził, że wyrzuci ją z kadry. Dziś jest wicemistrzynią olimpijską w boksie. Jej finałowa walka w Paryżu z Lin Yu-ting była czymś więcej niż tylko pojedynkiem o złoto – była ideologiczną bitwą o płeć w sporcie. Prawicowi komentatorzy wspierani przez rosyjskie trolle rzucili się udowadniać, że Tajwanka miała niezasłużoną przewagę za sprawą męskich cech.

Obie strony wojny kulturowej zaszufladkowały Julię już ostatecznie, kiedy w blasku nagłej sławy chełmianki postanowił ogrzać się Sławomir Mentzen i pochwalił, że 21-latka startowała z list Konfederacji w wyborach samorządowych.

Dołączyliśmy do szeregowej Szeremety – bo Julia jest żołnierką, służy w Centralnym Wojskowym Zespole Sportowym – na zgrupowaniu w Tatrach, żeby przekonać się, jaka jest naprawdę pięściarka, nad którą trudno zapanować.

•

Julia ma trzy lata. Ojciec podnosi ją i pierwszy raz sadza na grzbiecie konia. Jest rok 2006. Polacy emocjonują się awansem na piłkarski mundial. Kilka miesięcy później rwą włosy z głowy przy kolejnych przegranych meczach Biało-Czerwonych. Ciągle trzymają też kciuki za Adama Małysza, który jest co prawda już za szczytem kariery, ale wciąż udaje mu się zajmować w lotach narciarskich drugą pozycję na świecie. Oraz za siatkarzy, którzy ulegają w finale mistrzostw świata jedynie Brazylijczykom – na Okęciu lądują ze srebrnymi krążkami na szyjach.

Osiemnaście lat później takie same – jeśli nie większe – emocje wzbudza Julia na igrzyskach w Paryżu. Tylko że nie skacze konno przez przeszkody, choć krajobraz dzieciństwa popychał ją ku hippice, ale bije się w bokserskim ringu. Jej rodzice, podobnie jak kilka milionów Polaków, przeżywają każdy cios, który 21-letnia Julia zadaje i przyjmuje w finałowej walce.

Bieniów leży kilkanaście kilometrów na zachód od Chełma, kawałek dalej zaczyna się już Ukraina. Lublin jest godzinę drogi na zachód. Po horyzont pola, trochę lasów, stare chałupy na zmianę z nowszymi, ocieplonymi domami. W niewielkiej wiosce mieszka około 50 osób – oraz kilkanaście koni. – Mieliśmy stajnię. Bawiliśmy się z bratem, dużo się wygłupialiśmy. Tyle pamiętam z dzieciństwa. Ale tak naprawdę, jak już zaczęłam się uczyć, to po szkole zaraz jechałam na trening. Nie spędzałam w domu dużo czasu – wspomina srebrna medalistka z Paryża.

Podobno nie było łatwo nad nią zapanować. Nie mogła wysiedzieć przy stole, bo ciągle szukała wrażeń – pędząc konno albo bawiąc się z domowym pupilem, prawie dwumetrowym pytonem królewskim.

Siedzimy na ringu w sali Centralnego Ośrodka Sportu w Zakopanem. Bokserka przygotowuje się do startu w Pucharze Świata w Rio, po drodze zaliczy jeszcze turniej w węgierskim Debreczynie. Z Brazylii wróci ze srebrem, z Węgier ze złotem.

•

Trudno wyobrazić sobie krajobraz bardziej kontrastujący z rodzinnym Bieniowem niż ten, który widzimy za oknem w zakopiańskim ośrodku przygotowań olimpijskich. Jesteśmy tuż pod masywem Giewontu, na szczycie, wysoko nad naszymi głowami, wciąż leży śnieg. Próbuję jednak namówić bokserkę, żeby wróciła wspomnieniami do rolniczych nizin i równin pod Chełmem. Na wieś, gdzie ojciec Andrzej dogląda rodzinnej stadniny, a mama Wiesława pracuje w sklepie spożywczym.

– Kiedy pierwszy raz jechałam na koniu tak naprawdę, musiałam mieć jakieś cztery lata. Szybko się nauczyłam, lubiłam to. Najbardziej lubię skakać przez przeszkody, czuć tę prędkość, tę wolność. Po prostu lubię ryzyko i adrenalinę. Zawsze tak miałam. Nawet to, że mogę upaść, mnie nakręca, pozwala mi się skupić – opowiada Szeremeta.

Łatwo wyobrazić sobie, że najwięcej wspólnego miała z najbardziej porywczymi końmi. Żeby uwierzyć, że naprawdę lubi ryzyko, wystarczy chwilę poobserwować ją w ringu. – Prawy na lewy! Kontrola! – pokrzykuje trener Tomasz Dylak, unosząc co chwilę tarcze, na której lądują ciosy pięściarki.

Szeremeta nie walczy jak większość bokserów. Trzyma ręce nisko, dużo pracuje na nogach, nieustannie buja głową i tułowiem. Kiedy nie uderza, wygląda, jakby tańczyła breakdance i zbierała się do kolejnej figury. W ringu nie odstępuje trenera na krok. Kiedy tylko jego ręka z tarczą idzie do góry, lądują na niej ciosy – te z lewej precyzyjne i szybkie, te z prawej piekielnie mocne.

– Prawa ręka. Szczęka pęka – mówi Szeremeta, zawadiacko się uśmiechając i puszczając oko, kiedy podchodzi do lin w przerwie między rundami. Ściąga rękawice, rozwiązuje owijki, czyli bandaże, którymi bokserzy stabilizują dłonie i nadgarstki. – Szczerze mówiąc, to dla mnie tutaj, na kadrze, jest mój drugi dom. Na zgrupowaniach przebywam w zasadzie cały czas. Znamy się od tylu lat, że jesteśmy dla siebie jak rodzina. Zmieniamy tylko miejsca, ale zawsze jesteśmy praktycznie w tym samym gronie.

Blisko 300 dni w roku Szeremety to zgrupowania, zawody, wyjazdy. Co robi w pozostałe 60, można podejrzeć na jej Instagramie. Klawiatury w redakcjach tabloidów rozpaliła, kiedy pochwaliła się, jak ćwiczy pole dance. Czyli jak tańczy wokół metalowej rury. Skojarzenia wiadome.

– No tak, słyszałam, że to wzbudziło emocje, a to też jest element planu treningowego. Pole dance pozwala na angażowanie zupełnie innych mięśni i wyciąga ciało. Supersport, który świetnie wpisał się w moje przygotowania. Ale tak, przyznaję, sprawia mi sporo satysfakcji – Szeremeta uśmiecha się szeroko.

– Chyba więcej emocji niż ten pole dance wzbudziła tylko kwestia twojego życia prywatnego. Znasz te nagłówki: „Wszystko jasne. Szeremeta ujawniła, czy ma chłopaka"? – pytam młodej pięściarki.

– Boks pochłania mnie w 100 proc., serio. Chyba za wcześnie na myślenie o zakładaniu rodziny. Związki i relacje to naprawdę duże wyzwanie w trybie, w jakim jesteśmy jako zawodowi sportowcy.

•

W jej sportowej biografii mogłoby się znaleźć klasyczne zdanie: „Ze sportem była związana od najmłodszych lat". Ale historia Julii Ateny (takie drugie imię wybrał ojciec) Szeremety to nie tylko opowieść o żelaznej dyscyplinie, sportowym reżimie i tytanicznej pracy.

– Trenowałam karate, odkąd skończyłam kilka lat. Ale więcej tam było zabawy niż takiego stricte sportowego treningu. Graliśmy czasem w piłkę, ćwiczyliśmy samoobronę. W końcu zaczęło mi się nudzić i zabrałam się z kolegą na trening boksu – opowiada.

Miała 13 lat, kiedy weszła na salę gimnastyczną w II Liceum Ogólnokształcącym w Chełmie. Drewniany parkiet i kilka worków treningowych zawieszonych na zajęcia z boksu. – Nie powiem, żeby to robiło jakieś wielkie wrażenie. Ale boks mi się spodobał. Mama, która sama trenowała w młodości karate, nie chciała się z początku zgodzić, żebym zamieniła kimono na rękawice. Przez rok trenowałam jedną i drugą dyscyplinę, ale w końcu postawiłam na swoim – mówi Szeremeta.

– I od tego czasu byłaś na każdym treningu, przychodziłaś przed zajęciami i zostawałaś po nich, że-

1 RP

eprasa.pl cd54021495

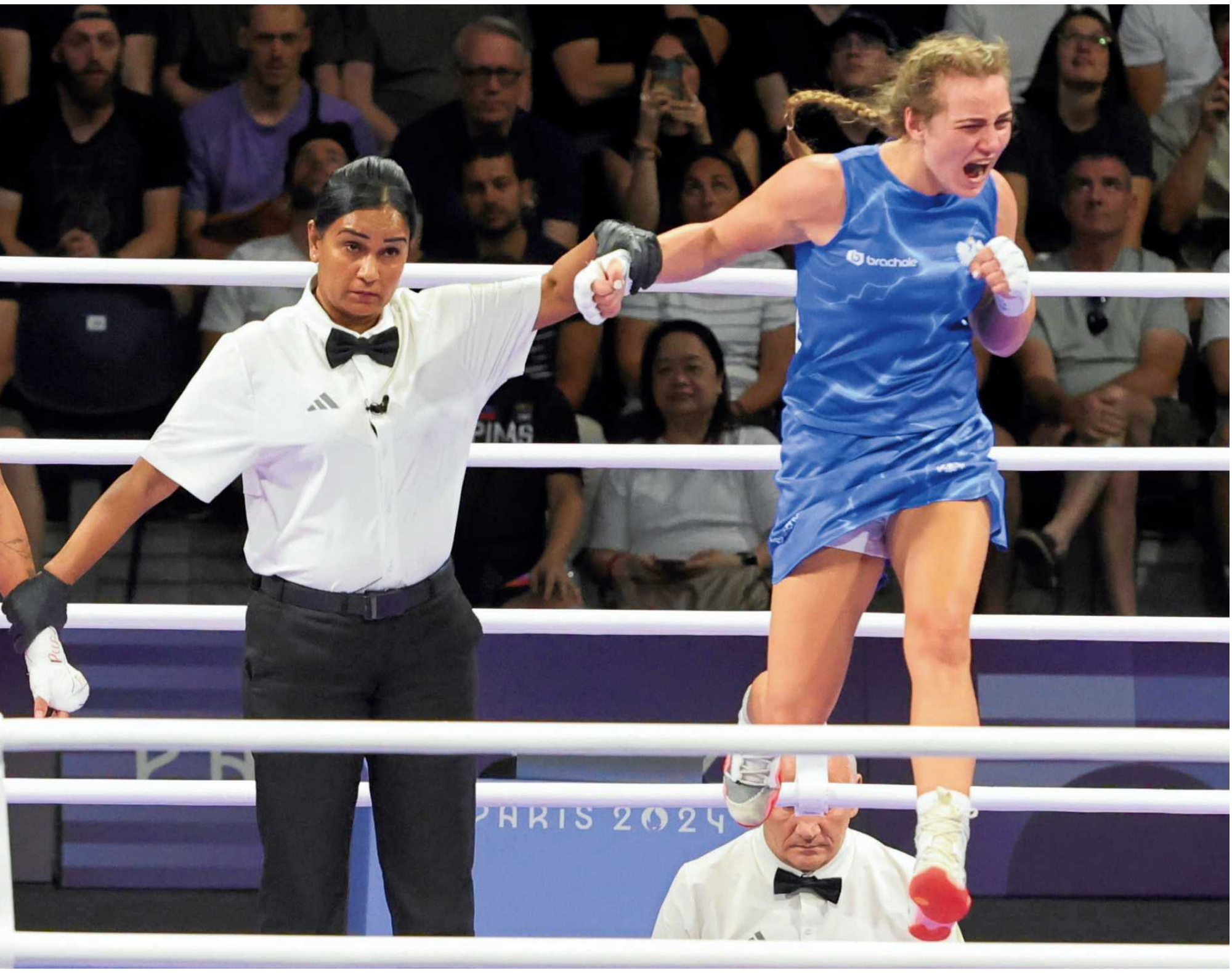

• 04.08.2024 Igrzyska w Paryżu. Julia Szeremeta wygrywa ćwierćfinałową walkę z Portorykanką Ashley-ann Lozadą. W półfinale pokonałą Filipinkę Nesthy Petocio i zapewniła sobie srebrny medal olimpijski FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

by dopracować technikę? – pytam, mając w głowie wspomnienia wielu mistrzów.

– Szczerze, to miałam raczej wywalone. Zresztą do dzisiaj mi trochę z tego zostało, ale w dobrym sensie. Chodziłam na treningi, robiłam swoje, ale nie przykładałam się. Imprezowałam sobie, bawiłam się, a na treningach „tryb leniuszek" – opowiada Szeremeta.

Bramki w klubach w Lublinie obstawiali znajomi bokserzy, więc dla nastolatki nie było problemem, żeby prześlizgnąć się na imprezę. – Nie żałuję, bo się wybawiłam, ale w końcu musiałam wybrać, czy imprezki, czy ciężka praca.

Trenerzy jeden po drugim tracili do niej cierpliwość. – Oni mi jedno słowo, a ja im dwa. Kłóciliśmy się przed zawodami. Chciałam robić wszystko po swojemu. Po prostu nie lubię, jak mi się czegoś zakazuje. Jak ktoś mi mówi, że mam coś zrobić. Albo jeszcze gorzej, że mam czegoś nie robić, to na pewno zrobię na odwrót.

– Ale teraz swojego trenera się przecież słuchasz – odpowiadam zdziwiony. Kiedy on mówi, ona milczy. Nie dyskutuje, nie stawia się, wykonuje każde polecenie.

– Tylko jego nauczyłam się słuchać. Znalazł na mnie sposób.

•

– Jej trenerzy mówili, że sobie nie poradzę, że trudno ją zmusić do ciężkiej pracy. Nie słucha, nie daje się prowadzić – opowiada 37-letni Tomasz Dylak, trener żeńskiej kadry bokserskiej.

Pochodzi z Gostynia w Wielkopolsce. Choć sam nigdy nie trenował boksu, to zafascynował się pięściarstwem, oglądając i analizując walki Andrzeja Gołoty, a później Tomasza Adamka. Mówi o sobie, że jest trenerem samoukiem. A teraz może mówić, że samoukiem, który przywiózł z igrzysk pierwszy medal dla polskiego boksu od 32 lat.

– To nie była spokojna dziewczyna. Ale mi się dobrze pracuje z takimi niesfornymi ludźmi, bo sam taki byłem. Wiem, jak do nich podejść. Trzeba powoli, nie zmuszać do wszystkiego od razu, bo jak ktoś ceni swoją wolność, to łatwo nie podda się dyscyplinie.

Kiedy się poznali, 15-letnia Julia przyjechała na zgrupowanie kadry narodowej pięściarek. Była na tyle dobra, żeby dostać się do reprezentacji kraju, ale Dylak szczerze ocenia, że plasowała się raczej w środku stawki. – Widziałem w niej potencjał, bo jest naprawdę uzdolniona ruchowo. No, ale to był potencjał, który dopiero trzeba było rozwinąć. Nastoletnie dziewczyny słyszały od Dylaka, że celem są igrzyska olimpijskie i medale na najważniejszych imprezach. – Prawie codziennie robiłem im te odprawy i było takie pranie mózgu, że jesteśmy najlepsi na świecie, odbudujemy polski boks i przyjdzie w końcu nasz czas – opowiada trener.

Szeremeta na odprawach uważała, ale żeby naprawdę uwierzyć w słowa selekcjonera, potrzebowała czasu. Przełom nastąpił trzy lata temu, po kolejnych zawodach, na których młoda pięściarka musiała się pogodzić z ringową porażką.

– Słabo wypadła. Zdenerwowałem się i powiedziałem jej, że dostaje ode mnie żółtą kartkę. Albo się poprawi, weźmie za robotę, zmieni podejście do treningu, albo nie ma dla niej miejsca w kadrze. Nie mogłem dłużej patrzeć, jak marnuje swój wielki potencjał. Nie rzucam słów na wiatr, nawet jakbym miał stracić najlepszą zawodniczkę, to gdyby się nie poprawiła, wyrzuciłbym ją – zapewnia Dylak.

– Nie prowadziłam się wtedy dobrze, miałam kiepską formę. Odpuszczałam na treningach, jadłam bardzo źle, co popadnie. Trenerzy wzięli się za mnie tak, że nawet na stołówkę za mną chodzili. Skończyły się słodkie napoje, pilnowali, żebym piła dużo wody. Zaczęło się: teraz jesz to, jesz tamto. A na siłowni skończyło się oszukiwanie. Dopiero wtedy zaangażowałam się w trening na 100 proc. – mówi Szeremeta.

Pierwszy duży sukces przyszedł już po kilku miesiącach. W Czarnogórze sędzia po finałowej walce uniósł rękę Julii do góry. Została juniorską mistrzynią Europy. – Byłem ogromnie dumny i dostałem potwierdzenie, że mi się nie ubzdurało. Ona naprawdę ma potencjał. Nie wydawało mi się, nie myliłem się. Już wiedziałem, że osiągnie jeszcze wielkie rzeczy – wspomina Dylak.

•

Jeszcze kilka dni przed igrzyskami nazwisko „Szeremeta" nie pojawiało się na medialnej giełdzie potencjalnych medalistów biało-czerwonej ekipy. Nawet wśród bokserów bukmacherzy dawali większe szanse Anecie Rygielskiej i Elżbiecie Wójcik. Szeremeta nie przejmowała się tym, że nie jest faworytką. „Najmłodsza. Mało znana. Na papierze z najmniejszymi szansami. Daleko w rankingu. Ale to ja zaskoczę świat. Nie czuję respektu do nikogo" – napisała przed wylotem do Paryża. W wywiadzie po ślubowaniu

Mama, która sama trenowała w młodości karate, nie chciała się z początku zgodzić, żebym zamieniła kimono na rękawice

eprasa.pl cd54021495

olimpijskim mówiła wprost, że wróci z medalem. Kiedy w czasie ceremonii otwarcia igrzysk płynęła barką przez Paryż z innymi olimpijczykami, nie ekscytowała się samym faktem, że jest na olimpiadzie. – Przyjechałam po medal. Sam start mnie nie satysfakcjonował. Zresztą nie wspominam dobrze tej łódki. Lał deszcz, a my tam przemokliśmy.

Szeremeta na igrzyskach pięć razy wchodziła do ringu, żeby skrzyżować rękawice z kolejnymi przeciwniczkami. Kiedy doszła do półfinału, jej nazwisko znał w Polsce już każdy. Komentatorzy uwiedzeni jej widowiskowym stylem walki mówili o imponującej pewności siebie, sceptyczni eksperci – o ringowej arogancji.

– Styl Julki nie pasuje każdemu. Ona bazuje na tym, jaką ma naturę, ciągnie ją do ryzyka, szuka w walce adrenaliny. Wzorowaliśmy się na bokserach instynktownych, nieprzewidywalnych, takich jak Prince Nasseem Hamed czy Roy Jones Jr. – analizuje trener Dylak. – Julka ma w sobie podobne cechy. Świetny refleks, błyskawiczne nogi, umiejętność bronienia się i zamiłowanie do ryzyka. Ale to nie znaczy, że na pewno tak będzie walczyć już zawsze. Ciągle eksperymentujemy, czasem Julka podchodzi bliżej, częściej idzie na wymiany, jej ciosy ranią teraz bardziej.

•

Ale nie tylko wizja złotego medalu dla Polski rozpalała portale, telewizje i dyskutantów w social mediach tuż przed olimpijskim finałem. Tak samo, jeśli nie bardziej, ekscytująca stała się kwestia płci Lin Yu-ting, z którą Szeremeta walczyła o najwyższy laur.

Tajwanka została zdyskwalifikowana w 2023 r. przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Boksu (IBA) podczas Mistrzostw Świata za to, że nie spełniła kryteriów płciowych pozwalających na start w kategorii kobiecej. Według doniesień wykryto u niej chromosom Y. Ale Międzynarodowy Komitet Olimpijski uznał tę decyzję za arbitralną i niesprawiedliwą oraz dopuścił start Yu-ting w Paryżu. Przedstawiciele MKOl podważali metodologię testów płci z 2023 r. i nie zdecydowali się przeprowadzić własnych badań.

Testy płci u sportowców wzbudzają kontrowersje w zasadzie od zarania nowożytnego sportu. W pierwszych dekadach XX wieku sprowadzały się do prezentacji genitaliów przed komisją, co w najbardziej niejednoznacznych przypadkach wywoływało falę komentarzy w stylu: „Ale przecież ona wygląda, rusza się i mówi jak mężczyzna". Dyskusje wokół rzekomej męskości i wynikającej z niej przewagi zawodniczek „wyglądających jak mężczyzna" przycichły, gdy wraz z rozwojem nauki zaczęto badać chromosomy i poziom testosteronu. Ale wybuchły na nowo, gdy neokonserwatyści i alt-rightowcy wyczuli, że najlepszym prawicowym politycznym paliwem są już nie podatki, patriotyzm czy nawet kwestie rasowe, ale sprawy obyczajowe i tożsamościowe od aborcji po płeć. Politycy nowej prawicy skupiają się głównie na udziale osób transpłciowych w sporcie – jednym z pierwszych dokumentów podpisanych przez Donalda Trumpa po inauguracji była ustawa „Keeping Men Out of Women's Sports" – „Trzymajmy mężczyzn z dala od sportu kobiet" – zakazująca transkobietom startu w kobiecych zawodach na poziomie szkolnym i uniwersyteckim.

Lin Yu-ting nigdy nie identyfikowała się jako osoba transpłciowa, ale i tak kontrowersje wokół jej płci posłużyły jako pożywka dla polityków. Ci polscy błyskawicznie dostrzegli okazję. „Julia Szeremeta wśród kobiet już wygrała! Teraz w olimpijskim finale zmierzy się z 30-letnim Lin Yu-tingiem, czyli mężczyzną, który podaje się za kobietę. Innymi słowy, żeby kobieta zdobyła złoto, to musi na koniec pobić mężczyznę. Do takich absurdów i wypaczeń rywalizacji sportowej doprowadziła chora, lewacka propaganda, która próbuje zawładnąć dzisiejszym światem" – pisała tuż

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Julia jako wicemistrzyni olimpjska, razem z Wiktorem Glazunowem była chorążym naszej reprezentacji i niosła polską flagę w czasie ceremonii zamknięcia igrzysk**

przed finałową walką europosłanka Konfederacji Ewa Zajączkowska.

– A ty co myślisz o całej aferze wokół płci swojej rywalki? – pytam Szeremety.

– Nieszczególnie mnie interesuje ta debata. Ja wychodzę, robię swoje i walczę. W boksie codziennie spotykamy zawodniczki, przy których można się zastanawiać, czy to chłopak, czy dziewczyna. Więc dla mnie to nie była jakaś nowość. Ale to nie jest moja sprawa, od tego są federacje i MKOl, ja mam wygrać w ringu. MKOl powinien to wyjaśnić, ale to może trwać latami, więc nie będę się na tym skupiać – odpowiada.

•

Jakby kontrowersji przed olimpijskim finałem było mało, właśnie wtedy Mentzen opublikował w serwisie X plakat wyborczy Konfederacji z twarzą Julii. „Dumna Bogata Lubelszczyzna!" – pod takim hasłem Szeremeta startowała (bez powodzenia, 1409 głosów nie wystarczyło) do sejmiku. I młoda pięściarka została bohaterką prawicy.

– Zostałam w to wmanewrowana. Mnie nawet nie interesuje polityka. Nie śledzę, co się dzieje, nie oglądam, nie analizuję. Wiem, że ludzi to emocjonuje, ale ja robię swoje w ringu i nie zamierzam startować w żadnych wyborach – mówi mi Szeremeta.

Tomasz Dylak, trener:
To nie była spokojna dziewczyna. Ale mi się dobrze pracuje z takimi niesfornymi ludźmi, bo sam taki byłem. Trzeba powoli, nie zmuszać do wszystkiego od razu, bo jak ktoś ceni swoją wolność, to łatwo nie podda się dyscyplinie

– Poznaliśmy się dopiero po igrzyskach, ale wiem, że Julia nie miała nigdy ambicji politycznych. Ktoś z lokalnych polityków do niej zadzwonił, zapytał o wsparcie, zgodziła się, a w efekcie wylądowała na liście wyborczej i plakacie – słyszę od Dominika Gorzelańczyka, menedżera Szeremety. – Jej wizerunek znalazł się w miejscu, gdzie nie powinien się znaleźć. Duża lekcja dla niej, że sportowiec takiego formatu zawsze musi mieć kontrolę nad swoim nazwiskiem.

•

– Jak wyglądał dzień finału olimpijskiego? Jak co dzień, na luzie. Wiem, że to może wielu osobom wydawać się dziwne, ale ja to serio tak przeżywam. Zjedliśmy śniadanko, poleżeliśmy na słoneczku. Poszliśmy pobawić się na strefę gier i zabaw. Głównie to odpoczywałam – opowiada Szeremeta.

Słucham jej i zaczynam rozumieć, co ma na myśli, kiedy mówi, że czasem ma po prostu „wywalone". – Od trenerów kiedyś usłyszałam, że ja nie mam układu nerwowego, bo mnie walki naprawdę nie denerwują – pięściarka uśmiecha się od ucha do ucha. – A to nie boli, kiedy złoto jest tak blisko, dzieli cię od niego kilka celnych ciosów, ale musisz uznać wyższość przeciwniczki? – pytam.

– Pewnie, że chciałoby się to złoto. Dobra, przyznaję, że byłam delikatnie smutna. Ale kiedy poczułam medal na szyi, to jednak przeważały te pozytywne uczucia. Pomyślałam sobie, że kurczę, to jest jednak srebro na igrzyskach olimpijskich!

•

W kilka dni stała się w Polsce bohaterką paryskich igrzysk. To ona niosła polską flagę na ceremonii zamknięcia. I mimo że nie zdobyła złota, udało jej się zawadiackim stylem skupić najwięcej uwagi mediów. Ultimatum od trenera dostała zaledwie trzy lata wcześniej. Pytam więc Dylaka wprost, czy nie obawiał się, że sukces przytłoczy jego – dopiero niedawno ujarzmioną – podopieczną i Szeremeta wróci do dawnych nawyków, krnąbrności i imprez.

– Na początku miałem pewne obawy. Wiedziałem, że będę trzymał Julkę w ryzach, ale zastanawiałem się, jak ona zareaguje. Wiadomo, nagle pojawiają się duże pieniądze, różne propozycje, zaczną kręcić się wokół nas ludzie, którzy będą chcieli czerpać z tego korzyści. Obawiałem się, czy Julka pozostanie tą samą osobą – przyznaje Dylak.

Ale nie zmieniła się, a po igrzyskach jest jeszcze bardziej zmotywowana do ciężkiej pracy. – Cały sztab i dziewczyny z kadry widzą, że wciąż jest uśmiechnięta, skromna i żyje jak wcześniej. Pieniędzy nie rozpuszcza, tylko stara się mądrze inwestować – chwali ją trener.

Przed igrzyskami żyła skromnie, wynajmowała pokój w niedużym mieszkaniu w Lublinie. Srebrny krążek z Paryża niemal z dnia na dzień zmienił jej sytuację finansową. Razem z medalem wygrała kawalerkę pod Warszawą („Wybrałam już sobie mieszkanko, na trzecim piętrze. Ma być gotowe pod koniec 2026 r." – cieszyła się w rozmowie z PAP), jeździ nowym samochodem ze swoją podobizną (jesienią podczas Wielkiej Gali Boksu dostała kluczyki do SUV-a Suzuki), a między treningami podpisuje kolejne kontrakty reklamowe opiewające na sumy, o których wcześniej mogła tylko pomarzyć.

– Pieniądze to nie jest coś, co w pierwszej kolejności napędza mnie do działania, ale nie ukrywam, że to całkiem przyjemny dodatek. Staram się podchodzić ostrożnie do tych pieniędzy, które pojawiają się na moim koncie, będę chciała je zainwestować, żeby pracowały na siebie – mówi Szeremeta. I zastrzega: – Na pierwszym miejscu jestem sportowcem, więc zawsze zgrupowania, wyjazdy i zawody będą najważniejsze.

Jak bardzo jej życie się zmieni, dotarło do Julii od razu na warszawskim Okęciu. – Na lotnisku było tyle osób, tyle kamer, tyle znajomych i dziennikarzy, że byłam w szoku. Od tamtej pory cały czas zaproszenia, wywiady, spotkania. W grudniu miałam już dosyć, byłam tak zmęczona, że normalnie chciało mi się płakać – mówi Szeremeta.

Zmęczenia nie widać po niej w programie u Kuby Wojewódzkiego, gdzie odpowiada między innymi na pytanie, czy czuła w finale, jakby biła ją kobieta, czy mężczyzna. – Sama rozmowa była spoko, zero stresu, luz i wywalone. Dopiero później, jak musiałam siedzieć na kanapie i się nie odzywać, bo był jeszcze drugi gość, to mi się zaczęło nudzić.

•

Trener jeszcze w wiosce olimpijskiej zorientował się, że nie zdoła odpowiadać na wszystkie pytania dziennikarzy i sponsorów. Jego telefon rozgrzewał się do czerwoności. Wypytał bardziej doświadczonych olimpijczyków o kontakt do menedżera z doświadczeniem w zajmowaniu się sportowymi karierami. Dostał numer do Dominika Gorzelańczyka, który współpracował m.in. z Joanną Jędrzejczyk, polską mistrzynią mieszanych sztuk walki, ze srebrną medalistką olimpijską w wioślarstwie Kasią Zillmann czy z Krzysztofem Piątkiem, reprezentantem Polski w piłce nożnej.

– Julia ma ten sam wzrok „predatora", który miała w ringu Asia Jędrzejczyk – mówi Gorzelańczyk, kiedy razem oglądamy trening Szeremety.

Menedżer wie, że pierwsze miesiące po sukcesie tego kalibru są dla zawodników przytłaczające bardziej niż ciężkie treningi. – Sportowiec przeżywa euforię na zawodach, po zdobyciu medalu, ale później ona naturalnie opada. A medialna euforia trwa i trwa. Zwłaszcza że Julii udało się wywołać jakieś prawdziwe poruszenie w narodzie.

Jedna z pierwszych propozycji, jakie spłynęły po Paryżu, dotyczyła właśnie ulubionej narodowej dyscypliny. Freak fight, kabaretowa odmiana MMA i kick-boxingu, to wielkie pieniądze i wielkie zasięgi. Gaże za walkę są sześciocyfrowe, oglądalności liczone w setkach tysięcy. Kabaretowa, bo w oktagonie pojedynkują się nie zawodowcy od sztuk walki, tylko influencerzy, streamerzy i patostreamerzy, celebryci wszelkiej maści oraz znani sportowcy innych dyscyplin, skuszeni kilkuletnimi zarobkami za jeden występ. Do młodej pięściarki też zgłosiła się jedna z federacji freak fight.

– Nawet nie było tak, że chciała dyskutować. Po prostu powiedziała „nie" i koniec. Decyzja w ciągu 10 sekund – opowiadał trener Szeremety w Interii.

– Przyznaję, że freak fighty kusiły ogromnymi pieniędzmi. Takimi, które mogłyby ustawić Julię finansowo na lata. Ale od początku było dla nas jasne, że nie będziemy nimi zainteresowani w takiej formule, jaką oferują obecnie – wzrusza ramionami Gorzelańczyk.

Nie tylko z powodu, o którym dobitnie mówił Tomasz Dylak: „Taka walka we freak fightach nie przystoi żołnierzowi polskiemu". – Julka jest zawodową pięściarką, która jest w najlepszym momencie formy, kariery i sportowych aspiracji. Jeżeli mielibyśmy myśleć o udziale w tego typu wydarzeniach, to tylko wtedy, gdy opierałyby się one na boksie – profesjonalny ring i przeciwnik. Doskonałym przykładem jest walka między legendarnym pięściarzem Mikiem Tysonem a influencerem Jakiem Paulem, która, choć nie była walką zawodową, miała na celu promocję boksu i wartości, jakie są wokół niego: rywalizacji, szacunku i dyscypliny – kwituje menedżer.

A co na to wszystko sama zainteresowana?

– W najbliższym czasie freak fightów nie planuję – mówi mi na pożegnanie Szeremeta. I uprzedza pytanie: – W wyborach też nie będę startować. Tylko boks na 100 proc. W tym roku robimy formę na wrzesień, jedziemy do Liverpoolu na Mistrzostwa Świata i wracamy ze złotym medalem. A za niecałe cztery lata igrzyska w Los Angeles i olimpijskie złoto. ●

1 RP

eprasa.pl cd54021495

Kariera aury. Od papieża do kubka kawy

Kiedy skupiamy się na człowieku, a nie na jego podlegającym krytyce słowie – to zaczynamy czuć, ale przestajemy myśleć.

Marcin Matczak

Jorge Bergoglio jest na tym zdjęciu i zwyczajny, i niezwyczajny. Ktoś zrobił mu je w tramwaju, chyba w Buenos Aires, kiedy jeszcze nie był Franciszkiem. Ma na sobie czarną sutannę, wpatruje się w obiektyw bez uśmiechu, ale bije z niego jakaś dobra energia. Po śmierci papieża publikuje się je w sieci z komentarzem „Aura".

Te nasze portale społecznościowe są niby takie nowoczesne, ale co jakiś czas pojawia się w nich słowo stare, które bardzo pasuje do czasów nowych. Tak jest ze „sznytem", z „powabem" czy ze „splinem" albo z „opulence" („przepychem") po angielsku. Dzisiaj „aura" to bardziej tradycyjne słowo określające „vibe" – klimat, atmosferę, energię kreowaną przez osobę, jej wizerunek, jej charyzmę.

Aura działa, bo ludzie chcą wierzyć

Jest w tym nowym-starym użyciu to, co kiedyś nazwał aurą Walter Benjamin – niepowtarzalna obecność, „tu i teraz" zakorzenione w dziele, w człowieku, w spojrzeniu. Benjamin pisał o dziełach sztuki, ale aura przestała się ograniczać do muzeów. Teraz ma ją influencer pijący kawę z kubka z cytatem z Rilkego, ma ją polityk, który udaje, że sam pisze swoje posty. Pragnie jej z różnym skutkiem każdy kandydat na prezydenta.

Aura jest doświadczeniem bliskości. Przyjaciel Franciszka pisał: „Najbardziej poruszał mnie jego sposób bycia w pełni obecnym. Kiedy się z nim spotykaliśmy, nie było go nigdzie indziej, nie górował nad nami – był tam, całkowicie". Może nowa kariera aury z tym właśnie jest związana – w świecie followersów ludziom brakuje realnej obecności? Ale jaka to prawdziwa obecność – z fotografii?

Bo aura to także zdjęcie bez filtra, które wygląda, jakby nie było pozowane, choć oczywiście jest; story nagrane „przypadkiem", z idealnym światłem i niechcący mądrą myślą; głos lekko zachrypnięty, niby zmęczony życiem, ale jednak sexy. „Autentyczność" opakowana w strategię personal brandingu. W tym świecie aura jest efektem algorytmu, nie duszy. A mimo to działa – bo ludzie chcą wierzyć, że za fasadą słów i póz naprawdę ktoś jest.

Przeżywamy ludzi, nie słowa

Byung-Chul Han, filozof melancholii późnego kapitalizmu, pisze, że to właśnie utrata aury boli nas dzisiaj najbardziej – brak głębi i kontemplacji. Wszyscy jesteśmy na widoku, wszystko jest natychmiastowe i płytkie. I dlatego tym bardziej tęsknimy za czymś, co istnieje nie powierzchownie, ale autentycznie. Moda vintage, winyle, msze łacińskie i stare tramwaje – wszystko, co pachnie jedynością, czymś, co nie da się powtórzyć, przyciąga jak magnes.

To dobre skutki powrotu aury. Ale są też złe. Ma rację Jacek Dukaj, pisząc, że dzisiaj bardziej przeżywamy ludzi niż ich słowa. Gdy ktoś przemawia – mniej nas obchodzi, co mówi, a bardziej to, kim jest. Czy dobrze wygląda, czy bije z niego pewność, że wie, dokąd zmierza (nawet jeśli tylko na hulajnodze na następne spotkanie z wyborcami).

Znamy dobrze tę zmianę optyki (właśnie – optyki, nie akustyki, bo o obraz tu chodzi, nie słowo). Z naszym własnym papieżem było dokładnie tak samo. Ileż razy ks. Tischner skarżył się, że Polacy kochają Jana Pawła II, ale go nie rozumieją. Wzruszają się, klaszczą, śpiewają „Barkę" – ale rzadko próbują zrozumieć, co naprawdę mówi.

Prawo ma niski vibe

Kiedy skupiamy się na człowieku, a nie na jego podlegającym krytyce słowie — to zaczynamy czuć, ale przestajemy myśleć. A z uczucia do idola już tylko krok do fanatyzmu. Wtedy nie liczy się program, tylko to, „czy on ma dobrą energię". Nie merytoryka, tylko to, „czy on coś sobą reprezentuje". Nie sensowny plan, tylko to, „czy dobrze wygląda na tle polskiej flagi".

Aura Trumpa spowodowała, że ludzie pili płyn do czyszczenia toalet, aby wyleczyć COVID-19, bo „pan prezydent tak powiedział". Ale aura jest groźna bardziej systemowo. Procedury demokratyczne, prawa i nudne reguły mają niski „vibe". Najbardziej „auratyczne" bywają właśnie decyzje pozaprawne, spektakularne, teatralne. Jak wizyta Brauna w Oleśnicy i „walka" w obronie „mordowanych" przez lekarzy dzieci.

Jeśli ktoś mówi z przejęciem, to nie znaczy, że mówi z sensem. Jeśli ma „to coś", to nie znaczy, że ma rację. Gdy aura całkiem zagłuszy logos, zostaje nam czysta impresja – i polityka jak talent show: nieważne, co powiesz, ważne, jak wejdziesz na scenę. Kto będzie prezydentem? Ten, który „ma energię". Kto ministrem edukacji? Ten, którego aura mówi: „wyglądam jak twój przodek z obrazu i mam mądry tembr głosu".

Uwaga na kult

Aura, ta tajemnicza mgiełka wyjątkowości, nie znosi analizy. Gdy próbujesz ją opisać, ucieka. Gdy pytasz: „Co właściwie mnie w nim porusza?", odpowiada: „Nie pytaj, po prostu czuj". Logos zaś chce zrozumieć. Chce słów, argumentów, sensów.

A to, jak wiadomo, aura uznaje za niegrzeczne, jeśli nie prostackie, jak pytanie kierowane do wyborców Konfederacji, dlaczego chcą głosować na Mentzena, który gwałt uznaje za „nieprzyjemność". W efekcie mamy świat oczarowany aurą, a zarazem coraz mniej zdolny do myślenia. Nic się nie zmieniło od czasów ks. Tischnera: „Daliśmy światu papieża, ale nasz logos jest pusty".

Ludzi skupionych na aurze nie trzeba jednak wyśmiewać ani traktować jak naiwnych wyznawców czaru osobowości. Oni po prostu tęsknią – nie za celebrytami, ale za obecnością, która nie jest reklamą, hasłem czy memem.

Tęsknią za kimś, kto jest naprawdę – nie tylko mówi, nie tylko obiecuje, nie tylko streamuje siebie samego z trzech kamer. Tęsknią za spojrzeniem, które nie szuka zasięgu. Za głosem, który nie domaga się lajka. W świecie przepełnionym dźwiękiem, obrazem i „kontentem" chcą kogoś, kto nie musi krzyczeć, by zostać usłyszanym.

Aura jest właśnie tym – niemożliwym do wyjaśnienia doświadczeniem kogoś, kto jest tak bardzo sobą, że my też chcemy być trochę bardziej sobą. To nie głupota. To głęboka potrzeba sensu i zakorzenienia.

Ale aura – choć piękna – nie może zastąpić nam treści. Obecność to nie program polityczny. Ciepło spojrzenia nie rozwiąże problemów państwa. Dlatego trzeba rozumieć tę tęsknotę – i zarazem uważać, by nie przerodziła się w kult. Więc zanim wzruszysz się kolejnym zdjęciem, liderem, mówcą, który „ma to coś" – zapytaj: Co on właściwie powiedział? Niech aura nas wzrusza, ale niech logos nas prowadzi. ●

Śródtytuły pochodzą od redakcji

„Aborterka". Feminatyw jako obelga

Nawrocki mówi, że Trzaskowski to „wytwór laboratorium politycznego". Ta świeża i śmiała metaforyka kieruje naszą uwagę w stronę eksperymentów doktora Frankensteina.

Michał Rusinek

Zwróćmy uwagę na dwa całkiem nowe językowe zjawiska, jakie pojawiły się w dyskursie publicznym w ostatnim czasie. Pierwsze powstało w laboratorium słowotwórczym, drugie – metaforycznym.

Wydawałoby się, że gdzie jak gdzie, ale w „Naszym Dzienniku" feminatywy nie pojawią się jeszcze długo. Mam na myśli feminatywy nowsze, płyciej zakorzenione w polszczyźnie, czyli takie, które mają odcień rzekomo polityczny. Tymczasem po aferze w szpitalu w Oleśnicy ukazał się na łamach tego czasopisma artykuł zatytułowany „Aborterka pod ochroną". O dr Gizeli Jagielskiej pisze się tam jako o „promotorce aborcji".

Progresywność „Naszego Dziennika" to jednak laboratoryjny eksperyment chwilowy i wybiórczy. Chwilowy, bo już na przykład Maria Kurowska z Suwerennej Polski przez ten sam „Nasz Dziennik" jest nazywana „posłem", gdy ubolewa nad kondycją moralną naszego społeczeństwa i „niesłychanie zawężonym horyzontem" ministerstwa zdrowia: „[oni] widzą tylko perspektywę lewacką, feministyczną i w efekcie podejmują kroki przeciwko życiu".

A więc progresywne feminatywy na łamach tego dziennika przeznaczone są wyłącznie do określania wrogów, a właściwie wrogiń linii ideologicznej reprezentowanej przez o. Rydzyka. Feminatywy są więc rodzajem obelg, może też prześmiewczych emblematów kobiet, które pełnią jakąś odrażającą zdaniem redakcji funkcję. Kobieta-lekarz ratuje życie, kobieta-lekarka – wprost przeciwnie. Redakcja „Naszego Dziennika" zdaje się więc mówić – trawestując św. Mateusza (Mt 7, 17-20) – „po feminatywach je poznacie".

●

Tymczasem Karol Nawrocki udzielił wywiadu Tygodnikowi Solidarność i Telewizji Republika, w którym powiedział, że Rafał Trzaskowski „to polityk, który jest wytworem laboratorium politycznego". Ta świeża i śmiała metaforyka kieruje naszą uwagę w stronę eksperymentów doktora Frankensteina, literatury i filmografii science-fiction oraz popkulturowej mitologii rojącej się homunculusów, golemów i replikantów, stworzonych przecież w jakimś laboratorium. Tu mowa jest o laboratorium politycznym, wyobrażamy więc sobie, że poglądy polityczne zostały Rafałowi Trzaskowskiemu wstrzyknięte lub zaimplementowane w postaci złowrogich chipów.

Zdaniem Karola Nawrockiego laboratoryjność jego kontrkandydata na urząd prezydenta RP przejawia się w „oderwaniu od społecznej rzeczywistości". Tłumaczy, że Trzaskowski „to polityk, dla którego stworzona została pewna strefa komfortu [...]. On funkcjonuje tylko w cieplarnianych warunkach". Wygląda więc na to, że Karol Nawrocki wyobraża sobie laboratorium nie tyle jako miejsce, w którym dokonuje się eksperymentów na człowieku lub tworzy postczłowieka, ile jako miejsce, w którym panują cieplarniane, a więc niezmienne warunki, niezależnie od politycznych zawieruch i zamieci. Postrzega więc swojego przeciwnika jako człowieka niezaprawionego w bojach, który nigdy nie zaznał szorstkiej przyjaźni z przestępczym półświatkiem i który nie wychodzi ze swojej strefy komfortu, nie spędza długich godzin na siłowni, by zaprawiać się do bojów z rzeczywistością. A więc nie zna prawdziwego świata i nie poradzi sobie ze sprawowaniem najwyższej funkcji w państwie. W przeciwieństwie, jak rozumiem, do Karola Nawrockiego.

●

Tego samego dnia były wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski, który chwilowo bawi na Węgrzech, gdzie otrzymał azyl polityczny, stanął na czele Polsko-Węgierskiego Instytutu Wolności powołanego w ramach prorządowego węgierskiego Centrum Praw Podstawowych. W oświadczeniu na temat misji owego instytutu napisano, że „Polska stała się dziś laboratorium eksperymentów, w którym wartości stanowiące fundamenty cywilizacji zachodniej są kwestionowane i nieustannie atakowane", instytut natomiast „podejmuje się analizy tych trendów i poszukuje skutecznych mechanizmów obrony przed zagrożeniami dla wolności i tożsamości narodów".

Metaforyka laboratoryjna ma więc charakter transgraniczny, łączący polityków podobnych politycznie ugrupowań, które wykazują się orwellowskim rozumieniem kategorii wolności. Ważniejsze jest jednak co innego: na pytanie, o jakie „laboratorium" chodziło Karolowi Nawrockiemu, odpowiedzi udzielili poniekąd jego węgierscy bratankowie: o laboratorium zwane Polską. Jeśli tak, to Rafał Trzaskowski rzeczywiście jest wytworem tego laboratorium. I cała nowatorska metaforyka erystyczna na nic. Cóż, czekamy na nowe laboratoryjne eksperymenty językowe zarówno w ramach kampanii wyborczej, jak i na łamach katolickiej prasy. ●

eprasa.pl cd54021495

PO CO KRAŚĆ SAMOCHODY

FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Polacy w końcu zorientowali się, że rower nie może być tani. Złodzieje też.

Karolina Kijek

Złodzieje weszli w nocy przez okno, z którego wcześniej ściągnęli kratę. Włączył się alarm, ale obchód ochrony przeczekali ukryci w środku. Na monitoringu widać, jak wynieśli łup tą samą drogą, którą weszli. Skok powtórzyli noc później. Był weekend.

W poniedziałek pracownik sklepu rowerowego w Rudzie Śląskiej otworzył drzwi i zdębiał. Zniknęło 60 rowerów elektrycznych, wartych w sumie milion złotych. Media ochrzciły tę akcję „rowerowym skokiem stulecia".

•

W Europie tylko Holender wsiada na rower częściej niż Polak. Co trzeci Kowalski jeździ nim przynajmniej dwa razy w tygodniu. Najczęściej dla rekreacji i sportu. Jest coraz bardziej świadomym klientem – gdy kupuje bicykl, już odróżnia nie tylko „kolarkę", czyli szosowy od „górala", czyli MTB, ale nawet od gravela.

I wydaje coraz więcej. Parę lat temu było to 1,6 tys. zł, teraz – 4 tys. zł. To średnia, a coraz więcej amatorów znajdują maszyny po 6,7, a nawet kilkadziesiąt tysięcy. Branża rowerowa nad Wisłą miała w ubiegłym roku rekordową wartość – 4,9 mld zł to więcej nawet niż w pierwszym roku pandemii, kiedy cały świat rzucił się na rowery. Polska jest wśród nielicznych rodzynków, bo na Zachodzie i w USA po pandemicznym piku sprzedaż spada – co dla producentów jest pretekstem do cięć i zwolnień, choć i tak przewyższa wyniki sprzed 2020 r.

Polacy lubią też kupować jednoślady z drugiej ręki. Jest taniej, i to sporo – rowery nie tracą na wartości aż tak, jak samochody, ale też całkiem szybko. Górala z wyższej półki, który w sklepie kosztował 10 tys., po 3-4 latach można mieć za 4, karbonową „szosę" ometkowaną dwójką z czterema zerami – za 6-7 tys. Kwitnie więc także rowerowy czarny rynek.

– Bywają kradzieże zorganizowane na wręcz hurtową liczbę rowerów – mówi Mikołaj Jurkowlaniec, dziennikarz, kolarz i ekspert rowerowy, związany z portalem i kanałem YouTube Bikeworld.pl.

– Niedawno pewna firma rowerowa padła ofiarą oszustwa jak z filmu. Jej elektryki jechały tirem do magazynu. Ktoś dał cynk złodziejom. Na wjeździe do centrum logistycznego stał człowiek w stroju ochroniarza, który wskazał, przy którym magazynie ciężarówka ma się rozładować.

W drodze powrotnej kierowca odebrał telefon od firmy z pytaniem, gdzie są rowery. Kiedy wrócił na miejsce z policją, już ich nie było. Zniknął też fałszywy ochroniarz.

Takie spektakularne akcje są rzadkie. Większość rowerów – średnio około 30 dziennie – ginie z piwnic, ulic, klatek schodowych, garaży. Znikają po cichu – poza wyjątkami. Jak w 2021 r., gdy złodziej zwinął z komórek lokatorskich w Jeleniej Górze trzy rowery MTB – dwa hardtaile Kross Level w topowej wersji i jeden Kross Earth, najwyższa cenowo półka tej firmy. Były warte w sumie 75 tys. zł, a należały do Mai Włoszczowskiej, dwukrotnej mistrzyni olimpijskiej i złotej medalistki mistrzostw świata w kolarstwie górskim.

Jej facebookowy post o kradzieży udostępniło 10 tys. internautów, w tym prezydent Andrzej Duda. Kryminalni odzyskali jednoślady w zaledwie 10 godzin. Włoszczowska była zaskoczona. Oczyma wyobraźni już widziała sprzęt za granicą lub rozebrany na części. Zdziwieni byli też inni właściciele skradzionych rowerów. Na takie zaangażowanie policji mało kto może liczyć.

•

Ubiegłego lata z komórki lokatorskiej w Bydgoszczy zniknął rower Piotra, właściciela księgarni. Nie było policyjnych działań operacyjnych. Odstał swoje w kolejce na komisariacie i zgłosił kradzież. Do prowadzącego sprawę funkcjonariusza dobijał się dwa miesiące. Gdy w końcu się udało, na nagraniu z monitoringu zobaczył dwóch mężczyzn. – W jakiś sposób otworzyli zamykaną bramkę na osiedle i rowerownię – opowiada. – Jeden trzymał drzwi, a drugi wyjechał na moim rowerze jak na swoim.

Po trzech miesiącach od kradzieży Piotr dostał informację, że postępowanie umorzono ze względu na niewykrycie sprawców. Cóż, kilkunastoletni rower, za który właściciel dał jakieś 2 tysiące. Tylko że dziś za sprzęt tej klasy trzeba dać około 4-5 tys. A Piotr dolicza jeszcze wielki sentyment. To był unikat w miętowym kolorze: wyprodukowany przez bydgoski Unibike dla niemieckiej firmy FroschRad. – Kiedy zobaczyłem go w sklepie, po prostu oszalałem. Musiałem go kupić.

Nadal rozgląda się na ulicy i przeszukuje serwisy sprzedażowe, licząc, że go wypatrzy. Wrzucił też zdjęcia złodzieja i skradzionego roweru na Facebooka. – To raczej gest rozpaczy – nie ma złudzeń. – Nie mam wielkiej nadziei, że się znajdzie.

•

Paweł z Warszawy, który założył facebookową grupę „Skradzione rowery" pociesza, że zdarzają się happy endy. – Zwykle wtedy, gdy rowery są charakterystyczne lub policja publikuje zdjęcia z dziupli rowerowych – wyjaśnia.

Do grupy należy niemal dziewięć tysięcy osób. Co kilka dni wpadają tam zdjęcia skradzionych jednośladów. Najwięcej wpisów Paweł widział w czasie pandemii. Ludzie z nudów, w poszukiwaniu ersatzu dla zawieszonych przez obostrzenia podróży i city brejków oraz w ramach postanowienia, że zmienią swoje życie, kupowali wtedy masowo porządne rowery, które później kurzyły się w piwnicach. – Taka kradzież to łatwy zysk o niskim ryzyku – tłumaczy. – Wartościowy rower można rozebrać na części tak, jak kiedyś robiło się z autami.

Same wysokiej klasy koła do roweru górskiego potrafią kosztować 5 tys. zł za komplet, szosowe bywają jeszcze droższe. Tzw. myk-myk albo dropper – opuszczany wspornik siodełka – do górala to w sklepie 800-1200 zł, widelec amortyzowany z wysokiej półki – co najmniej 2 tys., elektryczne przerzutki z manetkami startują od 3 tys. Nic dziwnego, że złodziejaszkom wielobranżowym – dziś rower z piwnicy, jutro wyrwana torebka, pojutrze perfumy w markecie – rośnie profesjonalna konkurencja. Specjaliści świetnie zorientowani – niczym złodzieje samochodów – w markach, podzespołach i modach.

Z obserwacji Pawła wynika, że najczęściej giną rowery nastolatków. – Usprawiedliwiam to brakiem doświadczenia życio-

eprasa.pl cd54021495

wego. Zapinają je pod szkołami na jedno koło, które zostaje, a reszta odjeżdża.

Na dorosłych mści się wygoda. Kupują lekkie zabezpieczenia, bo po co przepłacać i dźwigać – im wyższa klasa odporności na przecinanie i rozwiercanie zamka, tym zapięcie cięższe, topowe dobijają do 1,5 kg – skoro zostawiają rower „na chwilkę" przed sklepem. Swoje robi też rutyna – gdy rower stoi regularnie w tym samym miejscu, złodziej może go sobie upatrzyć.

A kradzież zajmuje mu kilka sekund. Naciąga kaptur, podchodzi do stojaka, nożycami ukrytymi w torbie przecina linkę, wsiada i odjeżdża. Wie, gdzie jest kamera i jak się ustawić, żeby nie było widać twarzy. Z lepszym zabezpieczeniem poradzi sobie szlifierką kątową, choć to zajmie kilka minut i będzie głośno.

– Kątówka kiedyś była na kabel, ale odkąd jest przenośna, nie ma na nią mocnych – mówi mi jeden z rowerzystów. – To zresztą międzynarodowe narzędzie złodziei rowerów.

Wspomina, że szlifierka wystąpiła w duńskiej komedii akcji „Jeźdźcy sprawiedliwości" z Madsem Mikkelsenem. W pierwszej scenie dziewczynka mówi przydrożnemu handlarzowi, że chciałaby niebieski rower.

– Mogę zamówić – zapewnia sprzedawca.

Następna scena: dwaj mężczyźni wyskakują z dostawczaka, szlifierką w trzy sekundy przecinają łańcuch, pakują do bagażnika niebieski rower i odjeżdżają.

•

Według policji zwykle giną rowery wartościowe oraz – niezależnie od ceny – elektryczne, coraz popularniejsze w Polsce. Są wystawiane na portalach internetowych, trafiają do lombardów lub wyjeżdżają za granicę. Jeszcze wciąż rzadko bywają rozbierane na części – chyba że rower jest naprawdę sporo wart. – Na to trzeba poświęcić czas – wyjaśnia komisarz Wojciech Jabłoński, oficer prasowy wrocławskiej policji. – A złodziejom chodzi o to, żeby kradziony towar sprzedać szybko i nie zostać z nim złapanym.

Policyjne statystyki wyglądają w ostatnich latach lepiej. W 2022 r. kradzieży rowerów było ponad 13 tys., w ubiegłym roku – niecałe 11 tys. Wykrywalność utrzymuje się na tym samym poziomie – około 30 proc. Tyle że nie jest równoznaczna z liczbą odzyskanych rowerów. Do tych liczb nie ma się też co przywiązywać. Część poszkodowanych macha ręką, bo wartość roweru jest niewielka. Inni nie wierzą, że sprzęt się odnajdzie, więc nie zgłasza, nawet jeśli w siną dal odjechało kilka tysięcy złotych.

A należy to robić. Gdy zginie stary rower z piwnicy wart kilkaset złotych, policja raczej nie będzie prowadzić dochodzeń, śledztw czy czynności operacyjnych. Ale rejestracje kradzieży są jej potrzebne, żeby wyłapywać pewne zjawiska. Wtedy wie, gdzie skierować więcej patroli – bo takie „amatorskie" kradzieże też są sygnałem, na przykład, że w okolicy kręcą się złodzieje – i na co funkcjonariusze powinni zwracać uwagę, wyjeżdżając do służby w konkretnym rejonie. A jeśli ginie w nim więcej rowerów, do tego nowszych, to sygnał dla kryminalnych, że może tam grasować szajka.

Czarny rynek rowerowy doczekał się już zjawiska znanego z półświatka motoryzacyjnego, czyli dziupli. Ubiegłej jesieni w okolicach Długołęki pod Wrocławiem policjanci znaleźli ponad 160 kradzionych rowerów elektrycznych. Były warte w sumie trzy miliony złotych i pochodziły głównie z Holandii. Prokuratura postawiła zarzuty jednej osobie i czeka na realizację europejskiego nakazu dochodzeniowego, żeby odesłać pojazdy właścicielom.

Odkrycie takiej dziupli to połowa sukcesu. Problem bywa z ustaleniem, komu zwrócić jednoślady. Chyba że wcześniej właściciele oddali je do znakowania policji. – Rejestrując rower, dopisujemy go do naszej bazy danych – wyjaśnia komisarz Jabłoński. – Dzięki temu jest nam o wiele łatwiej znaleźć właściciela odzyskanego pojazdu.

Policjanci z Wrocławia program znakowania jednośladów zaczęli jako jedni z pierwszych w kraju, kilkanaście lat temu, gdy kradzieży rowerów nagle zaczęło przybywać.

Dziś funkcjonariusze jeszcze nie widzą, aby złodzieje zaczęli tworzyć sieci i kraść rowery na masową skalę. Zdaniem policji w Polsce to jeszcze nie na tyle dochodowy interes, żeby wyrosła wokół niego zorganizowana przestępczość.

•

Jednak widać jej zwiastuny. Od kilku lat w serwisach społecznościowych co rusz sklepy rowerowe i wypożyczalnie alarmują, że ktoś ukradł im większą liczbę rowerów. Szczególnie elektrycznych. Rozpiętość cenowa elektryków jest ogromna: najtańsze, takie do podjechania na zakupy, kosztują 4 tys. zł, eksperckie – enduro do ciężkiej jazdy górskiej, miejskie cargo czy turystyczne zautomatyzowane maszyny, lubiane przez zamożnych niemieckich emerytów – od kilkunastu do nawet 60 tys. zł.

Mai Włoszczowskiej ukradli trzy górale za 75 tysięcy, właścicielowi sklepu rowerowego z Rudy Śląskiej 60 „elektryków" za milion

Ulubione marki Polaków? Bez zaskoczenia – znane od lat marki klasy średniej i wyższej: Specialized, Trek, Scott, Giant, Canyon, a także polskie Kross i Romet.

Najdroższe, niezależnie od producenta, są: szosówki, czyli lekkie, szybkie wyścigowe rowery szosowe, niegdyś nazywane potocznie „kolarkami", gravele – niezwykle modne „kolarki" na grubszych oponach, pozwalające zjechać z utwardzonych dróg – i zaawansowane górale: enduro do agresywnej jazdy po najtrudniejszych, kamienistych, usianych korzeniami i uskokami trasach; XC vel cross-country, czyli szybkie maszyny do wyścigów i maratonów MTB (takie były te skradzione Mai Włoszczowskiej); oraz coś pomiędzy, czyli trail – wszechstronne, w pełni amortyzowane rowery do jazdy po wymagających górskich szlakach. Te z górnej półki mogą kosztować 50-65 tys. zł.

– Podczas międzynarodowych wyścigów często słyszy się, że jakaś drużyna została okradziona – opowiada Jurkowlaniec. – Często rowery są trzymane w ciężarówkach czy autobusach pod hotelem. Jeżeli przykładowo jest ośmiu zawodników, a każdy zwykle ma trzy pojazdy warte po około 50 tys. zł, to łatwo policzyć, o jak ogromnych sumach mówimy.

W Polsce największa taka akcja, określona przez media „rowerową kradzieżą stulecia", miała miejsce w 2019 r. w sklepie w Rudzie Śląskiej. Złodzieje w dwie noce wynieśli 60 „elektryków" niemieckich marek z wyższej półki Haibike, Focus i amerykańskiej Univega. Były warte w sumie około miliona złotych. Policja powołała do tej sprawy specjalną grupę, która ustaliła, że złodzieje pakowali rowery do dostawczaka i gdzieś wywozili. Kursy były krótkie, więc prawdopodobnie do zaparkowanego niedaleko tira. Gdy funkcjonariusze znaleźli samochód dostawczy, okazało się, że został skradziony tuż przed skokiem na sklep. Dotarli też do kilku rowerów. Według właściciela miały zamontowany lokalizator.

– Błędów i zaniechań było ogrom – narzeka. – To historia nieudolności polskiej policji, która powinna być omawiana na uczelniach. Wspomina, że ostatni kontakt z policją miał jakieś dwa lata temu i nawet nie wie, na jakim etapie jest sprawa.

Komenda Wojewódzka w Katowicach odpisuje mi, że śledztwo zawieszono, bo podejrzewany o kradzież jest poszukiwany listem gończym. I zaznacza, że „część rowerów udało się odzyskać", a akt oskarżenia wobec dwóch osób podejrzanych o paserstwo znalazł się w sądzie.

W tym samym województwie śląskim, ale ubiegłej wiosny, wśród właścicieli wypożyczalni rozeszła się wieść o kradzieżach rowerów elektrycznych. Trzy takie pojazdy, każdy o wartości 17 tys. zł, zniknęły firmie z Częstochowy. Wypożyczyli je mężczyzna i kobieta. Nie zwrócili. Właściciel zaalarmował policję i razem z innymi okradzionymi prowadził śledztwo na własną rękę. Ustalił: dane GPS, personalia sprawców i adresy dziupli, do których wozili skradziony sprzęt. – Busa z wypożyczalni, którego użyli sprawcy, odnaleźliśmy w Czechach – wyliczał przed rokiem w rozmowie z „Wyborczą". – Tę kobietę i mężczyznę sami namierzyliśmy, też w Czechach, zdołali nam uciec, ale policja dostała wszystkie ich dane.

Rozbiła szajkę. Częstochowska prokuratura oskarżyła pięć osób o kradzież 11 rowerów wartych w sumie 150 tys. zł. Przepadły bez śladu, poza jednym. Odnalazł się w piwnicy 34-letniego wrocławianina, który siądzie na ławie oskarżonych za paserstwo.

W 2022 roku ofiarą spektakularnej akcji padła firma rowerowa Ecobike. Oszuści podszyli się pod szwedzką sieć sklepów Jula i złożyli zamówienie na rowery elektryczne warte w sumie około miliona złotych. Poprosili o odroczony termin płatności – w przypadku tak dużych sieci to standard. Gdy transport był w drodze do Szwecji, przekierowali go na Słowację, przekonując, że to „element procesu logistycznego". Niedługo później sprzedawcy zaalarmowali producenta, że na rynku pojawiają się podejrzanie tanie modele jej rowerów. Pracownicy Ecobike przyjrzeli się zdjęciom i numerom ram – to pojazdy, które pojechały do rzekomej Juli. Szwedzki sklep niczego nie zamawiał, a dokumenty związane z zamówieniem były fałszywe.

Detektyw celebryta Krzysztof Rutkowski, którego Ecobike poprosiła o pomoc, namierzył większość towaru na Słowacji. Wspólnie z tamtejszą policją przechwycił dwa kontenery rowerów, które zaraz miały wyruszyć do holenderskiego Rotterdamu.

•

Paweł Puławski działa we wrocławskim środowisku rowerowym od lat, więc zetknął się z kradzieżami nie raz. Parę jednośladów zwinięto pracownikom w jego firmie Wrocławscy Kurierzy Rowerowi. Ktoś próbował też włamać się do jego wypożyczalni, ale tylko zniszczył roletę antywłamaniową. – O wiele częściej mam do czynienia z innym zjawiskiem – mówi. – To odnajdywanie w Polsce rowerów skradzionych znajomym za granicą.

Niedawno skończyła się jedna z takich historii. Jej bohaterką była znajoma z Anglii, której ktoś ukradł sześć jednośladów, w tym jeden wart około 30 tys. zł. – Na Facebooku zobaczyła posta, w którym ktoś się chwalił, że kupił świetny sprzęt za niewielkie pieniądze. Na zdjęciach rozpoznała swój rower.

Szczęśliwy nabywca był z Wrocławia, więc Paweł do niego dotarł. Nowy właściciel wyjaśnił, że kupił rower w lombardzie w Radomsku. Sąd mielił sprawę półtora roku, po czym postanowił, że ma wrócić do prawowitej właścicielki. Parę dni temu Paweł zabrał go więc na pokład samolotu i – przy okazji udziału w wyścigach – dostarczył znajomej.

Najwięcej kradzionych rowerów płynie nad Wisłę z Niemiec i Holandii. Polskie portale rowerowe ostrzegają przed okazyjnym kupowaniem używanych elektryków z tych krajów. A policja, że łapiąc w ciemno wyjątkowe okazje, nie tylko napędzamy czarny rynek, ale i możemy narobić sobie problemów. Funkcjonariusze radzą, żeby zawsze prosić sprzedawcę o dokument, który potwierdza legalność źródła.

– Polska to pralnia rowerów z Zachodu – nie ukrywa właściciel sklepu w Rudzie Śląskiej. – Tamtejsi właściciele dostają zwrot pieniędzy z ubezpieczalni i nie szukają sprzętu. A on jedzie do Polski, gdzie złodziejom niezwykle łatwo go sprzedać. U nas nie liczy się brak dokumentów, tylko niska cena.

Bywa, że serwisując rower, ma przeczucie, że mógł być kradziony, ale nie ma jak tego sprawdzić. – I to największy problem – mówi. – Powinna powstać unijna baza danych o skradzionych przedmiotach, do której każdy miałby dostęp. Jednym projektem, na który pewnie wystarczyłby jakiś milion euro, Unia mogłaby ukrócić złodziejstwo.

Póki co, pozostają tradycyjne metody. Cezary Grochowski, prezes Wrocławskiej Inicjatywy Rowerowej, pokazuje mi swój rower do jazdy po mieście. Jest sprawny, ale celowo brudny i wizualnie nieatrakcyjny. Za to zapięcie, którym przyczepia go do stojaka, ma solidne. Stawia na u-locka, wielką kłódkę z hartowanej stali. – Duet taniego roweru i droższego zabezpieczenia sprawia, że złodziejowi po prostu się nie opłaca tego kraść – podkreśla. – Przy rowerze, który ma niską wartość, walka z takim zapięciem traci sens.

Generalnie – jak mówi – zabezpieczenie musi być lepsze, niż mają rowery wokół. Na pewno tanie linki się nie sprawdzą. Poleca oznakować rower, a w razie czego zgłaszać kradzież. Widział na komisariacie z 30 odzyskanych jednośladów, których właścicieli policja nie mogła namierzyć.

I pociesza, że coraz więcej ludzi jeździ na rowerach, więc szansa, że akurat nasz zainteresuje złodzieja, jest relatywnie mniejsza.

Pomóc może też rynkowa nowość, czyli lokalizatory GPS. Już seryjnie montują je wypożyczalnie rowerów miejskich. Tak robi Nextbike – firma wie, gdzie się znajduje każda maszyna. – Dzięki rozwojowi nowych technologii wskaźnik kradzieży udało się znacznie zredukować – wyjaśnia Marcin Sałański z Nextbike Polska. – Działamy w około 80 miastach, gdzie łączna skala kradzieży wynosi około 2,1 proc. całkowitej floty.

Inna rzecz, że miejskie rowery nie interesują złodziei też z innych powodów: są ciężkie, mają charakterystyczny wygląd i trudno ich używać poza systemem. Na sprzedaż się nie nadają. Ale zapewnić sobie spokojny sen z pomocą nadajnika GPS może każdy. Dyskretny – miniaturowy do ukrycia albo udający jedną ze zwyczajnych drobnych części – gadżet można kupić już za 90 złotych.

– Niemniej najlepszym, co dziś możemy robić, to edukować ludzi, żeby nie kupowali kradzionych rowerów – uważa Paweł Puławski. – Ale niestety ciągle panuje przekonanie, że jeśli znajdziemy rower po wyjątkowo okazyjnej cenie, to wygraliśmy los na loterii i jesteśmy sprytni.

Mimo wszystko wierzy w ludzi. Ubiegłego lata zniknął jego rower, który sam budował przez kilka lat. Postawił go na chwilę przed klatką, żeby wnieść kilka rzeczy. Rower znalazł się następnego dnia. Sąsiad zabrał, żeby nikt go nie ukradł. ●

eprasa.pl cd54021495

Z **ANDRZEJEM GRYŻEWSKIM,** ZAŁOŻYCIELEM INSTYTUTU ARTE VITA ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

Kobiety go nie lubią. **Z kim mężczyźni uprawiają cyberseks?**

Żeby nigdy nie powiało nudą

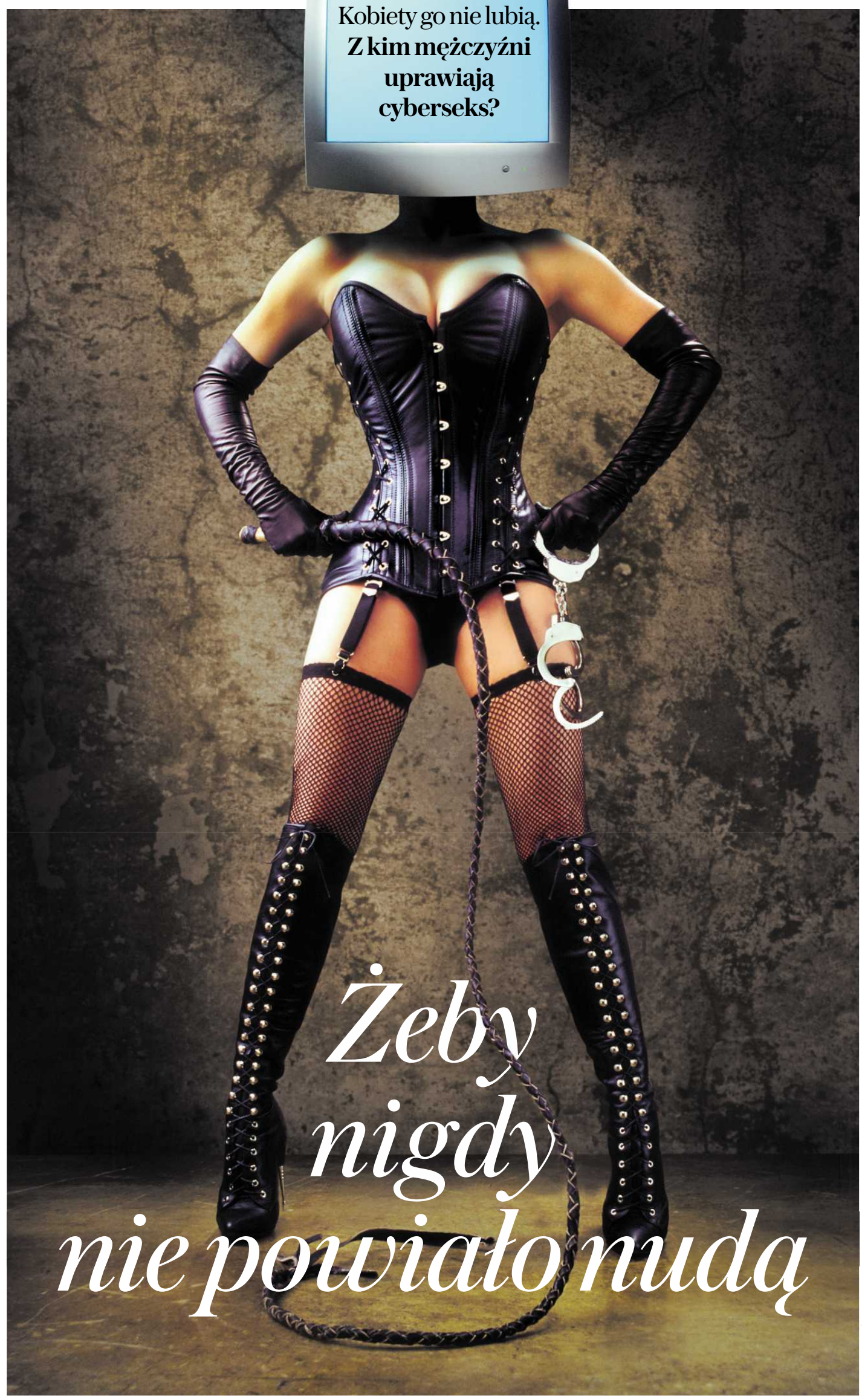

FOT. JOHN LUND/GETTY IMAGES

Przygotowując się do naszej rozmowy, zarejestrowałam się na forum erotycznym, aby wypytać jego użytkowników o motywacje do uprawiania cyberseksu. Odezwało się do mnie kilkunastu mężczyzn i ani jedna kobieta. Przypadek?
– Rzeczywiście mamy tu do czynienia z dużą nadreprezentacją mężczyzn. Według amerykańskiego seksuologa dr Patricka Carnesa tylko jedna na pięć osób uzależnionych od seksu to kobieta.

Natomiast badacz wyróżnia jedenaście podtypów tego uzależnienia. I o ile na przykład w przypadku fantazjowania przodują kobiety, to w sferze anonimowego seksu – w którą wpisują się między innymi przygodne kontakty, korzystanie z usług seksualnych i właśnie cyberseks – w przeważającej mierze dominują faceci.

W ankiecie seksuolożki i badaczki Agaty Leśnickiej, przeprowadzonej na próbie 505 osób, 78 proc. respondentów przyznało się do uprawiania cyberseksu. Co ciekawe, w tej grupie było 51 kobiet i 342 mężczyzn. Przypadek? Nie sądzę.

To z kim czatują ci mężczyźni?
– Wielu moich pacjentów opowiada, że czatując na jakimś forum erotycznym czy nawet na Tinderze, są przekonani, że rozmawiają z płcią przeciwną. A często okazuje się, że rozmawiają z facetem.

Tych kobiet jest tak mało, że część mężczyzn stosuje mimikrę erotyczną. Żeby w ogóle móc z kimś porozmawiać – a tym samym dotknąć tej seksualności i poczuć podniecenie – wcielają się w kobiece role.

Po jakim czasie wszystko się wydaje?
– Bardzo często w ogóle się nie wydaje. Jeżeli ktoś po godzinie rozmowy powiedziałby: „A tak w ogóle to ja jestem facetem", spaliłby całą zabawę. Osoba po drugiej stronie czułaby się oszukana i wkradłyby się niepotrzebne emocje. Padłoby multum gróźb i wulgaryzmów. A ci, którzy udają kobietę, nie wiedzą, jakie ten uwiedziony facet ma zasoby. Może przecież być programistą, który zaraz mu się włamie na pocztę i upubliczni jego prywatne rzeczy.

Stereotypowo cyberseks kojarzy się raczej z niepewnym siebie, niezbyt zadbanym nerdem czy wręcz incelem, spędzającym życie przed komputerem. Czy w rzeczywistości staje się coraz bardziej powszechny?
– Widzę wyraźnie, że o ile kiedyś zdrady odbywały się gdzieś na imprezach integracyjnych czy wakacjach, teraz bardzo często służą do tego portale erotyczne.

Ale ta forma interakcji nie jest jakąś nowinką. Mam pacjenta, który jest uzależniony od cyberseksu i od 15 lat grasuje na różnych czatach. Ostatnio, gdy tam wchodzi, to widzi, że 90 proc. użytkowników to nowe osoby. Ale jak dłużej z kimś pogada, często okazuje się, że to stały bywalec. Ponad połowa to osoby, które zna od lat, tylko one cały czas zmieniają nicki i dodają nowe zdjęcia. Wszystko po to, żeby piłka była w grze.

Żeby nigdy nie powiało nudą?
– Jeżeli ktoś taki, jak ten pacjent, miałby tylko jedną znajomą czy znajomego, z którym można popisać, to po piątym czy dziesiątym cyberseksie oboje działaliby według bardzo podobnego algorytmu. Czyli tak, mogłaby się wkraść nuda.

Dlatego trzeba poszukiwać ciągle nowych osób, które coś innego nam dowiozą. W uzależnieniu od cyberseksu te same bodźce szybko przestają nas kręcić, cały czas potrzebuje się nowych doświadczeń, żeby czuć dawną ekscytację.

Profesorka psychiatrii z Uniwersytetu Stanforda, prof. Anna Lembke, nazywa to „wirem dopaminowym". Chodzi o to, że gdy ciągle fundujemy sobie doświadczenia, które uwalniają ten – co jest znacznym uproszczeniem, ale zastosujmy potoczną nazwę – hormon szczęścia w mózgu, to on się do niej przyzwyczaja. I po pewnym czasie potrzebujemy coraz większych dawek, by czuć jakąkolwiek ekscytację.

Część mężczyzn przekonywała mnie, że bynajmniej nie chodzi im o „jednostrzałowce". Oni są zainteresowani długofalowymi relacjami, potrzebują emocjonalnej bliskości i szczerości. Nawet ci, którzy są na co dzień w stałych związkach.
– Jedni używają takiej narracji jako akceleratora. Ponieważ wiedzą, że aby skłonić kobiety do seksualnego wyuzdania, zazwyczaj trzeba użyć magicznego słowa „relacja". Jak facet powie wprost, że zalogował się tu, żeby przez pół godziny pouprawiać cyberseks, a za chwilę musi iść z psem na spacer czy do kina z dziewczyną i „weź się teraz szybko erotycznie udostępnij", większości kobiet odpowie: nie! Pomyślą: „A co ja, jestem jakąś sexworkerką lub pogotowiem erotycznym?".

Strategia mówienia, że zależy mi na stałej relacji, znacząco skraca drogę do tego, żeby kobiety się otwierały. Gdy już wyślą swoje roznegliżowane zdjęcia, mężczyźni się do nich pomasturbują, a potem blokują je albo wylogowują się na dobre z tego forum i tyle.

Straszne i smutne. Są w ogóle mężczyźni, którzy rzeczywiście szukają w tym wirtualnym świecie odpowiednika romantycznego związku?
– Są. To osoby bojące się bliskości, o których pisałem w książce „Niekochalni". Tacy ludzie czują przerażenie na myśl o związku pełnym bliskości, dotyku, głębokiego kon-

eprasa.pl cd54021495

taktu emocjonalnego. Internetowa relacja jest dla nich łatwiejsza, bo odbywa się na ich zasadach. Kiedy „niekochalny" nie czuje się w formie, nie musi logować się na forum i uczestniczyć w interakcjach.

Problem polega na tym, że on jedynie pogłębia w ten sposób swój lęk przed bliskością. Kiedy rozmawiam z pacjentami uzależnionymi od cyberseksu, widzę, jaką to destrukcję u nich powoduje. Że coraz bardziej wkręcając się w ten wir dopaminowy, tracą dotychczasowe pasje, zainteresowania, rzadziej spotykają na realne randki. Uprawiając hurtowo ten cyberseks, wiszą w takiej poczekalni dusz.

Granica między uzależnieniem a zwykłą zabawą jest cienka?
– Osoby uzależnione zawalają przez cyberseks fundamentalne funkcje życiowe. Na przykład przychodzą do domu z pracy o godzinie 17, „odpalają kompa" i siedzą na czacie do drugiej w nocy. Dopiero wyłączając komputer, orientują się, że – po pierwsze – zostało im tylko 5 godzin snu.

A po drugie, że nawet nie zjedli kolacji. Byli głodni, burczało im w brzuchu, jednak ten wir dopaminowy był tak silny, że zakotwiczał ich na długie godziny w poszukiwaniu wciąż nowych bodźców. Jeszcze jedna rozmowa, jeszcze jeden nick, jeszcze jedno zdjęcie penisa, które może kogoś oczaruje...

Druga rzecz jest taka, że te osoby mają coraz gorsze wyniki w pracy. Mało snu, sportu, kiepskie posiłki – wskutek gospodarki rabunkowej spowodowanej uzależnieniem obniża się ich koncentracja. Rzadziej myślą też o swoich zobowiązaniach. Choć bywa, że właśnie od nich próbują się odłączyć przez ten cyberseks.

Żaden z mężczyzn, z którymi rozmawiałam, nie uważał, że jest uzależniony. Choć opowiadali, że robią to od lat codziennie lub parę razy w tygodniu – często przez wiele godzin – w ich mniemaniu to jedynie sposób na spędzanie wolnego czasu.
– Jednym z podstawowych mechanizmów uzależnienia jest zaprzeczenie. Myślenie w kategoriach: „Ja nie mam z tym problemu, w każdym momencie jestem w stanie porzucić ten..." – tu proszę podstawić cyberseks, alkohol, cokolwiek. Ale mijają lata, a oni nie mają partnerki, tylko dalej w tym tkwią. W normalnych okolicznościach, bez tej protezy relacji, ktoś musiałby mieć solidne postanowienie, żeby wytrwać tyle bez seksu czy jakiejś formy bliskości, intymności z drugą osobą.

Drugim mechanizmem jest minimalizacja, która polega na myśleniu: „może mam jakiś tam problem, ale raczej niegroźny. On po prostu wynika z tego, że nie pojawiła się żadna kobieta, która by mnie oczarowała". Tylko jak ktoś przez 15 lat nie uprawiał seksu z żywym człowiekiem, to gołym okiem widać, iż argumentacja, że nie znalazła się żadna kobieta, która by go ujęła, jest grubymi nićmi szyta.

Czyli to nie wygląda tak, że przychodzi taki facet do seksuologa i mówi: „Weź mi pan pomóż, bo jestem uzależniony od cyberseksu"?
– Pacjenci trafiają do mnie zwykle z jakąś dysfunkcją seksualną. Jedna grupa przychodzi z zaburzeniami erekcji – najczęściej już potężnymi – a inna z przedwczesnym wytryskiem. Zdarza się też, że nie czują konkretnego problemu, tylko że coś nie gra i próbują to zidentyfikować. „Wie pan co, od pewnego czasu mam problemy z seksem, albo jak się z kimś spotykam w realu, albo jak się masturbuję i sobie tam z kimś piszę".

Oni w ogóle nie łączą kropek, że to wszystko może być efekt uboczny cyberseksu.

Dlaczego cyberseks powoduje te problemy?
– Każdy orgazm przybija nam pieczęć w mózgu, tworząc nowy szlak neuronalny. Jeżeli ktoś podczas cyberseksu zaczyna się bardzo szybko masturbować, to w ciągu minuty, góra dwóch potrafi dojść do orgazmu. Raz, drugi, trzeci – i koduje się właśnie na takie szybkie dochodzenie. Więc kiedy już się z kimś spotyka, czas stosunku trwa tyle, ile czas tej ekspresowej masturbacji. Stąd przedwczesny wytrysk.

Po drugie, cyberseks powoduje, że jesteśmy zakodowani na kilkadziesiąt, a nawet kilkaset bodźców, wytwarzanych głównie przez naszą wyobraźnię. Jeśli później dochodzi do seksu z realną osobą, gdzie tych bodźców jest maksymalnie kilkanaście, rzeczywistość skrzeczy, jest ich zwyczajnie za mało. Zakodowani na ten dopaminowy wir, nie możemy już osiągnąć orgazmu czy nawet mieć erekcji.

Poznałam 60-letniego mężczyznę, którego żona po 20 latach małżeństwa, na skutek zażywania leków antydepresyjnych, stała się aseksualna. On ją kocha, nie chce sypiać z innymi kobietami, ale potrzebuje erotycznej stymulacji, więc od dekady jest użytkownikiem tych czatów. W takich sytuacjach cyberseks może okazać się pomocny?
– Rzeczywiście w pewnych przypadkach cyberseks ratuje związki. Bo właśnie jest w nich za mało seksu, czyli w podtekście: za mało namiętności i pożądania. Albo ktoś się czuje za mało ważny, a w cyberseksie może doświadczyć dużo uwagi i zainteresowania od rozmówczyni, gdyż to on jest tutaj głównym bohaterem.

Co wydało mi się absurdalne, żaden z przepytywanych mężczyzn w stałych związkach nie określił swoich praktyk zdradą.
– Proszę sobie wyobrazić, że mam pacjentów, którzy uważają, że do zdrady dochodzi tylko wtedy, gdy się uprawia seks bez prezerwatyw. Inni są przekonani, że zdrada jest wtedy, kiedy pojawia się element emocjonalny, czyli się zakochało, albo kiedy fascynuje się człowiek drugim człowiekiem.

Kobiety mają prawo oczywiście być tym oburzone, ale muszą uwzględnić, że ich partner może myśleć takimi kategoriami.

Wiele osób realizuje w tym cyberseksie swoje fantazje BDSM. Bo w realu ich żony czy dziewczyny nie są zainteresowane praktykami sadomaso.
– Jak przychodzi do mnie taki mężczyzna i biadoli, że żona nie chce, a tamta kobieta z internetu chce, to zawsze pytam, co stoi na przeszkodzie, żeby z taką kobietą być. Czemu po prostu się nie rozstanie i nie zbuduje sobie nową relacji?

No to oni wymyślają, że jest kredyt, są dzieci, koty, wspólnie wybierali żaluzje do nowego mieszkania i tak dalej. I po kilku, czasami kilkunastu sesjach okazuje się, że on wcale nie chce być z kobietą, która ma swoją seksualność na wierzchu – jest wyuzdana, rozwiązła. Wielu facetów o tym fantazjuje, ale w realu większość zupełnie nie jest na to gotowa.

Zygmunt Freud określił to zjawisko syndromem Madonny i ladacznicy.
– Póki ona jest tą ladacznicą, którą on zna z internetu, to wszystko mu odpowiada. Ale do związku woli wybrać sobie jednak Madonnę, czyli kobietę, która upierze, ugotuje, jest dobrą mamą i ma wygaszoną seksualność. Gdyby był z ladacznicą, to w mig pojawiłby się lęk, że ona będzie tak samo rozwiązła, jak on. I na przykład wchodząc do restauracji, będzie skanowała otoczenie: szukała wzroku faceta, którego by chciała przelecieć. A on będzie się czuł skrępowany tym jej popędem seksualnym. Nie mówiąc o tym, że będzie w głowie obracał scenariusze zdrady.

Jeden z młodych mężczyzn opowiadał mi, że jest w wirtualnej relacji, w której dziewczyna ma zamontowane w całym domu kamery. On ją stale obserwuje i rozkazuje jej, aby wykonywała jego polecenia. To go podnieca. Z czego takie tendencje wynikają?
– Wśród seksuologów zdania na temat BDSM-u są podzielone. Jedni uważają, że to wyraz deficytów, właśnie tego lęku przed bliskością. Wiadomo, że w takiej relacji nie ma jakiejś szczególnej czułości, tylko jest pewna gra w dominację i uległość, w zarządzanie drugą osobą. Ale są też nowsze trendy specjalistów, którzy uważają, że to jest całkowicie normalne. Jeśli para konsensualnie umówiła się, że oboje to lubią i akceptują, a przy tym nikomu to nie szkodzi, to nie widzą powodów, dla których dorośli, wolni, rozumni ludzie mieliby tego nie robić.

Mężczyźni na forach erotycznych używają magicznego słowa „relacja", żeby otworzyć kobiety. Gdy ona już wyśle roznegliżowane zdjęcia, on się do nich pomasturbuje, a potem ją zablokuje

Tylko 51 kobiet i aż 342 mężczyzn

• – wśród 505 przebadanych osób – przyznało się do uprawiania cyberseksu

Mam pacjentów, którzy uważają, że do zdrady dochodzi tylko wtedy, gdy się uprawia seks bez prezerwatyw. Inni są przekonani, że zdrada jest wtedy, kiedy się zakochało

Niemniej w cyberseksie widzimy wyraźnie bardzo transakcyjne podejście do relacji z drugim człowiekiem. Czy może przyczyniać się do tego, że choć mamy XXI wiek, sporo mężczyzn – również całkiem światłych i niekoniecznie o jaskiniowo-prawicowych poglądach – wciąż uprzedmiotawia kobiety?
– Przez ogromną anonimowość – bo nikt tam przecież nie występuje pod swoim imieniem i nazwiskiem, z prawdziwym zdjęciem, ale też rzadko w ogóle ludzie przesyłają swoje zdjęcia, jeśli już, to sylwetki albo genitaliów – wiele osób nie czuje się zobowiązanych do myślenia, co ta druga osoba może naprawdę czuć. Często nie myślą o niej w podmiotowy sposób, tylko właśnie przedmiotowy. Ci mężczyźni albo mają poczucie, że rozmawiają z jakimś awatarem, albo projektują na tę drugą osobę własne pragnienia: skoro ja mam ochotę się teraz podniecić, to pewnie ona też chce tego samego. Brak bezpośredniego kontaktu pomaga nie czuć empatii.

Grozi nam, że jednostki uprawiające cyberseks stworzą tkankę, a potem społeczeństwo, ludzi niezdolnych do miłości?
– Jak pytam pacjentów, czemu zraża ich realny seks, mówią: „No wie pan, super się pisało i myślałem, że znalazłem miłość mojego życia, ale jak się z nią spotkałem, to totalnie nie odpowiadał mi jej zapach". Albo: „wie pan, robiła takie miny, że nie wiedziałam, czy to orgazm, czy zaraz padnie na zawał". Czyli opowiadają o tym, że większość realnych doświadczeń była trudna, wręcz przerażająca. Wolą się więc zatrzymać na tym cyberseksie, bo tam wszystko działa doskonale.

Może cyberseks nas ciekawi, bo uruchamia w nas świat fantazji, a szczypta iluzoryczności i jednocześnie pofolgowania sobie, popuszczenia wodzy, jest nam w życiu potrzebna?
– U ponad 95 proc. moich pacjentów, którzy korzystają z cyberseksu, wszystko jest fajnie, póki pozostają w tym świecie fantazji i wyobrażeń. Natomiast niezmiernie trudnym jest wprowadzenie ich w życie i podtrzymanie, żeby ta realna, cielesna seksualność była równie gęsta od emocji i doświadczeń.

Sławny izraelski historyk Yuwal Noah Harari w książce „Sapiens. Od zwierząt do bogów" pisze, że mniej więcej od 2-3 tysięcy lat my, ludzie, żyjemy w rzeczywistości wyobrażeniowej. Koncentrujemy się nie na tym, czego realnie doświadczamy, tylko na tym, co sobie w głowach wykreujemy. Ci, którzy uprawiają cyberseks, to jest ultrapopulacja osób doświadczających właśnie takiej rzeczywistości. Ale jak życie mówi „sprawdzam", okazuje się, że koncepcje, które sobie opisywali, wcale nie działają.

O ile w Polsce wciąż dominują „czaterie" czy kamerki, w krajach bardziej rozwiniętych technologicznie rozmawia się już głównie z botami AI, seks uprawia się w wirtualnej rzeczywistości gier oraz używa się różnych gadżetów stymulujących doznania dotykowe. Czy nas również czeka odejście od może i cyfrowej, nie twarzą w twarz, ale jednak klasycznej rozmowy z drugim człowiekiem?
– To wysoce prawdopodobne. W ostatnich latach wielu mężczyzn przerzuciło się z realnego seksu z partnerkami i partnerami do porno. Zanim to nastąpiło, kilka lat wcześniej seksuolodzy na kongresach debatowali, że to niemożliwe, żeby ludzie wyparli się realnego kontaktu opartego na dotyku, zapachu, smaku, czułości i namiętności z drugim człowiekiem. A mamy rok 2025 i gigantyczna populacja moich pacjentów mówi, że wybiera seks w internecie, gdyż porno nie grymasi, nie krzyczy, nie ma fochów, jest zawsze dostępne. Ilość bodźców zastąpiła ich jakość.

Jesteśmy w trakcie pewnej przemiany?
– Tak, to dopiero początek, gdyż boty AI coraz bardziej przypominają w rozmowie człowieka, a mają nad nim przewagę, bo ich pamięcią jest cały internet. Już teraz moi pacjenci mają cyberseks z czatem GPT i czują się bardzo spełnieni. To co będzie za kilka lat, kiedy upowszechnią się, a przez to staną się kostiumy sensoryczne? Czeka nas fala nowej jakości w cyberseksie.

Już dziś producenci prześcigają się w zabawkach erotycznych, które wspierają cyberseks u kobiet. One mówią mi, że są zachwycone zabawami z pingwinkiem, orką, króliczkiem i magiczną różdżką.

Dużo się pozmienia w najbliższych kilku latach. Ale ja wierzę, że ludzie finalnie wybiorą dobrze. ●

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Andrzej Gryżewski

• założyciel Instytutu Arte Vita, psycholog, seksuolog, psychoterapeuta poznawczo-behawioralny.

eprasa.pl cd54021495

Z **MARKIEM KONDRATEM**
ROZMAWIA
DAWID DRÓŻDŻ
ZDJĘCIE
JAKUB WŁODEK/ AGENCJA WYBORCZA.PL

Wszyscy jesteśmy Adasiami

1 RP

eprasa.pl cd54021495

Motto Koterskiego przy „Dniu świra" brzmiało: „Życie to najbliższe pięć minut, reszta to wyobraźnia" – wspominia Marek Kondrat, odtwórca głównej roli Adasia Miałczyńskiego. „Dzień świra" został wybrany polskim filmem 25-lecia w pebiscycie „Wyborczej".

Dawid Dróżdż: „Dzień świra" to film o Polsce roku 2025?

Marek Kondrat: – Mogę tylko spekulować, ale jeżeli wygrywa plebiscyt na polski Film 25-lecia organizowany przez „Wyborczą", to oznacza, że ludzie mają z tym filmem jakiś związek emocjonalny. Jaki? Nie mam pojęcia. Myślę, że każdy przeżywa go na swój sposób. Prawdopodobnie jest to film dosyć wszechstronny, oglądają go ludzie w różnym wieku. Dojrzewają do niego, z czasem zmieniają punkt widzenia. Najpierw odbierają go jako komedię, później jako dramat.

Marek Koterski stworzył dzieło głębokie; to nie tylko opowiastka, ale pewien rodzaj namysłu nad ludzkim indywiduum, co w polskiej kinematografii zdarza się rzadko. Jesteśmy wychowani w duchu romantycznym, w związku z czym pojmujemy rzeczy całościowo. Zajmujemy się głównie narodem, a nie pojedynczym człowiekiem.

Ale przecież losy Adasia Miauczyńskiego są wpisane w opowieść o narodzie, który jest jednym ze źródeł jego cierpienia.

– Mała kropelka dociera do rzeki Jukon. Miliony ludzi przejrzały się w tej kropli i zobaczyły w niej fragment swojej udręki. Skromny wycinek losu bohatera – jeden dzień – zyskuje większą płaszczyznę, jest krzykiem wobec samotności i braku umiejętności przeżywania życia, tego, że nie znajduje się połączenia z innymi ludźmi, które pozwalałoby znieść to, co przeżywamy.

Marek Koterski nazwał to cierpienie przy pomocy środków artystycznych, ujął to w cudzysłów. „Dzień świra" nie jest filmem psychologicznym, reżyser nie dotyka punktów, które naukowiec zajmujący się człowiekiem mógłby zdiagnozować. Wypowiedź ta ma wymiar poetycki, scenariusz został napisany w dużej mierze trzynastozgłoskowcem, więc unosi rzecz w sferę twórczą. Widz to czuje i docenia.

Pamięta pan pierwsze spotkanie z Koterskim? Podobno przyszedł do pana na początku lat 80. do Teatru Dramatycznego ze scenariuszem „Domu wariatów", był facetem – jak pan opisywał po latach – „o wyglądzie inkasenta z gazowni".

– Miałem 33 lata, byłem w dobrym okresie swojego życia, ale nie miałem do czynienia z takimi projektami. Byłem pod wpływem Gustawa Holoubka, Teatru Dramatycznego, hierarchii tej instytucji. Marek był dla mnie wielką niewiadomą, przyszedł z zupełnie inną propozycją, obudził we mnie pewien rodzaj wrażliwości.

Holoubek i Tadeusz Konwicki, gdy opowiadałem im w „Czytelniku" o scenariuszu „Domu wariatów", patrzyli na mnie z podejrzeniem. Gustaw spostponował ten tekst w swoim stylu: „Powiedz temu swojemu reżyserowi, że jak jest taki szczery, to niech naszczy żonie do łóżka".

Holoubek nie był gotowy na nowy świat, więc Koterski, z zupełnie innym typem twórczości, wzbudził w nim taką reakcję. Ale później zwolnił bieg. Doprowadziłem nawet do tego, że w 1998 roku zagrał ojca w teatralnej adaptacji „Domu wariatów" reżyserowanej przez Koterskiego w Teatrze Ateneum.

„Dom wariatów" z 1985 roku, debiut Marka Koterskiego, był pana pierwszym spotkaniem z Adasiem Miauczyńskim. To kino dotkliwe, dojmująco smutne, klaustrofobiczne, pozbawione humoru. Akcja rozgrywa się w zamkniętej przestrzeni domu głównego bohatera, naznaczonego natręctwami jego rodziców.

– „Dom wariatów" był wspaniałym spotkaniem z Tadeuszem Łomnickim i Bohdaną Majdą, którzy zagrali rodziców Adasia Miauczyńskiego. Partytura napisana przez Marka Koterskiego polegała na powtarzalności pewnych zdarzeń, bohaterowie odgrywają w kółko te same zachowania – np. poprawiają ustawienie kufla na piecu kaflowym. To natręctwa z dzieciństwa, które zostały przy Koterskim. Powtarzanie czynności daje bohaterom poczucie bezpieczeństwa.

Czytając scenariusz, nagle przypomniałem sobie pobyt w moim domu wariatów. Usłyszałem mojego ojca, który bez przerwy dyskutował ze mną na temat trasy autobusu linii 100. Kłóciliśmy się, jakimi ulicami jeździ. Dźwięki i obrazy przywołują nasze wspomnienia z dzieciństwa.

To rodzaj bólu, przed którym nie ma ucieczki. Bo nawet jeśli próbujemy się go wyzbyć, to wróci pod osłoną nocy, obudzimy się z krzykiem, zlani potem. To samo znajdziemy u Kantora w „Umarłej klasie" czy w „Wielopole, Wielopole".

Adaś nie może uwolnić się od tych natręctw, co widzimy też w „Dniu świra". Życie jest dla niego nie do zniesienia.

– Koterski, którego twórczość jest silnie autobiograficzna, skupia się na przeżyciu, codziennym znoju, czyli na tym, co człowiek czuje i myśli. Dlaczego tacy jesteśmy? Tłumaczy delikatnie reżyser. Urodziliśmy się w domu wariatów, mieszkaliśmy w bloku w przemysłowym mieście, skazani na dziwnych ludzi, podobnych do nas w nieumiejętności życia.

Kino na ogół zajmuje się wyobraźnią, stara się nam pokazać świat, który nie istnieje. W moim przekonaniu – człowieka, który jest dziś bardzo daleko od kina – chęć twórców wynika w pewnym sensie z własnej ułomności. W świecie fantazyjnym jesteśmy nieograniczeni, gramy role, przebywamy gdzieś daleko. Natomiast pobyt z samym sobą, a co za tym idzie, zbudowanie własnej kondycji, która komponowałaby się z innymi ludźmi – to jest sztuka.

Motto Koterskiego przy „Dniu świra" brzmiało: „Życie to najbliższe pięć minut, reszta to wyobraźnia". I w tych pięciu minutach trzeba wstać, wziąć coś do ręki, przestawić. Te pięć minut jest dla bohatera piekłem. Koterski ma ten sam tembr, poczucie groteski, absurdu, co Sławomir Mrożek. To twórczość na granicy dramatu i śmieszności.

Koterski to też niepodrabialny kreacyjny język, który przybiera formę mowy codziennej.

– Nie stworzył tego języka z wyobraźni. W MONAR-ze przeprowadził wywiady z narkomanami. Podczas transkrypcji zorientował się, że mowa mówiona i pisana diametralnie się od siebie różnią. W ten sposób stworzył język pełen powtórzeń i autopoprawek. Koterski sam jako purysta językowy non stop koryguje innych, np. zwraca uwagę, że na końcu słowa powinno być „ę", a nie „ą". To kolejne z jego natręctw.

Rzadko zdarza się, aby ludzie przejmowali cudzy język. Kiedyś był u mnie hydraulik, ustalaliśmy termin naprawy. „Umówmy się na poniedziałek. A może nie na poniedziałek. Dam panu znak sygnał" – powiedział. Zdziwiony zapytałem, dlaczego użył tego sformułowania. „Znak sygnał? Wszyscy tak u nas mówią" – odrzekł. A to przecież fraza zaczerpnięta z „Nic śmiesznego".

Nauka tego języka dla aktora musiała być katorgą.

– Marek twierdzi, że nie potrafi reżyserować, ale dobrze pamięta, co napisał. Nie dopuszczał zmian w tekście. Aktor Koterskiego musi się podporządkować, co jest rzadkością, ponieważ uprawiający ten zawód mają wpisane w gen, że chcą zaznaczyć swoją obecność, dać coś od siebie. Praca w takiej formule mi odpowiadała, bo miałem poczucie podrzędności jak w orkiestrze.

Marek Koterski zawsze pisze scenariusze z myślą o konkretnym aktorze. Zobaczył w panu Adasia Miauczyńskiego?

– Nigdy mi tego nie powiedział, a ja nie dociekałem. Zapewne dostrzegł we mnie jakąś wrażliwość, która mu się zgadzała.

Później broniłem się przed ponownym spotkaniem z Adasiem Miauczyńskim. „Dom wariatów" był dla mnie niesłychanie kosztowny, dotykanie bardzo intymnej sfery wywoływało we mnie skrajne zmęczenie. Poza tym na planie panowała nerwowa atmosfera, to był debiut fabularny Marka, a na dodatek praca dyplomowa, której ostatecznie nie zaliczył. Dostał dwóję, bo jego mistrzowie ze szkoły nie zrozumieli tego filmu. To było dla niego gorzkie zaskoczenie.

Po skończeniu zdjęć do „Domu wariatów" powiedziałem Markowi: „Zrób wszystko, żeby odtwórcą roli Adasia w następnych filmach był ktoś inny. Niech on nie ma jednej twarzy". To był mój wytrych, żeby nie przeżywać tego bólu jeszcze raz. Później dałem się zaprosić do „Nic śmiesznego", zagrałem reżysera, który mówi: „Pokaż mi to palcem". Zabawna scena, ale film ciągnął Czarek Pazura. W „Życiu wewnętrznym" zagrał Wojtek Wysocki, w „Porno" – Zbigniew Rola.

Adaś miał pańską twarz dopiero w „Dniu świra", a później także we „Wszyscy jesteśmy Chrystusami".

– Próbowałem odpędzić od siebie tego „Świra", podsuwałem Markowi Bogusia Lindę. Mówiłem: „Słuchaj, to by było kapitalne, jakby taki macho nagle na ekranie zapłakał". Marek się na to złapał, ale Boguś odmówił, nie kumał tego tekstu. Stanęło na mnie.

Zazwyczaj czytałem scenariusz „Dnia świra" w nocy, dzwoniłem do Marka, cytując kolejne sceny: „Ale jak to? Będziemy srać na podwórku?". Odpowiadał: „Ale nie pytaj mnie o to w środku nocy. To są strategiczne sceny". Wydaje mi się to rozkoszne, gdy opowiadam o tym z większego dystansu. Odległość to parędziesiąt lat i spokój duszy. Spotkanie z żadnym bohaterem nie przyniosło mi takiego bólu fizyczno-psychicznego.

Potrafi pan dziś nazwać ten ból?

– To ten sam ból, który przeżywa widz. Z tym że widz obejrzy ten film, wyjdzie z kina, coś przeżyje, ale o tym zapomni. A ja musiałem wykreować tę postać, a więc na pewien czas stać się Adasiem w sposób niesłychanie dosłowny. Odnaleźć tkanki, przestrzenie w życiu, które są wspólne.

Koterski zmusza aktora do pokazania własnej wrażliwości, do czego potrzebna jest pewna odwaga. Człowiek nie ukrywa się za kostiumem czy scenariuszem, który opowiada jakąś przygodę. W „Dniu świra" nie ma przygody, ale jest obnażenie z całą swoją intymnością – ukazanie przestrzeni życia, której na ogół nie pokazujemy.

Dlatego pewien dosyt, który nastąpił po tym spotkaniu, jest przyczyną mojego chłodu wobec następnych propozycji, a w końcu rezygnacji z zawodu. Rola w „Dniu świra" była rodzajem przeżycia, które nie zakłada następnych wcieleń. Po czymś takim trudno wrócić do grania Halskiego w kolejnej ekspresji jego przygód z Biurem Ochrony Rządu.

Skończył pan z aktorstwem przez rolę w „Dniu świra"?

– Powodów jest znacznie więcej. Rolę u Koterskiego umieszczam na tej liście, bo w moim życiu zawodowym nastąpił rodzaj zaspokojenia, satysfakcji, że dotknąłem czegoś, czego nigdy nie przewidywałem dotknąć. W aktorstwie jest tak, że każdy kostium możemy do siebie przypasować.

W „Dniu świra" zaszedł inny proces. Adaś Miauczyński jest bohaterem, który nie nosi kostiumu, ma jedynie wypreparowane wnętrze.

Koterski obnaża się przed widzem. Adaś – jego alter ego – objawia swoje dziwactwa, które na ogół skrywamy. A on tego nie kryje, mówi: „Patrzcie, jestem wariatem". Przy czym na końcu okazuje się, że wszyscy nimi jesteśmy.

Także widzowie, którzy odnajdują siebie w tym bohaterze.

– Czując prawdopodobnie ulgę. Bo myśleliśmy, że jesteśmy pierdolnięci, a nagle okazuje się, że wszyscy są pierdolnięci i to jest w porząsiu. Na czym polega psychoterapia? Trzeba usiąść i powiedzieć o swoich dziwactwach, ktoś to musi usłyszeć. Początkiem leczenia alkoholizmu jest przyznanie się do choroby. Tak jak przyznanie się do swojego świra jest początkiem terapii, która w przypadku Koterskiego się powiodła.

Terapia nie sprawia jednak, że przestajemy być alkoholikami. Zostajemy nimi do końca życia.

– Tego się nie da pokonać. Koterski daje nam możliwość, abyśmy stawiali pytania. Dzisiaj, opowiadając ludziom o winach, mówię: „Nie próbujcie uczyć się wina tak, żeby zrozumieć, na czym polega różnica między nimi. Spróbujcie zrozumieć, dlaczego jedno wino smakuje wam bardziej niż drugie". Chodzi o to, aby określić siebie, odpowiedzieć, kim jestem.

To jest to, co wyniosłem ze spotkania z Koterskim. Spróbuj popatrzeć na siebie w sposób krytyczny – w pełnym tego słowa znaczeniu. Dlaczego jestem tak uwarunkowany? Jak wpłynęło na mnie dzieciństwo? Dlaczego mam trudności w kontaktach międzyludzkich? Jeżeli zaakceptujemy siebie takimi, jakimi jesteśmy, to droga do – jak pisze Michel Houellebecq – poszerzenia pola walki będzie łatwiejsza.

Świr w filmie Koterskiego to nie tylko Adaś, ale także matka, syn, sąsiad, kobieta napotkana w pociągu. Bohater zbiorowy – Polak jest człowiekiem zawistnym, małostkowym, chorym od nienawiści do drugiego człowieka. Ta diagnoza polskości jest dziś panu bliska?

Nie przebija przeze mnie gorycz. Wręcz przeciwnie. 75 lat mojego życia dało mi zróżnicowany obraz kraju. Dzisiaj jestem bardziej kibicem tego życia, a nie jego pełnoprawnym uczestnikiem

eprasa.pl cd54021495

FOT. PAP/AFA PIXX/KRZYSZTOF WELLMAN

Dzwoniłem w nocy do Koterskiego i pytałem: „Ale jak to? Będziemy srać na podwórku?”

◀ **Marek Kondrat jako Adaś Miałczyński w „Dniu świra” (2002)**

wyborcza.pl

• **W serwisie Wyborcza.pl wszystko, o naszym plebiscycie na najlepszy polski film 25-lecia. Jakie filmy znalazły się na finałowej liście? Kto jeszcze stanął na podium razem z „Dniem świra”?**

– Prawdopodobnie wcale tak dobrze nie znam Polaków. Bo kim jest Polak? To ten, którego spotykam w restauracji, ale to też Tadeusz Konwicki, z którym przesiadywałem w kawiarni. Operują innym językiem, inną wrażliwością, a obaj są Polakami. Obecnie bardziej liberalnie patrzę na zjawisko pewnej odrębności. Polska przestaje być dla mnie fetyszem. Zaczynam w Polaku – tak jak w każdym innym – doszukiwać się człowieka.

Zwłaszcza że zmienia się świat. Kiedy miałem sześć lat, rodzice znaleźli czarnoskórego Francuza, który miał mnie uczyć francuskiego. Przeżywałem katusze, gdy pokazywałem się z nim na ulicy. Ciągnął się za nami sznurek moich kolegów, którzy chcieli zobaczyć osobę o innym kolorze skóry. Dzisiaj w Krakowie czuję się czasem jak we Włoszech, czasem jak w Anglii, czasem jak w Hiszpanii. Słyszę dziesiątki języków.

„Dzień świra” jest według mnie rzeczą uniwersalną, bo przedstawia obraz człowieka, którego życie jest zatopione w przeszłości.

A jak ten autokrytyczny portret inteligenta ma się do czasów dzisiejszych? Polski nauczyciel, profesor akademicki czy pisarz to nadal człowiek sfrustrowany, niemający pieniędzy, czujący się zbędny społeczeństwu?

– Nie ma pojęcia inteligenta w takim wymiarze jak wtedy. Dzisiaj to nic nie znaczy. Ludzie w tak otwarty sposób zaczęli się penetrować nawzajem, mówić o swoich dolegliwościach, że ich status społeczny przestał mieć znaczenie. Nieważne, czy widzem jest profesor filozofii, czy operator koparki. Prawdopodobnie, oglądając „Dzień świra”, doznają takiego samego uczucia.

Staram się zbagatelizować stereotyp, że ten film dotyczy inteligenta. Jak Adaś kupuje „tę kobietkę” w kiosku, to zachowuje się jak menda. Inteligenta w nim nie widać. Myślę, że to film o bólu człowieka w ogóle.

Nigdy nie zapomnę premiery „Dnia świra” w 2002 roku w Krakowie. Seans był częściowo na zaproszenia, pozostałe bilety można było kupić w kasie, więc przyszedł pełen przekrój społeczeństwa. Marek jest histerykiem, był przerażony. Jak usłyszał pierwsze śmiechy, ulżyło mu – był w siódmym niebie. Słysząc reakcję widowni, zrozumieliśmy, o czym tak naprawdę zrobiliśmy film. „Dzień świra” trafił zarówno do krakowskich mieszczek, jak i łysych karków.

Spotykam ludzi, którzy nie wyrażają zachwytu z tego, że mogą się ze mną sfotografować, tylko opowiadają własne przeżycia. Po „Domu wariatów” podeszła do mnie kobieta, która zapytała, kto nakręcił ten film. Dociekałem, dlaczego chce to wiedzieć. „A bo on opisał moje życie” – odpowiedziała.

No dobrze, ale właściwie dlaczego widzowie utożsamiają się z tym bohaterem? Przecież Adaś Miauczyński to frustrat, mizogin, gbur, posługujący się wulgarnym językiem, który posuwa się do przemocy nawet wobec niepełnosprawnego jamnika.

– Spotkanie z bohaterem Koterskiego jest bolesne, bo odkrywamy w tym własne uczucia. Popatrzymy na tego faceta i zdamy sobie sprawę, że zachowujemy się podobnie – nawet jeśli nie uzewnętrzniamy swoich emocji w taki sposób jak Adaś, to w duszy miewamy podobne myśli. Jadąc samochodem, odruchowo wygrażamy innym uczestnikom ruchu drogowego. To jest nasza natura, przypadek kliniczny. „Kliniczny” brzmi, jakby to była choroba, a tymczasem to nasza rzeczywistość. Jak sobie zdamy z tego sprawę, to być może znajdziemy na to jakiś środek.

Mam wrażenie, że problemy ukazane w „Dniu świra” są dzisiaj jeszcze bardziej aktualne. Depresja jest chorobą cywilizacyjną, z którą – według szacunków – w Polsce zmaga się 1,2 mln osób. Łykamy garściami psychotropy, żeby poradzić sobie w świecie zbrutalizowanej polityki, podupadającej służby zdrowia i absurdalnie wysokich cen mieszkań.

– Podejrzewam, że skala problemów psychicznych była kiedyś podobna, ale nie mieliśmy takiej świadomości na temat psychologii. Lekarz powiedział kiedyś mojej matce: „Pani Olu, proszę wziąć się w garść”. Taki był poziom medycyny i zainteresowania pacjentem. Dzisiaj jest inaczej. Człowiek nagle pragnie się wyodrębnić, więc „Dzień świra” przynosi mu jakiś rodzaj ulgi, bo Koterski zajmuje się pojedynczym gościem, a nie zbiorowiskiem, które jest dookoła nas.

Ludzkość za mojego życia się potroiła. W 1950 roku, kiedy się rodziłem, było na świecie 2,5 mld ludzi. Dzisiaj jest prawie 8,5 mld. Świat się skurczył. Dawniej patrzył pan bardziej uważnie na jednostkę, teraz patrzy pan na masy. Byłem świadkiem lądowania na Księżycu w 1969 roku. Oglądałem zdjęcia zrobione przez astronautów, na których Ziemia wyglądała jak piłka. Dzisiaj widzę zdjęcia z Marsa, na których Ziemia wygląda jak główka od szpilki. Coraz trudniej dostrzec pojedynczych ludzi.

Koterski w jednej z pierwszych sekwencji „Dnia świra” naśmiewa się z poziomu debaty politycznej. Polityk z mównicy wykrzykuje słynne: „Moja racja jest racja najmojsza!”. Oglądając kampanię prezydencką, debaty w Końskich albo przepychanki Kaczyńskiego i Giertycha w Sejmie, myśli pan sobie: To jest „Dzień świra” na żywo?

– Wiek mnie dotyka, jestem mniej tym zainteresowany, z większą tolerancją przyglądam się polityce. Patrzę na degradujący się świat, bo przestaliśmy być w tym wyjątkowi. Za oceanem mamy takiego samego idiotę jak wszędzie. Myślę, że Polska to całkiem niezłe miejsce do życia. Pogląd ten wynika z moich doświadczeń pobytu w innych miejscach, które kiedyś były okryte nimbem oryginalności i piękna – dopóki ich nie zobaczyłem.

Powiedział pan kiedyś: „Nie jestem jak Adaś Miauczyński z »Dnia świra«, który »już w nic wam nie wierzę« cedzi do polityków w telewizorze”. Są politycy, którym pan ufa?

– Nie zajmuję się tym. Oczywiście sympatyzuję z niektórymi, mam też takich, których nie cierpię, ale myślę, że są koniecznością. Musimy przeżyć coś niefajnego, żeby zrozumieć, dlaczego to jest niefajne i odbić się ku lepszemu. Ale polityka jest skomplikowanym wymiarem, „lewo” i „prawo” straciły swój wyrazisty charakter i znaczenie.

Sojusznika poszukuję w naturze i w sposobie zachowań, które wynikają z mojego wieku i doświadczenia. Nie jestem skory do przyklaskiwania kolejnej grupie politycznej, której szwy są coraz bardziej widoczne. Widzę ludzi, którzy wybierają politykę jako zawód, który daje im szanse na karierę. Kiedyś myślałem, że to tylko idee. Wyzwoliłem się już z takich naiwnych myśli.

Człowiek jest istotą łatwowierną, której wzrok nie sięga dalej niż koniec własnego nosa. Ludzie głosują na daną partię, bo „tamci zabrali mi emeryturę” albo „tamci chcą wejść na moje pole”. Kierują się dobrem własnym, a nie dobrem narodu. Nie przebija przeze mnie gorycz. Wręcz przeciwnie. 75 lat mojego życia dało mi zróżnicowany obraz kraju. Dzisiaj jestem jednak bardziej kibicem tego życia, a nie jego pełnoprawnym uczestnikiem.

Co pan dostrzega w tej rzeczywistości z perspektywy kibica?

– Poprawność sprawia, że nasza wrażliwość się zmienia. Ludzie są wobec siebie uważni i wyrozumiali. Zaczynamy dostrzegać między sobą różnice, tolerancja ma swoje przejawy na ulicy w formie manifestacji. Stajemy w obronie różnorodności, której w młodości nie doświadczyłem. Pacyfikujemy się, jesteśmy wydelikaceni, być może mniej odporni na okrucieństwa życia, ale też staramy się je zminimalizować.

Świat – wbrew temu, co dzieje się w Ukrainie – jest pacyfistyczny. Przez 80 lat w naszym regionie nie było wojny. Dla ludzi, którzy znają historię, to pewien ewenement. Urodziłem się 5 lat po wojnie, pamiętam ruiny na Muranowie w Warszawie. To mój obraz założycielski.

Wojna za miedzą, nastroje nacjonalistyczne, histeryczny strach przed imigrantami, wariactwo Trumpa. To wszystko nie budzi w panu obaw?

– Nie. Upatruję tego braku lęku w czasie, w którym jestem. Wszystkie dywagacje na ten temat musiałyby być kreacją, a nie rzeczywistym przeżyciem. Trudno wyobrazić sobie wojnę. Jakbyśmy usłyszeli świst i coś grzmotnęłoby w kamienicę obok, tobyśmy poczuli grozę. Ale dopóki świstu nie słyszymy, to nic się takiego w naszych mózgach nie dzieje.

Wyobrażenia też mogą wywołać w nas lęk.

– Ale też nieporozumienia. To taki teatr, który bazuje na wyobraźni. Trumpowi też jakieś durne myśli chodzą po głowie. Wydaje mu się, że jak nałoży cła na cały świat, to Ameryka będzie silniejsza. Najgorsze jest to, że mówimy o prezydencie mocarstwa atomowego. Myślę sobie, że świat jest mrożkowski albo koterski.

„Dzień świra”.

– Do czego to może nas doprowadzić? Ufamy jakimś zapadkom bezpieczeństwa w postaci ludzi obok, którzy mogą powstrzymać Trumpa. Możemy się z tego tylko śmiać. Bo co pan poradzi? Może sobie pan wyobrazić dramat życia. Ale nie trzeba daleko sięgać, aby dostrzec dramat życia. Widać go na ulicach. Dzisiaj poszedłem z psami na spacer, na ławce w parku widziałem dwóch mężczyzn, którzy o 9 rano wyjęli „małpkę” z kieszeni i wprowadzili – jak mówił Himilsbach – element baśniowy do rzeczywistości. To dramat wymierny.

Wspomniał pan, że jest dziś daleko od kina. Zdarza się panu pójść na jakiś film?

– Kino jest poza sferą mojego zainteresowania. Książki też mnie nużą. Mój wiek nie łaknie czyjegoś spojrzenia na świat, on już się zaspokaja niezbyt wysilonym, statecznym życiem. Żeby nie narażać siebie ani innych na siebie. To jest najlepsza pora na konsumpcję życia w prostym wymiarze. Nie musi pan już się ścigać, udowadniać czegoś innym. W tym wieku już pan wie, że za piłeczką lepiej nie biegać, bo może być zawalik. Byłem świadkiem czegoś takiego, to uczy. ●

Marek Kondrat

• ur. w 1950 r., aktor, reżyser, przedsiębiorca. Występował m.in. Teatrze Dramatycznym i Teatrze Ateneum w Warszawie. Zagrał w ponad 100 filmach, m.in. Andrzeja Wajdy, Kazimierza Kutza, Janusza Majewskiego, Władysława Pasikowskiego czy Marka Koterskiego. U tego ostatniego był Adasiem Miauczyńskim w filmach: „Dom wariatów” (1984), „Dzień świra” (2002) i „Wszyscy jesteśmy Chrystusami” (2006). Za występ w „Dniu świra” dostał nagrodę na Festiwalu w Gdyni oraz Polską Nagrodę Filmową w ktegorii najlepsza główna rola męska. Karierę aktorską zakończył w 2007 r. Mieszka w Hiszpanii i w Polsce. Autor książki „Winne strony. Opowieść o pasji, która zmienia życie”. Współwłaściciel sieci Kondrat Wina Wybrane.

1 RP

eprasa.pl cd54021495

Witold Bereś

Album Andrzeja Nowakowskiego

WIELKA KSIĘGA WAWELSKA

Z Wawelem jest jak z oddechem. Na co dzień nie czujemy, że nasze płuca pracują. Ale kiedy przestają, od razu nas boli. Gdyby Wawel zniknął, byłoby tak samo.

Lewnętrzny dziedziniec na wawelskim wzgórzu. Jest słoneczne, ciepłe i późne popołudnie. Wczesna wiosna. Złota godzina wymarzona przez fotografów. Za chwilę ostatni turyści opuszczą wzgórze, z wolna zapada cisza.

Gdy patrzy się z murów, widać, jak w łagodnym zakolu Wisły odbijają się złote pasma zachodzącego słońca. A gdy odwrócić się plecami od rzeki, ujrzy się fioletowo kwitnące magnolie kładące już pierwszy, chłodny cień na rozgrzane mury katedry, gdy w tym samym czasie u góry promienie słoneczne jeszcze mocno i pomarańczowo odbijają się w złotych, rybich łuskach katedralnej kopuły.

Mało kto wtedy rzuci wzrokiem pod stopy, gdzie na zamkowym dziedzińcu Wawelu znaczą się charakterystycznym obrysem ślady dawnych budynków. Kamienie te przypominają, że Wzgórze to nie tylko katedra, Zamek Królewski, mury wysokie i widok bajeczny, ale także miejsce, w którym historia Polski układa się niczym w wielowarstwowym torcie, pięknym i być może smakowitym, ale nie do zjedzenia, nie do objęcia ludzkimi zmysłami.

To w tym miejscu, gdzie widać owe kamienne zarysy, jeszcze na początku wieku XIX stały dwa kościoły, murowane, gotyckie: św. Jerzego i św. Michała. Zburzyli je Austriacy. Wcześniej w miejscu tych świątyń stały dwie inne: jeszcze około połowy wieku XIV były to budowle drewniane. Ale wcześniej za to dwie romańskie świątynie kamienne.

Jeszcze wcześniej, być może za Mieszka I, postawiono tu pierwszą świątynię chrześcijańską na południu Polski. Ale przed tą pierwszą świątynią było tu miejsce świątynne innych, przedchrześcijańskich religii.

Trzeba ominąć wzrokiem błyszczące poszycie katedry, oderwać wzrok od renesansowego zamkowego podworca, zdrapać tę pierwszą warstwę piękna, ciut pogrzebać i pomyśleć o tym, co kryje Wzgórze Wawelskie.

•

Prof. Andrzej Betlej, kolejny z szeregu wielkich kluczników Zamku Królewskiego, zauważa, że Wawel to taki palimpsest polskości. Jak wiadomo, średniowieczni mnisi, by zapisać kolejne traktaty na pergaminie, często zmywali ze starych ksiąg wcześniejszy tekst, aby móc nanieść nowy. Bo pergamin był drogi i trudno dostępny, więc wielokrotnie go wykorzystywano. Szczęśliwie, dzięki współczesnym technikom, historycy potrafią odzyskiwać te wcześniejsze, niewidoczne już zapisy, co pozwala odkrywać teksty utracone przez wieki. Owo odkrywanie warstwowej historii dzieje się też nieustannie na Wawelu.

Nie tak dawno, gdy odsłaniano kamienną konstrukcję z drewnianymi elementami w pobliżu XII-wiecznej wieży obronnej, w warstwach czegoś, co mogłoby być średniowiecznym wałem łączącym się z wieżą, znaleziono złoty pierścień w doskonałym stanie z niechrześcijańskim ornamentem sugerującym rzymskiego boga Janusa. Zgubiła go dama przechadzająca się po wale w średniowieczu? Zerwał złodziej z palca? A takich zagadek i tajemnic wzgórze kryje mnóstwo.

• **Ogrody na Wawelu w obiektywie portrecisty współczesnego Krakowa Andrzeja Nowakowskiego**

•

Tę tradycję Wzgórza Wawelskiego jako palimpsestu polskiego narodowego mitu doskonale oddaje album „Wawel mój - Wawel nasz", księga Andrzeja Nowakowskiego, uznanego portrecisty malującego obiektywem współczesny Kraków.

Jego zdjęcia zawsze oddają osobisty punkt widzenia, ulotną chwilę, w której przyciska migawkę. Obiektyw aparatu jest dla niego niczym pędzel dla malarza. Sam zresztą powtarza, że z serca jest „młodopolaninem", więc wszystko, co jest tajemniczą mgłą, zakłóceniem konturu, rozmyciem, uznaje za bliskie.

W ten sposób portretował np. Planty. Albo obfotografował ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim. A i tak mówi, że ma wrażenie, jakby tematu Krakowa ledwie dotknął. Tłumaczy: - To miasto jest jak bezdenny lej, spacerujemy tylko po jego obrzeżach. Gdy zejdzie się głębiej, ujawniają się kolejne detale, nastroje, światło... Marzy mi się, by wejść do takich zamkniętych enklaw, których strzeże Kościół - do klasztorów, ogrodów. To są miejsca jeszcze niesfotografowane.

Pozornie Wawel to zamek i katedra. Niektórzy dodadzą nekropolię. A przecież jest jeszcze Wawel podziemny. Obszerny

Pozornie Wawel to Zamek Królewski i Katedra. Niektórzy dodadzą nekropolię. A przecież jest jeszcze Wawel podziemny, obszerny. Fotograf - autor był w miejscach, które sam odkrywał za pomocą specjalistycznego sprzętu grotołazów, a przed nim stawała tam stopa ludzka może i kilkaset lat wcześniej.

Na wawelskim Zamku sporo jest takich miejsc, których nikt nie odwiedza, bo nie leżą na turystycznym szlaku. To z reguły są przestrzenie neogotyckie. Miejsca, po których chodzili ludzie przed wieloma wiekami.

Nowakowski tak mówi o tym, co robi: - W pracy nad portretowaniem Krakowa wydawało mi się, że Wawel jest po prostu kolejnym zabytkiem, obiektem, który wymaga opracowania. Ale wiedziałem, że jest czymś więcej. Nagle zrozumiałem, że integralną ramą dla pojęcia Wawel jest ponadczasowość: Wawel jest wieczny, a w związku z tym jest mitem, który jest i dzieje się wszędzie. Stoi nad Polską i ją ogarnia.

Z Wawelem jest jak z oddechem. Na co dzień nie zdajemy sobie sprawy z tego, że nasze płuca pracują. Ale jak tracimy oddech, od razu czujemy ból. Gdyby Wawel zniknął, byłoby tak samo.

•

Na pierwszy rzut oka jest to po prostu księga. Album wygląda tak, jak solidny album fotograficzny oddający wielkość Wawelu winien wyglądać: 570 stron formatu B4, papier zacny, szlachetny, ale przez to ciężki - a więc i waży kilogramów bodaj pięć. A w środku stonowane ilustracje: Wawel za gałęziami jesiennych drzew; Wawel w śniegu. Niby banał - ale to tylko pierwsza, pozorna warstwa tej księgi.

Bo później w oczy rzucają się teksty. Prof. Betlej zauważa, że wiele osób utożsamia dwa pojęcia: Wawel i historia. A Anna Grochowska-Biodrowicz w eseju o dzwonie Zygmunta przypomina, że „to dziś z rzadka bijące serce najważniejszego dzwonu Rzeczypospolitej, które przypomina napomnienie starego kaznodziei", „budzącego sumienia i polskie serca". Bo ten dzwon to zwieńczenie całego Wzgórza, tym mocniejsze, że jego sens zasadza się nie na fizycznym istnieniu, ale na dźwięku donośnym i świątecznym.

Warstwa trzecia to już treści nieoczywiste: bo autor (i jednocześnie wydawca) zdecydował się obudować swoje ilustracje wawelskie nie tylko oficjalnym zapleczem informacyjnym, ale i tym mniej oczywistym, a zawsze pisanym przez najwybitniejszych znawców historii.

Jest więc o smokach i ciepłych wodach, czyli rzecz o genezie jaskini Smocza Jama - tę legendę zna każdy, ale dopiero po przeczytaniu eseju Michała Gradzińskiego czytelnik się zorientuje, że smok mógł istnieć naprawdę. Jest oczywiście o geologicznych podstawach wzgórza, o opisach Wawelu w czasach staropolskich, o wnętrzach królewskiej rezydencji i o wawelskich mitologiach.

Później pojawia się fizyczny znak wawelskiego palimpsestu: średniowieczne monety wydobyte na powierzchnię w trakcie wykopalisk archeologicznych. Zejdźmy i głębiej - jeśli Wawel to nie tylko Zamek, ale i katedra, to zatem i nekropolia. Więc są teksty o wawelskim pochówku.

•

Poskrobmy jednak w księdze głębiej. Oto po fotosach oficjalnych, tekstach oczywistych i nieoczywistych pojawia się kolejna warstwa, niedostrzegalna na pierwszy rzut oka: poetycko zachwycające portrety miejsc nie do zobaczenia dla zwykłego turysty. Poetyckość bierze się i z tego, że Nowakowski specjalizuje się w fotografii czarno-białej.

Kiedy patrzymy na obrazy wawelskich zakamarków, zaułków i wnętrz, zakręconych, kamiennych schodów i wąskich cel, a wreszcie i mrocznych podziemi, gdzie nie docierają nawet remontowe ekipy, to zdajemy sobie nagle sprawę z tego, że album Nowakowskiego jest właśnie najpełniejszym palimpsestem wawelskim. Który w dodatku czeka jeszcze na odkrycia kolejnych warstw.

Najbardziej przejmującym i poetyckim skrótem tej wielkiej księgi jest zdjęcie, które autor zamieszcza na jej początku. To portret białawego pająka. Oto mieszkaniec wawelskich podziemi, który żyje w miejscach nieoglądanych od setek lat przez nikogo. Ten stawonóg nosi na grzbiecie zjadliwego grzyba, który atakuje tego pajęczaka jeszcze za życia. Pasażer ten szczególnie upodobał sobie pająki żyjące w ciemnych i wilgotnych miejscach - w miarę upływu czasu z wolna rozrasta się w ciele nosiciela i stopniowo przejmuje kontrolę nad jego odruchami, doprowadzając go do śmierci. Ale wszak śmierć jednego pająka nie oznacza śmierci jego rodu, który kotłuje się w wawelskich lochach.

Autor zauważa, że fotografując owego mieszkańca podziemi, znalazł dobrą metaforę. „Wawel to życie i śmierć w symbiozie. To nierozerwalne zwarcie trwania i przemijania. To jest mój Wawel".

Ale sens nie tkwi w grzybie i nawet nie w tych mieszkańcach o sześciu parach odnóży. Tkwi w tym, co po tych mieszkańcach pozostaje: to nić, którą mozolnie snują od tysiąca lat kolejne pajęcze pokolenia zaludniające Wzgórze Wawelskie. ●

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Witold Bereś**

• redaktor naczelny magazynu „Kraków i Świat", producent filmowy, pisarz. Tytuł tekstu - „Wyborcza".

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

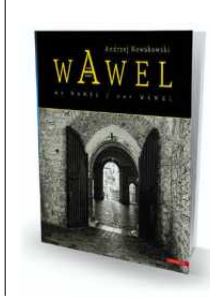

Andrzej Nowakowski, **„Wawel mój - Wawel nasz / My Wawel - Our Wawel"**, Universitas, Kraków 2024

eprasa.pl cd54021495

Jędrzej Słodkowski
Zdjęcia: **Michał Ryniak/ Agencja Wyborcza.pl**

REPORTAŻ Z NEPALU

Żołnierze z TikToka

Tata powtarzał, że wróci

Dwa filary gospodarki Nepalu: **Himalaje i najemnicy**

Świtać zaczyna przed szóstą.

Chciałoby się jeszcze pospać, ale zaczynają wydzierać się koguty. Gdzie ludzie je właściwie trzymają? To przecież Thamel, najbardziej skomercjalizowany kawałek Katmandu.

Pół godziny później przez szpary w oknach zaczyna przebijać się charchanie. Mieszkańcy Thamelu próbują wyrzucić z oskrzeli, gardła i nosa smog, który odłożył się tam przez noc.

Chwilę później rozlega się trzaskanie garów. W urządzonych na dachach kuchniach kobiety pichcą dal bhat, czyli zupę z soczewicy, oraz ryż. Wtedy nadchodzi cios, po którym żadne „jeszcze pięć minut" nie jest już możliwe: jaskrawe głosy, zawodzenie sitarów, gęste bębenki. Całą okolicę wypełnia puszczony na cały regulator hymn „Om Namah Śiwaja" ku czci boga Śiwy.

Po ósmej natężenie hałasu szybko rośnie. Trzaskają rolety w sklepach. Sprzedawcy nawołują klientów. Szwacze nogą puszczają w ruch maszynę Singera, by wyprodukować kolejne koszulki z napisem w stylu: „Dal bhat power 24 hour". Wierni uderzają w dzwony we wszechobecnych świątyńkach. Kierowcy walą w klaksony. Taksiarze nawołują klientów.

Właśnie, chyba jest już nasze taxi! Wybiegamy z naszego backpackerskiego hoteliku i wsiąkamy w zgiełk nepalskiej stolicy.

•

Po 20 minutach wysiadamy z taksówki pod domem Kritu Bhandari, aktywistki, która od kilkunastu miesięcy prowadzi kampanię „Ocalić życia Nepalczyków w rosyjskiej armii". Przylecieliśmy do Nepalu, by zrozumieć, dlaczego właśnie obywatele tego kraju w takiej liczbie postanowili walczyć dla Putina.

W „takiej liczbie", czyli w jakiej? To też chcieliśmy ustalić. W lutym 2024 r. CNN doniosło, że chodzi o 15 tys. Nepalczyków. Rząd Nepalu bagatelizował sprawę, twierdząc, że problem dotyczy 200 osób.

Naprawdę ma na imię Menuka, ale wszyscy znają ją właśnie jako Kritu. Takie miano nadali jej przed laty towarzysze z Komunistycznej Partii Nepalu – Centrum Maoistowskiego.

Dziś też działa w Komunistycznej Partii Nepalu, ale KPN – Zjednoczeniu Socjalistycznym, które powstało w wyniku rozłamu u maoistów, a więc siły, która w 1996 r. rozpoczęła zbrojną rebelię przeciwko królowi Nepalu.

Wojna domowa zakończyła się po dekadzie, a jej rezultatem okazało się obalenie monarchii i ustanowienie republiki. Ani triumfujący wówczas maoiści, ani przewodzący obecnie koalicji rządowej komuniści z KPN – Zjednoczenia Marksistowsko-Leninowskiego (w parlamencie jest obecnie pięć partii komunistycznych) nie dążą do ustanowienia dyktatury proletariatu; akceptują demokratyczne reguły gry.

Które, jak narzekają Nepalczycy, polegają na nieustających próbach sklecenia koalicji w rozdrobnionym parlamencie oraz rządach oderwanych od realiów starszych panów. A także na nepotyzmie, korupcji i innych patologiach toczących to biedne, pozbawione przemysłu, żyjące w cieniu potężnych sąsiadów – Indii i Chin – państwo. Brak perspektyw popycha Nepalczyków do emigracji. I tylko dzięki niej obywatele, którzy pozostali w kraju, wiążą jakoś koniec z końcem. Jedna trzecia nepalskiego PKB to transfery pieniężne od emigrantów.

•

Jednym z nielicznych pewnych pracodawców w kraju jest armia. Niekoniecznie nepalska.

Tutejszą specyfiką jest możliwość legalnego służenia w wojskach Wielkiej Brytanii i Indii, a także w singapurskiej policji. Ta tradycja ma już ponad 200 lat, kiedy to Brytyjcz ycy, posmakowawszy na własnej skórze bitności Gurkhów, ludu, którego władca w XVIII w. zbrojnie zjednoczył mikroskopijne państewka w królestwo Nepalu, utworzyli dla nich najemnicze oddziały.

Od dawna w nepalskich brygadach za granicą służą przedstawiciele innych niż Gurkhowie nepalskich ludów (Nepalczycy dzielą się na ponad 140 etnosów/kast mówiących ponad 120 językami). Najbardziej pożądana ze względu na świetne zarobki i wysoką emeryturę jest służba w British Army. Byłym Gurkhą jest na przykład himalaista rekordzista Nirmal Purja.

W armii brytyjskiej jest dziś jednak miejsce dla ledwie 4 tys. Nepalczyków; rocznie dostaje się do niej 300 osób (na 20 tys. chętnych). 2 tys. Gurkhów służy w siłach policyjnych Singapuru (rocznie dostaje się 150 osób). Zdecydowanie liczniejsze – 32 tys. – są nepalskie brygady w armii Indii. Co roku służbę rozpoczynało w nich nawet 1,5 tys. Nepalczyków.

Tyle że premier Indii Narendra Modi zmienił w 2022 r. zasady rekrutacji do wojska. Nowy system przewiduje, że żołnierze rekrutowani są na cztery lata. Potem w armii zostaje tylko 25 proc. najlepszych. Pozostali odpadają, a za cztery lata służby nie przysługują im świadczenia emerytalne. Wcześniej Gurkhowie mogli służyć w Indiach przez nawet 17 lat, a chłopcy garnęli się do niej także właśnie z powodu perspektywy emerytury, która w Nepalu jest luksusem zarezerwowanym dla pracowników budżetówki. Choć słowo „luksus" nie jest tu specjalnie na miejscu.

– U nas nawet emerytowany żołnierz otrzymuje żałosne pieniądze. Minraj dostaje 25 tys. rupii emerytury – opowiada Dipendra Gurung, brat zaginionego gdzieś w Donbasie Minraja Gurunga. 25 tys. nepalskich rupii to 690 zł. Pensja żołnierza jest zresztą tylko minimanie wyższa. Dla porównania, policja w Singapurze na dzień dobry płaci równowartość 12 tys. zł.

Ówczesny premier Nepalu Pushpa Kamal Dahal, znany powszechnie pod pseudonimem „Prachanda" („Groźny") z czasów, gdy stał na czele maoistowskiego powstania, w odwecie nakazał wstrzymanie rekrutacji do indyjskiej armii.

Z jednej strony mamy więc kilkaset tysięcy młodych mężczyzn wchodzących rocznie w wiek produkcyjny, biedę, niski poziom edukacji, wewnętrzną i zewnętrzną słabość władzy państwowej, powszechność emigracji, rozwinięty sektor międzynarodowego pośrednictwa pracy, doświadczenia wojny domowej, tradycję służby w obcych siłach zbrojnych oraz zablokowaną możliwość służby w Indiach. To Nepal.

Z drugiej strony mamy państwo z gigantycznym zapotrzebowaniem na żołnierzy. Z bezwzględną, cyniczną władzą.

eprasa.pl cd54021495

◀ – Prosiłyśmy go, żeby wrócił z Rosji. Ale on chciał nas tam zabrać, wyrwać nas do lepszego świata – mówią żona i matka Binoda Sunawara

▼ Krishna, syn Binoda, prowadzi na YouTubie kanał gamingowy. O ojcu, który zginął na Ukrainie, nie jest w stanie mówić. Od razu płacze

▲ Binod z każdej misji przywoził matce jakiś prezent. Naszyjnik sprezentował jej na dzień matki, wysyłając potajemnie pieniądze na jego zakup żonie

Zobaczył na TikToku nagranie, jak dobrze pracuje się w armii rosyjskiej. Bezpiecznie. Żadnych działań wojennych. Świetne pieniądze. Dobre jedzenie. Obywatelstwo po roku

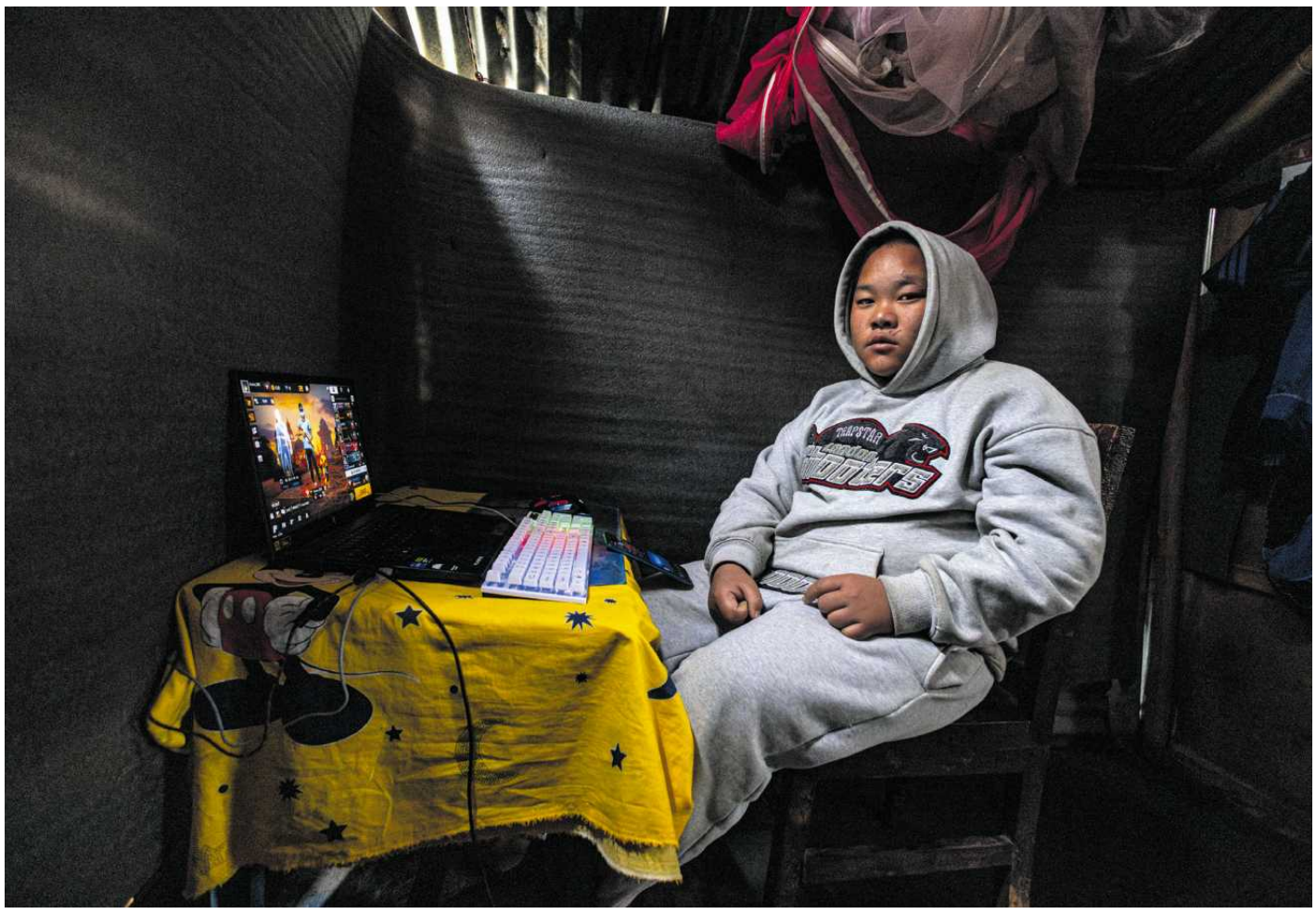

1 RP

Z długą tradycją wykorzystywania „obcych" etnicznie w charakterze mięsa armatniego. To Rosja.

Kiedy popyt spotyka podaż tak idealnie skrojoną pod siebie, biznes zaczyna robić się spontanicznie, oddolnie. Nie potrzeba do tego żadnych umów na wysokich szczeblach. Potrzeba wyłącznie obrotnych handlarzy. I odpowiedniej reklamy.

●

Jedziemy do slumsów na obrzeżach stolicy. Eskortuje nas dwóch policjantów – Kritu Bhandari dostaje regularne pogróżki od pośredników, którzy wysyłali Nepalczyków do Rosji i którym zepsuła kwitnący biznes.

Smog przesłania góry zamykające dolinę Katmandu. Przed nami rozciąga się osiedle rachitycznych domostw skleconych z blachy, gliny, słomy, bambusa i plastiku. Przy chatkach stoją sławojki, chlewiki, klatki z kurami.

Przyjechaliśmy do rodziny Binoda Sunawara. Jego żona, 34-letnia Shreejana Basnet, zaprasza nas do środka, który okazuje się bardzo przytulny i zadbany. Zawstydzony 14-letni Krishna, syn Binoda i Shreejany, podaje nam dłoń i czmycha do swojego pokoiku oddzielonego dyktą od reszty domostwa. Centralne miejsce zajmują w nim laptop i podświetlana klawiatura. Kilka godzin później, gdy Krishna nabierze śmiałości, poprosi nas o zasubskrybowanie jego gamingowego kanału. – Jestem youtuberem – wyjaśni.

eprasa.pl cd54021495

Przy herbacie z masalą i mlekiem zasiada z nami jeszcze Naramaya Sunuwar, matka Binoda.

Lampka płonąca w rogu izby rzuca migotliwe światło na portrety Binoda i przypominające dyplom upamiętnienie fundacji Sahayata Nepal, którą założyła Kritu Bhandari.

– Dziś mija miesiąc od ceremonii – mówi Shreejana. Dopiero wtedy łączę kropki: w gazecie „The Himalayan" czytałem niedawno reportaż z symbolicznej kremacji nepalskiego najemnika w świątyni Paśupati, narodowym sanktuarium, gdzie oddaje się cześć bogu Śiwie. Symbolicznej, bo ciało Binoda zostało pod Bachmutem.

Umiem sobie mniej więcej tę ceremonię wyobrazić. Kompletnym przypadkiem poprzedniego dnia odwiedziliśmy Paśupati, i to w dzień najważniejszego dla wyznawców Śiwy święta – Mahaśiwaratri. Widzieliśmy, jak bliscy zmarłego owijają jego ciało w całun (gdy nie ma ciała, owija się kukłę) i przy niosą je ku stosom ciałopalnym na brzegu rzeki Bagmati. Tam ciało nieboszczyka polewa się rozpałką, a następnie ktoś z rodziny, najczęściej najstarszy syn, przykłada żagiew do stosu.

Bucha czarny dym; w dniu Mahaśiwaratri kopci się z całego nabrzeża, a wiatr unosi dym ku tysiącom pielgrzymów. Wciąż próbujemy się pozbyć z nosa czarnego pyłu. Spalone szczątki lądują w rzece, a dusza zmarłego może wyruszyć w drogę do kolejnego wcielenia. Popiołem pozostałym po kremacji nacierają się żyjący w świątyni święci mężowie aghori, asceci naśladujący Śiwę. Do ich skromnej diety zaliczają się także niedopalone kawałki ludzkiego mięsa.

•

Na szafie leży wielki wojskowy plecak. – To Binoda? – pytam.

– Tak. Był zawodowym żołnierzem. Służył przez 18 lat, jeździł na misje, na przykład do Konga – mówi jego żona.

Misje pokojowe ONZ to jeszcze jedna zarobkowa furtka dla nepalskich żołnierzy. Armia niespełna 30-milionowego kraju liczy prawie 100 tys. żołnierzy, z czego ponad 6 tys. bierze udział w misjach ONZ na całym globie. To najliczniejszy narodowy kontyngent w siłach pokojowych ONZ.

– Po powrocie z misji zobaczył na TikToku, jak pewien Nepalczyk będący w Rosji opowiada, jak dobrze pracuje się w tamtejszej armii. Bezpiecznie. Żadnych działań wojennych. Świetne pieniądze. Dobre jedzenie. Perspektywa otrzymania obywatelstwa po roku. Armia nepalska płaci tak mało, że długo się nie zastanawiał – wspomina Shreejana.

Przez dwa tygodnie pobytu w Nepalu odbyłem kilkadziesiąt rozmów z: najemnikami, ich rodzinami, aktywistami, dziennikarzami. W każdej niczym refren powracał motyw Nepalczyków zachwalających na TikToku Rosję jako eldorado. Kto i dlaczego nagrywał te filmiki?

Jak udało mi się ustalić, były to dwie różne grupy.

Pierwsza to świeży rekruci, którzy piali z zachwytu w pierwszych chwilach po wylądowaniu w rosyjskich jednostkach. Lecieli do Moskwy, sądząc, że będą służyć w armii, ale jako kucharze, tragarze, ochroniarze, tak jak obiecali im pośrednicy z TikToka. Nie znali rosyjskiego, kontrakty podpisywali w ciemno.

– Nepalski pośrednik wysyłał ludzi do agencji ochroniarskiej w Rosji. A agencja miała kontrakt z armią. I tak ludzie tacy jak mój syn trafiali na wojnę, choć nie mieli takiego najmniejszego zamiaru – tłumaczył mi Rajendra Kuwak, ojciec zaginionego półtora roku temu Bharata.

W pierwszych tygodniach spędzonych setki kilometrów od Ukrainy najemnicy nie podejrzewali podstępu. Mieli wyłącznie trening kondycyjny i siłowy. Nie spodziewali się, że wkrótce Rosjanie dadzą im do rąk karabin. Wielu z nich o wojnie przeciw Ukrainie wcześniej nie słyszało. Dowiadywali się o niej, gdy po kilku tygodniach szkolenia wysyłano ich do szturmowania ukraińskich pozycji.

Tak, z początku też trudno było mi w to uwierzyć, ale po entej rozmowie, w której usłyszałem bliźniaczą historię, porzuciłem europocentryczny punkt widzenia i spróbowałem się mentalnie wcielić w mieszkańca kraju, w którym 30 proc. osób powyżej 15. roku życia nie potrafi czytać ani pisać (a 40 lat temu było to 80 proc.). W którym większość obywateli zajęta jest dotrwaniem do końca dnia. W którym wydostanie się z własnej doliny po szutrowych wertepach to poważna operacja. I w którym jeszcze ćwierć wieku temu dwie trzecie gospodarstw domowych nie miało dostępu do prądu. Dziś to tylko 6 proc., ale efekt tego cywilizacyjnego zapóźnienia jest taki, że wielu Nepalczyków ominęło etap śledzenia wiadomości w radiu i telewizji. Od razu dostali do rąk smartfony z serwisami społecznościowymi.

TikTok ma w Nepalu 2,2 mln użytkowników. W listopadzie 2023 r. rząd Nepalu zablokował serwis ze względu na – jak tłumaczono – negatywny wpływ na harmonię społeczną, a zwłaszcza młodzież. Szefostwo chińskiego serwisu ugięło się i zgodziło na bieżącą moderację serwisu pod kątem „szkodliwych treści"; zakaz został zniesiony w sierpniu 2024 r.

Tiktoker, który namówił na przyjazd m.in. Binoda Sunawara, działał jednak w pełni świadomie. Wiedział, że jego rodacy zostaną rzuceni na front w charakterze mięsa armatniego. Konto niejakiego Mr Pumy – reprezentanta drugiej grupy tiktokowych naganiaczy – pełne jest filmików, na którym w mundurze z rosyjską flagą podśpiewuje rozanielony nepalskie piosenki. Mr Puma skierował Binoda do pośrednika w Nepalu, który za załatwienie rosyjskiej wizy, przelotu do Moskwy i skierowanie do armii zainkasował 7,5 tys. dol.

•

To w kraju, w którym średnia pensja wynosi 166 dol., kwota zawrotna. Inni płacili jednak jeszcze więcej.

Na przykład pośrednik pracy Ramesh Budhatoki, którego zeznania uzyskaliśmy w Sądzie Dystryktowym w Katmandu, brał 9,5 tys. dol. od osoby.

– Wielu ludzi przychodziło do mnie, pytając o pracę za granicą. Rekomendowałem im pracę w armii rosyjskiej. W Google'u znalazłem informacje, że można zarobić 700 tys. rupii nepalskich miesięcznie, a w razie śmierci rodzina dostaje 20 mln rupii – zeznał Budhatoki. Nigdzie z tak ogromnymi sumami – odpowiednio 19 tys. i 550 tys. zł – się nie spotkałem.

– To była świetna oferta – zeznał pośrednik. – Mówiłem im: nie będziecie walczyć, ale pomagać, nosić broń, ogarniać transport. Wielu ludzi nie było świadomych, że w ogóle trwa jakaś wojna.

Ponieważ z Nepalu nie ma bezpośrednich lotów do Rosji, Budhatoki nawiązał współpracę ze znajomym Nepalczykiem w Dubaju. – Wysyłałem mu ludzi do Dubaju, a on wsadzał ich do samolotu w Moskwie. Tam odbierał ich kolejny znajomy i pomagał im dostać się do armii.

Podczas procesu Budhatoki kilkukrotnie powtarza, że jest niewinny, a on nie popełnił przestępstwa, bo „ludzie sami tego chcieli", a on „wysyłał ich przecież tylko do Dubaju".

•

Binod podpisał kontrakt na rok. Matka i żona nie wiedzą, ile zarabiał. Inne rodziny opowiadały mi, że podstawowa pensja ich bliskich wynosiła w przeliczeniu ok. 9 tys. zł plus 2,2 tys. zł za każdorazowe pójście na front. – Co kilka miesięcy przesyłał nam 500 dol. Resztę pieniędzy zapewne odkładał. Dwa razy został ranny, za co przyznali mu odszkodowanie – opowiada Shreejana.

– Wysyłał zdjęcia i filmiki z frontu. Trudno mi je oglądać, ale możemy ci pokazać – odzywa się Naramaya Sunuwar.

– Nie, nie trzeba – mówię mamie Binoda, której wąziuteńkie, jak to u himalajskiego ludu Sunuwarów, oczy od początku rozmowy raz po raz wypełniają się łzami. Ale pani Naramaya już odpala telefon. Oglądamy zdjęcia z koszar, z poligonu, z frontu. – O, to zdjęcie z zamaskowanym siatką hełmem jest z Ukrainy – wyjaśnia żona.

Przeskakujemy na konto Binoda na TikToku. Pełne jest filmików, na których śpiewa, tańczy, wygłupia się w rytm nepalskich przebojów.

– Najbardziej nie znosił, kiedy ktoś się smucił. Uwielbiał rozśmieszać nas tymi filmikami – mówi Shreejana. – Po roku kontrakt się skończył, mógł wrócić do Nepalu. Ale on chciał mieć rosyjskie obywatelstwo, żeby wyrwać nas stąd do lepszego świata. Powiedzieli mu, że obywatelstwo idzie w parze z zawarciem kolejnego rocznego kontraktu i kolejnymi świetnymi pieniędzmi. I on się na to zgodził. Ja i jego mama prosiłyśmy go wielokrotnie, żeby wrócił. Przecież przyjęcie obywatelstwa rosyjskiego oznaczało, że będą mogli z nim zrobić, co zechcą. Nawet później znów wysłać na wojnę wbrew jego woli. Ale on był pewny, że da sobie radę. Był zbyt pewny siebie.

Pani Naramaya: – Kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy na wideo, pokazywał mi owoce na drzewach. „Mamo, przywiozę ci je" – obiecywał. Mówił, że jedzie na front i nie wie, jak długo to potrwa.

1 RP

Może zginę, ale nakarmię rodzinę

1/3
• nepalskiego PKB to transfery pieniężne od emigrantów

Około 300 Nepalczykom
• z 20 tys. chętnych, udaje się dostać co roku do armii brytyjskiej, najbardziej pożądanego pracodawcy

150 Nepalczyków
• co roku zasila siły policyjne Singapuru

1,3-1,5 tys. Nepalczyków
• co roku zasilało armię Indii

690 zł
• dostaje emerytowany żołnierz w Nepalu. Dla porównania – policja w Singapurze na dzień dobry płaci 12 tys. zł

166 dol.
• wynosi średnia pensja w Nepalu. Pośrednicy za załatwienie rosyjskiej wizy, lotu do Moskwy i skierowania do armii – pobierają 7,5-10 tys. dol.

6 tys. Nepalczyków
• bierze udział w misjach ONZ na całym globie. To najliczniejszy narodowy kontyngent „błękitnych hełmów"

30 proc.
• Nepalczyków powyżej 15. roku życia nie potrafi czytać i pisać. 40 lat temu to było 80 proc.

Około 9 tys. zł
• podstawy plus 2,2 tys. zł za każdorazowe pójście na front dostawał od Rosjan jeden z nepalskich najemników

Około 220 tys. zł
• dostaje rodzina Rosjanina, który zginął w Ukrainie

Wesprzyj fundację Sahayata Nepal

• Za sprawą intryg handlarzy żywym towarem oraz postępowania władz Rosji – wielu Nepalczyków, których bliscy zaginęli lub zaginęli na wojnie w Ukrainie, znalazło się w tragicznym położeniu. Rzesza rodzin straciła jedynych żywicieli. Prawie wszystkie borykają się z astronomicznymi długami. Ich przyszłość w kraju, w którym płatny jest zarówno system edukacji, jak i ochrony zdrowia, rysuje się w najczarniejszych barwach.

• Kritu Bandhari założyła fundację Sahayata Nepal, która pomaga osobom w najbardziej beznadziejnej sytuacji.

Możesz wesprzeć fundację, wchodząc na stronę **zrzutka.pl/z/nepalnepal.**

eprasa.pl cd54021495

Z Nepalu do Donbasu

Tak wyglądał typowy kanał, którym Nepalczyków przerzucano na wojnę

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA, 23.04.2025

Rodzina Binoda Sunuwara została w swojej chatce w slumsach bez jedynego żywiciela rodziny. Bez żadnych perspektyw na przyszłość

Shreejana ostatni kontakt z mężem miała 14 listopada. Pokazuje konwersację na WhatsAppie. W zielonym dymku wiadomość od Sheerjany: „Good morning, Budo B". Poniżej odpowiedź od niego, w białym dymku: „Good morning". Niżej już tylko ściana nieodczytanych wiadomości od niej, nieodsłuchanych głosówek oraz połączeń, których jej ukochany Budo B nie odebrał.

– O tym, że Binod zginął, dowiedzieliśmy się od dwóch różnych żołnierzy. Potem potwierdził to rosyjski dowódca.

23 stycznia o godz. 16.36 oficer wpisany w kontaktach Shreejany jako „Sergey 995 Bilyalov" pisze do niej: „Nie ma jeszcze oficjalnego meldunku, ale ciało zostało znalezione". „Jak zginął?" – pyta żona. „Atak moździerzowy" – odpisuje Bilyalov.

Trzy dni później w Paśupati odbyła się ceremonia.

●

Wiadomość na WhatsAppie nie jest bynajmniej oficjalnym potwierdzeniem śmierci. Ta możliwa jest po identyfikacji ciała na podstawie danych z nieśmiertelnika albo po wykonaniu badań DNA. – To, że dowódca napisał, że ciało zostało znalezione, wcale nie oznacza, że zostało zabrane z pola bitwy i że można dokonać identyfikacji – tłumaczy Kritu Bhandari.

A bez tego rodzina zmarłego nie może się starać o odszkodowanie od państwa rosyjskiego. – Binod był jedynym żywicielem rodziny. A przecież musimy płacić czynsz i czesne za szkołę Krishny – mówi Shreejana. W Nepalu nawet publiczne szkoły są płatne.

Rodziny Rosjan, którzy zginęli w walce, otrzymują równowartość ok. 220 tys. zł. Tymczasem na razie jedyną pewną perspektywą finansową rodziny Sunuwarów jest sprzedanie co jakiś czas prosiaka z chlewika mamy Binoda. Albo kury. Za kurę można dostać 2 tys. rupii, czyli 55 zł, za co rodzina może przetrwać cztery-pięć dni.

Pomijając już niechęć rosyjskiego państwa do wypłacania rekompensat nawet własnym obywatelom, identyfikację zmarłych utrudnia liczba ciał i stopień ich zmasakrowania. Zwłaszcza w takich miejscach jak Bachmut, gdzie prawdopodobnie zginął Binod.

– Ci, którzy byli na froncie, opowiadają o morzu ciał – relacjonuje Kritu Bhandari. Na dowód tego wyjmuje telefon i pokazuje mi zdjęcia przedstawiające stosy umundurowanych zwłok.

Telefon Kritu pełen jest takich materiałów. Po chwili pokazuje mi wideo: rosyjski dowódca odcina głowę żołnierzowi. – Bo nie chciał walczyć – wyjaśnia Kritu. Na kolejnym filmie rosyjski dowódca rozstrzeliwuje Nepalczyka. – Ten mężczyzna pisał do mnie wcześniej, że jego dowódca nazywa go terrorystą i chce go zabić. Prosił mnie o ratunek. Dlaczego terrorystą? Bo uciekł na Białoruś. Ale oczywiście został złapany i odesłany. Nie byłam w stanie mu pomóc – opowiada.

– Śmierć Binoda sprawiła, że pękło mi serce – płacze pani Naramaya. – A nie miałam łatwego życia. Wychowałam się na wsi i od rana do nocy musiałam wypasać krowy i zbierać plony. Mąż zostawił mnie dla innej kobiety. Miałam czterech synów. Dwóch zabrała mi powódź. Trzeci popełnił samobójstwo. Teraz zginął Binod. Została mi już tylko córka.

Pani Naramaya zaprasza nas jeszcze na chwilę do siebie. Bardzo chce nam coś pokazać. Jej lepianka stoi 100 m dalej. wyjmuje z szafki pieczołowicie przechowywany czerwony naszyjnik. – W tajemnicy wysłał Shreejanie pieniądze i poprosił ją, by w jego imieniu kupiła mi ten naszyjnik na Dzień Matki – wyjaśnia. – To ostatni prezent, jaki od niego dostałam.

●

Pośrednik Ramesh Budhatoki wysłał na wojnę 56 rodaków. Z paragrafu o handlu ludźmi dostał 10 lat więzienia.

– Zebraliśmy i przekazaliśmy policji dane 70 pośredników. Służby zatrzymały 38 z nich. Część z nich trzeba było zwolnić z braku dowodów, bo albo pośrednicy nie zachowali dowodów, albo je zniszczyli – opowiada Kritu Bhandari. – Ale procesy się toczą. Oprócz Budhatokiego skazanych zostało już czterech handlarzy ludźmi, którym udało się udowodnić proceder dzięki zachowanym przelewom bankowych. Każdy brał od 700 tys. do 1,15 mln rupii za załatwienie wizy do Rosji.

Skazanym pośrednikom – to Dev Kumar Rai, Hom Bahadur Tamang, Bishwanath Sharma i Som Bahadur Baral – zaproponowaliśmy rozmowę. Żaden z nich nie chciał się jednak spotkać z dziennikarzem z Polski.

Ilu Nepalczyków oni i im podobni nielegalnie wysłali na wojnę w Ukrainie? Nepalski rząd nie ma na ten temat oficjalnych danych. Kritu Bandhari, która ujawniła istnienie tego mechanizmu, jest w kontakcie z rodzinami ponad 3 tys. najemników. Skąd się zatem wzięła podana przez CNN liczba 15 tys. Nepalczyków służących Rosji?

– Kiedy zaczęłam badać sprawę, skontaktowałam się z Nepalczykiem, który był dowódcą naszych rodaków w armii rosyjskiej. Opowiedział, że widział listę Nepalczyków w rosyjskiej armii i że numery porządkowe sięgały 14700. Opowiedziałam to amerykańskim dziennikarzom, a oni wysnuli z tego wniosek, że tylu właśnie służy Nepalczyków. A przecież ten dowódca mógł spojrzeć na koniec listy, podczas gdy na wcześniejszych stronach mogli być żołnierze innych narodowości – wyjaśnia Kritu Bhandari. Sama uważa, że liczba nepalskich najemników jest raczej zdecydowanie bliższa trzem niż 15 tysiącom.

Rosjanie po testach DNA potwierdzili śmierć 58 Nepalczyków. Śmierć swoich bliskich zaakceptowały jednak 83 rodziny. 310 Nepalczyków uznaje się za zaginionych. Bhandari szacuje, że do kraju wróciło 300-400 najemników, a rosyjskie obywatelstwo przyjęło ponad 600. Co najmniej 19 Nepalczyków siedzi w ukraińskich obozach jenieckich, choć władze Ukrainy oficjalnie potwierdziły tożsamość pięciu z nich. ●

Z Himalajów do Donbasu

- Niniejszy tekst to pierwszy odcinek reporterskiego serialu o Nepalczykach na wojnie w Ukrainie „Z Himalajów do Donbasu".
- Odcinek drugi – opowieść o trzech najemnikach: Ramie, który po roku na froncie ugrzązł w Moskwie, Dawie, który cudem wrócił do Nepalu, i jego przyjacielu Dineshu, który zginął na oczach Dawy pod Bachmutem – ukaże się 5 maja w „Dużym Formacie".
- Odcinek trzeci – opowieść o Kritu Bhandari, komunistce, która rzuciła wyzwanie Putinowi – 10 maja w „Wysokich Obcasach".
- Na wyborcza.pl posłuchasz też podcastu z autorem tekstu.
- Artykuł powstał w ramach projektu The Eastern Frontier Initiative współfinansowanego przez Unię Europejską. Członkami konsorcjum TEFI są 444 (Węgry), Gazeta Wyborcza (Polska), SME (Słowacja), PressOne (Rumunia) i portal śledczy Bellingcat.

REKLAMA

Kraj/34374466

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA WWW.WYDAWNICTWOAGORA.PL KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

Wydawnictwo Agora

1 RP

eprasa.pl cd54021495

Lubię być jedną nogą na ulicy

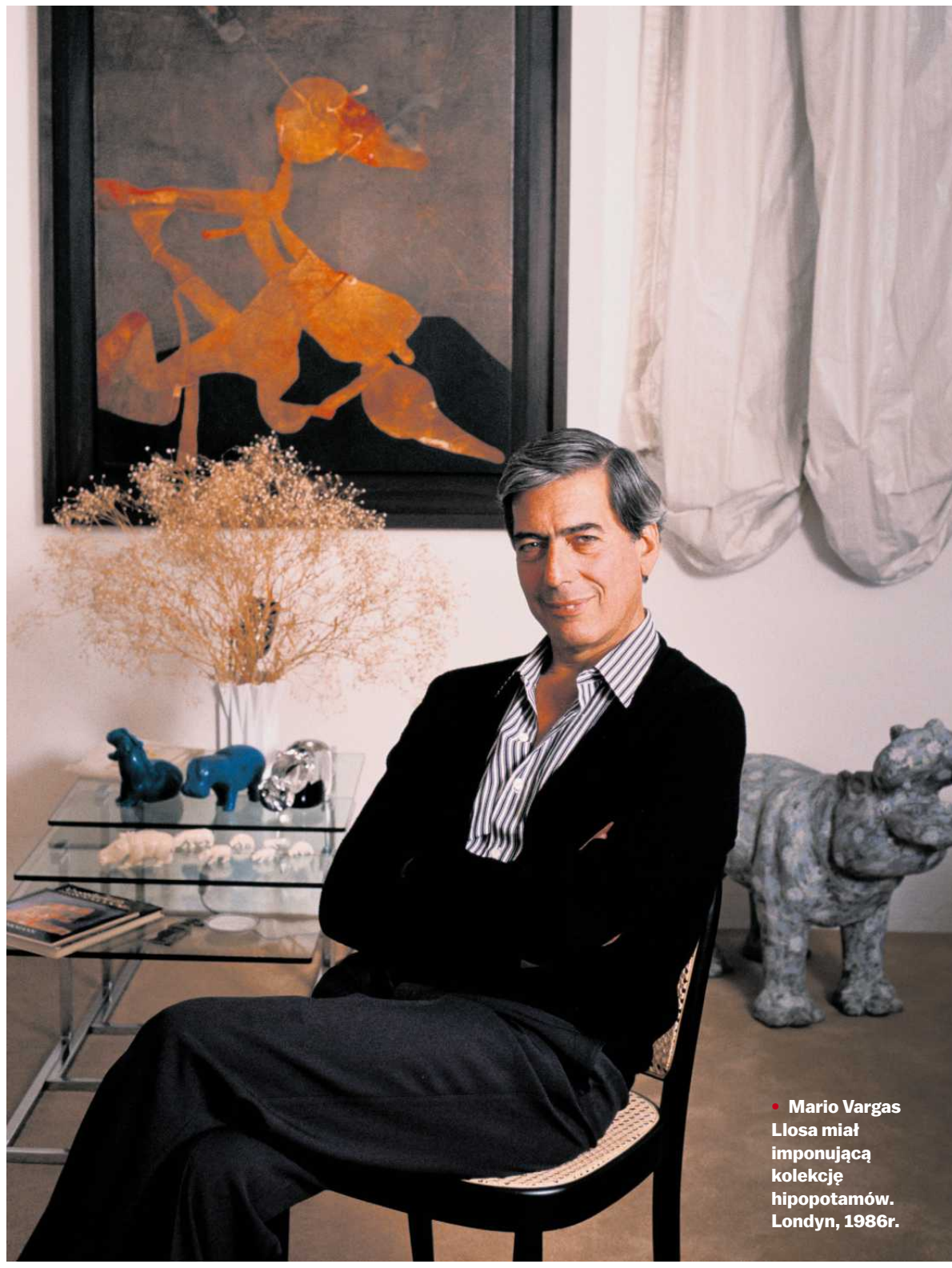

• Mario Vargas Llosa miał imponującą kolekcję hipopotamów. Londyn, 1986r.

CHRISTOPHER PILLITZ/GETTY IMAGES

Bez książek bylibyśmy mniej niespokojni i mniej niepokorni.

Maciej Stasiński

Wybitnych pisarzy Ameryka Łacińska dała światu w drugiej połowie XX wieku legion. Ale ponad nimi – niczym „Olbrzym" Francisca Goi – góruje Mario Vargas Llosa – pisarz, intelektualista i obywatel współczesności. Odszedł 13 kwietnia.

Najpierw nuta osobista. Kiedy byłem w szkole, pierwszą książką z literackiego boomu latynoamerykańskiego, jaką przeczytałem, były „Szczeniaki", a zaraz potem „Miasto i Psy", i wywróciłem się na wznak z wrażenia. Postanowiłem, że następne przeczytam już po hiszpańsku i m.in. z tego powodu poszedłem na iberystykę na UW.

Już po hiszpańsku czytałem potem Julio Cortazara, Gabriela Garcię Marqueza, Carlosa Fuentesa, Octavio Paza, Alejo Carpentera, Jorge Luisa Borgesa i innych.

Ale przed wszystkim starałem się nie zaniedbać większości kolejnych powieści Mario Vargasa Llosy: od „Rozmowy w Katedrze", „Wojny końca świata", „Panteleona i wizytantek", przez „Historię Alejandra Mayty", „Litumę w Andach", po „Święto Kozła", „Marzenia Celta" czy „Burzliwe Czasy".

Śledziłem też jego pisma krytyczne, eseje, reportaże i artykuły publikowane w prasie i antologiach, m.in. „Pez en el Agua" (Ryba w Wodzie), „Contra Viento y Marea" (Pod Prąd) czy „Sables y Utopias" (Miecze i utopie), gdzie zabierał głos jako dziennikarz, krytyk literatury, kultury i komentator współczesności politycznej.

Poznałem go osobiście dawno temu w Warszawie, a potem spotykałem i rozmawiałem z nim wielokrotnie. Publikowaliśmy w „Gazecie" jego pamiętną mowę noblowską z 2010 roku. Robiłem z nim wywiady.

W trakcie dziennikarskich podróży natykałem się raz po raz na gorejące ślady, jakie jego pisarstwo i działalność publiczna zostawiały w Hiszpanii, Peru i innych krajach Ameryki Łacińskiej, gdzie był uwielbiany i nienawidzony jako polityczny komentator, ale wszędzie podziwiany jako pisarz, jeden z najwybitniejszych wirtuozów i nowatorów formy literackiej oraz błyskotliwy niczym sztukmistrz opowiadacz ludzkich historii.

Marksizm, wiara porzucona

W krajach kultury hiszpańskojęzycznej wiadomość o jego odejściu zawisła jak ciężka, ponura chmura. Przez prasę Hiszpanii i innych krajów zachodniej półkuli przez kilka dni toczył się żałobny tren pisarzy, intelektualistów, publicystów i postaci życia publicznego. Jak refren w tym zbiorowym requiem powtarzano, że odszedł ostatni z licznej czeredy wielkich pisarzy, jakich kulturze światowej dała Ameryka Łacińska w XX wieku.

Ja też z solennym przekonaniem uważam, że Mario Vargas Llosa był olbrzymem ducha i słowa. Przekonanym, uważnym i głębokim uczestnikiem współczesnej rzeczywistości swojego kraju i świata. Sposobem jego uczestnictwa było słowo, a nade wszystko powieść jako najwierniejsze wobec ludzkiej prawdy kłamstwo. Uważał pisarstwo za najlepszy sposób oddania i uprzytomnienia czytelnikom rzeczywistości samej, bo wszak tylko przez słowo mamy do niej rozumny dostęp.

Od publicystyki też nie stronił, a wręcz uważał ją za swoją publiczną powinność, i trybunę, jaką dawała mu sława, gorliwie wykorzystywał.

Był człowiekiem wolnym, choć nie wolnym od wiar czy zaangażowań ideowych. Intelektualnie na tyle suwerennym, żeby wiary porzucać i poddawać je krytyce, gdy nie wytrzymywały próby doświadczenia.

Jak większość młodych pisarzy i intelektualistów latynoskich połowy XX wieku, uległ urokowi idei rewolucji i marksizmu jako jedynej drogi przezwyciężenia dziedzictwa kolonialnego i postkolonialnego, nędzy, nierówności, przemocy i społecznego zniewolenia. Nadzieją dla nich była rewolucja na Kubie, która miała uniknąć degeneracji szlachetnej idei i nie powtórzyć losu dyktatur komunistycznych w Związku Sowieckim, Europie Wschodniej czy Chinach.

Tę wiarę porzucił, a jego dorosłym i ostatecznym wyznaniem wiary stała się liberalna demokracja, której do śmierci pozostał zażartym i radykalnym obrońcą. Zwalczał utopie totalitarne, wodzowskie populizmy, nacjonalizmy, tyranie i dyktatury, reżimy lewicowe i prawicowe, które pod rozmaitymi maskami sprawiedliwości, równości czy wspólnoty narodowej skrywają żądzę panowania i niszczenia wolności.

Nad Sartre'a przedkładał Camusa

Manichejska ideologicznie i odporna na dowody z doświadczenia lewicowa opinia publiczna nie wybaczyła mu nigdy zerwania z dyktaturą kubańską Fidela Castro, kiedy po haniebnym publicznym linczu na poecie Heberto Padilli w 1971 roku pisarz podpisał otwarty list protestacyjny do kubańskiego dyktatora.

Inni wielcy i sławni pisarze, jego przyjaciele, jak Gabriel Garcia Marquez czy Julio Cortazar, na taki krok nie potrafili się zdobyć, albo swój protest wycofali. Z młodzieńczą wiarą w rewolucję komunistyczną się nie rozstali. Marquez, Nobel literacki 28 lat przed Mario Vargasem Llosą, pozostał niezłomnym dworakiem Castro.

Lewicowi krytycy jeszcze bardziej nie wybaczyli Llosie, że w następnych latach – śladem lektur Adama Smitha, Isaaka Berlina, Karla Poppera, Friedricha Hayeka, Jose Ortegi y Gasseta czy Raymonda Arona – przyjął za swoje credo liberalizm i wspierał różne rządy uznawane w imię miłości do rewolucji socjalistycznej za prawicowe, czyli nieledwie zbrodnicze.

Rozstał się z wiarą w eschatologiczne rozwiązanie zagadek historii raz na zawsze i nad Jean Paula Sartre'a przedkładał Alberta Camusa. Krytykował wyższościową postawę europejskich intelektualistów, którzy jak Günter Grass zalecali krajom Ameryki Łacińskiej najpierw zaznać rewolucji w imię sprawiedliwości społecznej, a demokrację liberalną odłożyć na później.

Jego własny upór przy liberalnym credo oraz łatwowierność wobec głoszących je

eprasa.pl cd54021495

przywódców zatrącały niekiedy doktrynerstwem i naiwnością. A przemożna potrzeba opowiedzenia się za kimś i przeciw komuś w życiu publicznym prowadziła go czasem „w szkodę".

Bywało więc, i skrzętnie mu to wytykano, że w sprzeciwie wobec widm totalitaryzmu, które śladem kubańskiej dyktatury rozpełzały się po zachodniej półkuli, jak w Wenezueli czy Nikaragui, zapędzał się w popieranie rządów czy przywódców o wątpliwej liberalno-demokratycznej reputacji, jak Jaira Bolsonaro w Brazylii, czy kandydatów skrajnej prawicy, jak Jose Antonio Kast w Chile.

Polityczne piruety w Peru

Imperatyw wspierania swoim autorytetem politycznych opcji prowadził go raz po raz na manowce, zwłaszcza w rodzimym Peru.

Pokusę politycznej kariery porzucił, kiedy w 1990 roku przegrał wybory prezydenckie z ludowym demagogiem Alberto Fujimorim. Ale politycznego zaangażowania nigdy się nie wyrzekł. Ta decyzja, niewątpliwie szczęśliwa dla literatury, odbiła się na jego późniejszych politycznych wyborach niefortunnie. Piruetów wykonał kilka.

Poparł Alana Garcię przeciw Ollanta Humali (w 2006 roku), a potem tego ostatniego przeciw Keiko Fujimori (w 2011 roku), przed którą ostrzegał, że przywróci dyktaturę skazanego za zbrodnie ojca, a jeszcze później (w 2021 roku) ją samą, tym razem jako mniejsze zło, wobec ludowego demagoga Pablo Castillo.

Alan Garcia wygrał wtedy wybory, ale w 2019 roku oskarżony o korupcję strzelił sobie w głowę. Ollanta Humala też został prezydentem, ale właśnie został skazany za łapownictwo na 15 lat. A Keiko Fujimori, do szpiku kości skorumpowana, co prawda władzy nie dostąpiła, ale na wyrok za korupcję czeka.

Pytany kiedyś przez kolumbijskiego pisarza Hectora Abada Faciolince, czy jego awersja do lewicowego doktrynerstwa i głupoty nie spycha go zanadto „na prawo", odparł: – Hm, to możliwe.

Niezależnie od doraźnych politycznych wyborów, trafnych czy chybionych, Llosa miał słuch na społeczną krzywdę. Ruch Oburzonych, który po kryzysie światowym 2008-2009 rozlał się po świecie, od Izraela przez Hiszpanię po Stany Zjednoczone, uważał nie dość, że za uzasadniony, to jeszcze potencjalnie ozdrowieńczy.

Pornografia kapitalizmu

Każdy, kto chciał, usłyszał, co mówił w latach po kryzysie: „Rzekomo zwycięski świat, gdzie demokracja i gospodarka rynkowa zwyciężyły, sprowadziły kataklizm. Stąd mobilizacja młodych i klasy średniej, szykowali się do wkroczenia na rynek, a on zatrzasnął im drzwi. Płacą za kryzys, za który odpowiadają zaślepieni chciwością przedsiębiorcy, bankierzy, finansiści. Postępowali wręcz jak przestępcy, a rządy okazały im pełną wyrozumiałość i zamiast ukarać, ratują im skórę pieniędzmi podatników. To błąd. Powinni byli upaść".

Można było nie podzielać prostodusznej wiary Mario Vargasa Llosy w samonaprawę kapitalizmu, kiedy ratunku upatrywał w pożądanej rewolucji moralnej. Ale dobrze jest pamiętać, że potępiał ratowanie wielkich banków przed bankructwem przez rządy kosztem ruiny milionów ich klientów, a gdy ich prezesi nagradzali się wyuzdanymi premiami, piętnował to jako pornografię współczesnego kapitalizmu.

Kapitału, własności prywatnej i wolnej przedsiębiorczości bronił, gdy służą społeczności, ale ujmował się za pokrzywdzonymi, a chciwość kapitału żerującego na krzywdzie klientów poczytywał za przestępstwo i „gwałt na kulturze": „Kapitalizm przeżywa głęboki kryzys duchowy. Bez wymiaru moralnego, świeckiego czy religijnego kapitalizm się rozpada.

Pisali o tym wszyscy jego wielcy teoretycy, począwszy od Adama Smitha. Uzasadnienie ustroju opartego na wolnej przedsiębiorczości i wolności politycznej jest przede wszystkim natury moralnej. Bez moralności kapitalizm jest tylko wulgarną praktyką, która kończy się takimi katastrofami jak obecna".

Jak by jednak nie było – czy jego doraźne sympatie polityczne były owocem naiwności, czy zacietrzewienia, czy jego pogląd na współczesny „kapitalizm wyczynowy", jak o nim mawia Marek Belka, jest pięknoduchowski, idealistyczny, czy doktrynerski – Llosa obstawał przy swoim jak Marcin Luter: – Tu stoję i inaczej nie mogę.

Był otwarty i szczery. Mawiał zresztą, że „nie boi się zostać sam" ze swoimi wyborami. Wolał się mylić sam w imię wolności jednostki, niż ulegać instynktom i wiarom stadnym. Wielu jego krytyków „ideologicznych" nie chciało dostrzec – lub gorzej: wolało pozostać głuchymi, że pisarz głośno zwalczał inne reżimy i tyranie o zgoła nie lewicowym obliczu, jak gen. Augusto Pinocheta w Chile czy generałów w Argentynie.

Alberto Fujimoriego w ojczystym Peru zwalczał zaś nie tylko dlatego, jak mówiono, że przegrał z nim wybory prezydenckie, ale dlatego, że Fujimori był udrapowanym na obrońcę ludu despotą, a ostatecznie okazał się złodziejem i gangsterem.

Most między biurkiem a ulicą

Jeśli ktoś miałby wątpliwości co do liberalno-demokratycznych przekonań Llosy, winien przeczytać „Święto Kozła", błyskotliwą wiwisekcję bestialskiej tyranii Leonidasa Trujillo w Dominikanie, czy „Burzliwe Czasy", dzieje imperialistycznego, zorganizowanego przez CIA zamachu stanu i obalenia prezydenta Jacobo Arbenza w Gwatemali w 1954 roku.

Tego zimnowojennego zamachu stanu nie potrafił dostrzec, a raczej usiłował go zakłamać, mieszkający wówczas w Gwatemali skądinąd świetny polski pisarz Andrzej Bobkowski.

> Pytany, czy jego awersja do lewicowego doktrynerstwa nie spycha go zanadto „na prawo", odparł: – Hm, to możliwe

Konia z rzędem temu z ludzi lewicowego pióra, który potrafiłby pokazać dosadniej ludobójcze zbrodnie i kolonialny wyzysk, jak to uczynił Llosa w powieści „Marzenie Celta" poświęconej demaskacji belgijskiego ludobójstwa w Kongo i podobnej działalności anglo-peruwiańskiego koncernu Peruvian Amazon Company w Peru przez brytyjskiego oficera Rogera Casementa.

Llosa był też czujnym krytykiem współczesnej kultury masowej, także tej internetowej, stroniącej od lektury, autorytetów, prawdy, a oddającej się użyciu, poklaskowi, bladze i oszczerstwu. Uważał, że pisarz nie tylko nie może być ślepy na rzeczywistość i zamykać się w literackiej wieży, lecz ma obowiązek być obywatelem, czyli uczestnikiem res publiki. W jednej z rozmów opublikowanych w Gazecie mówił:

– Moim pierwszym powołaniem jest literatura. Ale nie lubię pisarza zamkniętego w gabinecie, odciętego od świata (...) Takie pisarstwo traci oddech i witalność, wyczucie trosk, pragnień i zawodów ludzi współczesnych. Ja lubię być jedną nogą na ulicy, wśród innych ludzi, w dziejącej się historii. Dla mnie mostem między biurkiem i ulicą jest dziennikarstwo. (...) Uważam, że pisarz jak każdy obywatel ma moralny obowiązek uczestniczenia w debacie publicznej (...). Szczególnie pisarze, bo ich przywilejem jest trybuna, której powinni używać do krytyki rzeczywistości.

W tym sensie był staromodnym inteligentem, choć to pojęcie i społeczny status wywodzi się z czasów minionych i z krajów Europy Wschodniej, a na Zachodzie jego odpowiednikiem bywa lekceważąco traktowany „public intellectual".

Co grozi współczesnemu społeczeństwu pogrążonemu w igrzyskach sieci społecznościowych, gdzie kwitnie hedonizm, dowolność, swawolny stosunek do prawdy i fałszu („twoja prawda przeciw mojej prawdzie"), triumfuje kłamstwo, ignorancja i obmowa, mówił już wiele lat temu.

Naga królowa się klika

Symbolem i ostoją kultury, wiedzy, krytycznego rozumu, a zarazem strażnikiem ludzkiej wolności, była dla niego książka. Dziś w dobie populistyczno-oligarchicznej nawały kłamstwa triumfującej pod egidą politycznych inżynierów dusz Trumpa-Muska-Zuckerberga jego ówczesne słowa brzmią jak złowrogo spełniające się proroctwo:

„Kultura banalnieje, staje się swawolna i błaha. Wszystko jest formą rozrywki – divertimento. Tak sztuka pozbywa się zmysłu krytycznego. Traci na tym społeczeństwo, instytucje demokratyczne i sama kultura. (...) Kiedy zabraknie książki, zagrożona będzie wolność, bo społecznościami łatwo manipulować za pomocą obrazów. Potężne media audiowizualne mogą się stać straszną bronią w ręku tyrańskich reżimów, jeśli zabraknie przeciwwagi w postaci społeczeństwa obywatelskiego. Tylko uważny, myślący czytelnik stwarza w sobie czujnego i krytycznego obywatela.

Poznanie, jakie dają obrazy i przeglądanie internetu, jest niebywale powierzchowne. Burzy hierarchię informacji, źródeł i wartości. Wszystko jest tak samo ważne, wszystko wolno i każdy może. Byle jaka wiadomość, którą wrzuci do sieci jakiś psotnik, cwaniak czy łajdak, jest tyle samo warta, co informacja w „New York Timesie", gdzie przestrzega się rygorów zawodowych i moralnych.

Poważna prasa, która miała stać na straży hierarchii i wartości, nie tylko się kurczy, ale by przeżyć, sama sięga po skandal i sensację. Cywilizacja widowiska sprawia, że zdjęcia nagiej królowej Anglii – ile by tu było kliknięć! – są ważniejsze od rewolucji w Libii. Miała być demokratyzacja i szybki obieg informacji, ale mamy rewolucję chaosu".

Dla Donalda Trumpa, już za pierwszej kadencji, nie miał nic prócz demolującej krytyki za kłamstwa, demagogię, rasizm, a jego wybór uważał ze nieszczęście i samobójstwo demokracji amerykańskiej oraz degradację USA do poziomu Trzeciego Świata. Co myślał o jego drugiej kadencji, zakrawającej na światoburczy i zaborczy amok imperialny, nie zdążył oznajmić.

Bylibyśmy gorsi bez książek

Jako liberalny radykalny demokrata Llosa miał się za obywatela świata, choć świat jeszcze obywatelstwa nie przyznaje. Jednak potęgę i rozmach jego talentu wyraża najlepiej nie jego publicystyka, lecz pisarstwo.

Jego literacki świat ma uwodzicielską moc, która sprawia, że opowiadanie wydaje się lepsze niż rzeczywistość, a historie, które tworzy, tłumaczą rzeczywistość ludzką głębiej niż Historia. Nie tylko uważał, że „więcej prawdy historycznej jest w literaturze niż w Historii", jeśli powieść tak cię wciąga, że zmienia fikcję w rzeczywistość", ale był w stanie jak zaklinacz węży tak pisać, by czytelnicy mu wierzyli. Jego powieściowy świat nie jest ilustracją czy komentarzem rzeczywistości niczym publicystyka, tym bardziej nie wyraża tez czy wartościujących sądów autora. Jest sam kreacją uwodzącą swoim realizmem czytelnika, który na czas lektury zawiesza świadomość, że obcuje z fikcją. Jego postaci są dojmująco prawdziwe w swej ludzkiej naturze i mają swoje żywe racje, którym gotowi jesteśmy oddać sprawiedliwość.

W „Rozmowie w Katedrze", dzięki mistrzostwu misternej, polifonicznej narracji w czasie i przestrzeni, postaci rozmawiają ze sobą, jakbyśmy my przy tym byli.

W „Święcie Kozła" upajający się władzą i strachem otoczenia tyran Leonidas Trujillo snuje swoje maniakalne, samcze rojenia i knowania przeciw otaczającym go wrogom tak wiarygodnie, jakbyśmy siedzieli przed nim, albo w jego głowie.

Swoim tytanicznym i pełnym rozmachu pisarstwem – samych powieści napisał 22 – Mario Vargas Llosa starał się sprostać temu, co uważał za cudowny dar człowieczeństwa, a zarazem zaranie i źródło kultury i cywilizacji. Tym darem jest literatura, która kiedyś w pieczarze przy ognisku zaczęła się jako opowiadanie historii.

Dowodził dobrodziejstw tego daru w mowie noblowskiej piętnaście lat temu. Dzisiaj te słowa brzmią jak testament:

„Dzięki literaturze, sumieniom, które budziła, pragnieniom i marzeniom, które rodziła, rozczarowaniu, po którym z podróży do rzeczywistości wracamy do pięknego zmyślenia, cywilizacja jest dziś mniej okrutna niż wówczas, gdy pierwsi bajarze uczłowieczali życie swoimi opowieściami.

Bylibyśmy gorsi, niż jesteśmy, bez dobrych książek, które czytamy. Bylibyśmy większymi konformistami, mniej niespokojni i mniej niepokorni, a duch krytyki, napęd postępu w ogóle by nie istniał. Podobnie jak pisanie także czytanie jest formą protestu przeciw niedostatkom życia. Ten, kto w fikcji szuka tego, czego mu brak, mówi, bez wypowiadania tego głośno, a nawet może tego nie wiedząc, że życie takie, jakim jest, nie wystarcza, by zaspokoić nasze pragnienie absolutu, tej podstawy ludzkiej kondycji (...).

Bez fikcji bylibyśmy mniej świadomi, jak ważna jest wolność, żeby życie dało się żyć, i jakim się staje piekłem, gdy wolność dławi tyran, ideologia czy religia. Kto wątpi, że literatura nie tylko pozwala nam śnić o pięknie i szczęściu, ale i przestrzega nas przed wszelkim uciskiem, niech spyta, czemu wszystkie reżimy, które usiłują kontrolować ludzkie życie od kolebki po grób, tak się jej boją, że ustanawiają cenzurę, by ją zdławić, i śledzą podejrzliwie niezależnych pisarzy.

Wymyślający historie opowiadacze zawsze (...) pokazują, że świat jest kiepsko urządzony (...) To ta świadomość i wrażliwość, gdy zapuszczą korzenie, sprawiają, że ludzie nie dają sobą łatwo manipulować i nie przyjmują łgarstwa, które głosi, że za kratami i w towarzystwie inkwizytorów i strażników żyje im się bezpieczniej i lepiej.

Literatura opacznie przedstawia życie, a jednak pozwala lepiej je zrozumieć, połapać się w labiryncie, w którym się rodzimy, błąkamy i umieramy. (...)Fikcja to nie tylko rozrywka i intelektualne ćwiczenia wyostrzające wrażliwość i budzące ducha krytycznego. Fikcja jest nieodzowna, by cywilizacja istniała, odradzała się i zachowywała w nas to, co w człowieku najcenniejsze. Byśmy nie cofali się do barbarzyństwa, jakim jest brak porozumienia, by życie nie sprowadzało się do pragmatyzmu specjalistów: widzą oni głębię zjawisk, ale zapoznają to, co ich otacza. Byśmy nie stali się niewolnikami maszyn, które wymyślimy. Bo świat bez literatury byłby światem bez pragnień, ideałów i nieposłuszeństwa, światem automatów pozbawionych zdolności do wyjścia poza siebie, przemiany w drugiego, w innych, lepionych z gliny naszych marzeń.".

Rzeczywistego Maria Vargasa Llosy nie ma już między nami. Ale jeśli jeszcze czytamy, dziedziczymy po nim tę dojmującą ludzką rzeczywistość, jaką zostawił nam w książkach, przez które będzie do nas mówił jak żywy. ●

eprasa.pl cd54021495

TYLKO ZDROWIE

Sparaliżowana przez kleszcza

Jedna wyprawa do lasu od

Kiedyś lubiła jeździć rowerem. Teraz z powodu kleszczowego zapalenia mózgu siedzi w wózku, który stabilizuje jej głowę i nogi.

Katarzyna Staszak

W lipcu 2022 r. rodzina Lenkiewiczów pojechała na spacer do lasu. Katarzyna, Adam i ich dwie córki: 7-letnia Iga i 4-letnia Ada.

Po wycieczce Katarzyna zauważyła dwa kleszcze, które wbiły się jej w brzuch. Adam szybko je usunął i zapomnieli o tym zdarzeniu.

Tydzień później pojechali w góry. Zdjęcia z tych wakacji zatrzymały ostatnie chwile, w których mogła objąć córki ramionami.

W piątek wracali do domu do Białegostoku. Mówiła, że boli ją głowa.

– Następnego dnia żona nie mogła już wstać z łóżka, leżała z wysoką temperaturą. Wieczorem doszły do tego wymioty. W niedzielę była już w szpitalu – wspomina Adam Lenkiewicz.

TO NIE GRYPA, TO WALKA O ŻYCIE

Stan Katarzyny szybko się pogarszał. Nie mogła ruszać rękami i nogami. Lekarze zdiagnozowali kleszczowe zapalenie mózgu.

Wirus sparaliżował drogi oddechowe. Zaczęła się walka o życie – podłączenie pod respirator na oddziale intensywnej terapii. Konieczne było zrobienie otworu w tchawicy i założenie rurki tracheostomijnej. Katarzyna ma ją do dzisiaj. – Próba jej usunięcia zakończyła się kolejną niewydolnością oddechową – mówi Adam.

– Gdy obudziłam się ze śpiączki nie ruszałam żadną częścią ciała – wspomina kobieta. Siedzi w wózku, który stabilizuje jej głowę i nogi.

Gdy zachorowała miała 36 lat. Obecnie potrzebuje całodobowej opieki i pomocy przy każdej czynności. Nie może sama jeść, nie może zająć się swoją higieną. Gdy leży, nie jest w stanie sama zmienić pozycji.

Może już ruszać palcami rąk i podnosi nogi. Na nowo uczyła się stać, może to zrobić, gdy jest oparta o rehabilitanta. Z jego pomocą próbuje chodzić – w specjalnych butach usztywniających nogi aż do kolan.

– Postęp jest minimalny, ale jednak jest – mówi Katarzyna.

Gdy jej mąż pracuje, opiekuje się nią jej siostra. Inne siostry też pomagają. Każdy w rodzinie musiał nauczyć się nowych rzeczy np. odsysania rurki tracheostomijnej.

FOT. SHUTTERSTOCK

Wczesne wyjęcie kleszcza zabezpiecza nas przed zakażeniem boreliozą, ale nie przed zachorowaniem na kleszczowe zapalenie mózgu

DLACZEGO ZACHOROWAŁA?

Każdy dzień Katarzyny wypełnia rehabilitacja.

– Staramy się, żeby rehabilitant przychodził na dwie godziny dziennie. Do tego masaż dwa-trzy razy w tygodniu. Przez zaciśnięte mięśnie żona ma problemy ze szczęką, więc staramy się też zapewniać rehabilitację stomatologiczną. Potrzebna jest również praca z neurologopedą. Razem to pięć-sześć godzin zajęć dziennie. A dzienny koszt takiej rehabilitacji wynosi ok. 500 zł, miesięcznie daje to ok. 10 tys. zł. Ze swojej wypłaty nie jestem w stanie pokryć tych kosztów. Żona dostała niedużą rentę. Udało nam się pozyskać pieniądze przez zrzutki – wylicza Adam Lenkiewicz.

Dlaczego Katarzyna zachorowała?

– Wczesne wyjęcie kleszcza zabezpiecza nas przed zakażeniem boreliozą, natomiast nie zabezpiecza przed zachorowaniem na kleszczowe zapalenie mózgu. Wirus jest wprowadzany w momencie wkłucia, gdy kleszcz wprowadza ślinę do skóry – tłumaczy prof. Joanna Zajkowska, specjalistka chorób zakaźnych z Kliniki Chorób Zakaźnych i Neuroinfekcji Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku.

O boreliozie słyszymy częściej. To choroba wywoływana przez bakterie i na nią mamy antybiotyki. A rumień, który pojawia się na skórze, jest sygnałem alarmowym, że trzeba zgłosić się do lekarza, nawet jeśli nie zanotowaliśmy samego ukłucia przez kleszcza.

Z kleszczowym zapaleniem mózgu (KZM) jest trudniej – nie ma leków, które zatrzymają wirusa. Skutki tej choroby mogą mieć długotrwały wpływ na życie. Jedyną ochroną jest szczepionka.

NIE MA LEKU, ALE MOŻNA NIE ZACHOROWAĆ

U każdej osoby zakażenie KZM może mieć inny przebieg. Organizm

Jak zaszczepić się przeciwko KZM

- Szczepionka przeciwko KZM jest dla dorosłych i dzieci od pierwszego roku życia.
- Pełne uodpornienie wymaga podania trzech dawek. Pierwsze dwie dawki można przyjąć w odstępie dwóch tygodni. – Dwie dawki dają nam odporność, a trzecia dawka jest niezbędną do pełnego uodpornienia. Warto zaszczepić teraz siebie i dziecko, jeśli chcemy mieć ochronę na wakacje – mówi prof. Joanna Zajkowska.
- Po kilku latach podaje się tzw. dawki przypominające. Pierwsza taka dawka powinna być zaplanowana po trzech latach od ostatniego szczepienia. A kolejne dawki – co pięć lat. Po ukończeniu 65. roku życia należy wrócić do cyklu trzyletniego.
- Szczepić można się przez cały rok.
- Na szczepienie możemy zgłosić się do swojej przychodni podstawowej opieki zdrowotnej. Jeśli lekarz zakwalifikuje nas do szczepienia, preparat kupimy na miejscu lub w aptece. Szczepionka nie jest refundowana.
- Szczepić można się także w aptekach. Szczepionki podają farmaceuci.
- Ceny szczepionek w poszczególnych aptekach i przychodniach są różne. Jedna dawka kosztuje ok. 100 zł.

1 RP

eprasa.pl cd54021495

ebrała jej sprawność

◀ **Katarzyna Lenkiewicz z córkami kilka dni przed paraliżem wywołanym kleszczowym zapaleniem mózgu**
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

czasem potrafi zwalczyć wirusa bezobjawowo. Nie możemy jednak zakładać, że dzięki dobrej odporności na pewno nie zachorujemy, bo wśród chorych z ciężkimi objawami są też osoby młode i dotychczas zupełnie zdrowe. Jak Katarzyna Lenkiewicz, która dojeżdżała do pracy na rowerze i lubiła chodzić po górach.

– Zakażenie to rywalizacja między wirusem KZM a naszym układem immunologicznym. Nie da się przewidzieć przebiegu choroby. Znaczenie może mieć ilość wirusa, jaką przenosił i zdążył przekazać człowiekowi kleszcz – mówi prof. Zajkowska.

Tłumaczy, że najczęściej choroba przebiega dwufazowo: zaczyna się od objawów podobnych do grypy, potem jest poprawa i pojawiają się objawy neurologiczne.

– Bólowi głowy mogą towarzyszyć nudności, sztywność karku i inne objawy świadczące o zajęciu układu nerwowego. Jeżeli lekarz podejrzewa zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych czy zapalenie mózgu i nie ma przeciwwskazań do punkcji lędźwiowej, pobiera się płyn mózgowo-rdzeniowy. Jeśli widać w nim cechy zapalenia, mamy już wstępne rozpoznanie – wyjaśnia prof. Zajkowska.

W wielu szpitalach na tym etapie badania się kończą, bo nie wszędzie jest możliwość wykonania badań specjalistycznych w kierunku KZM. W takich przypadkach w dokumentację medyczną lekarze wpisują zapalenie mózgu nieznanego pochodzenia (idiopatyczne).

W 2024 r. odnotowano w Polsce 793 przypadki KZM, pięć lat wcześniej zgłoszonych zachorowań było 265.

Chorzy są w różnym stanie – częste jest porażenie splotów barkowych, które uniemożliwia swobodne podniesienie ręki. Zdarza się też porażenie nóg, kłopoty z równowagą. Osoby te wymagają długotrwałej rehabilitacji.

Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego jako możliwe powikłania KZM wymienia również: zaniki mięśni, padaczkę, depresję, zaburzenia koncentracji i pamięci. U dzieci skutkiem zakażenia mogą być trudności z nauką.

Prof. Zajkowska opowiada też o pacjentach, którzy nie zapamiętali samego zakażenia, ale widzą jego skutki: – Ktoś zgłasza się do lekarza, bo zauważył osłabienie ręki albo np. mniejszy obwód uda i mówi, że schudła mu jedna noga. Po badaniach okazuje się, że ma w organizmie przeciwciała przeciwko KZM.

Wiele osób myśli, że skoro nie chodzą do lasu, to problem chorób odkleszczowych ich nie dotyczy. Jednak z ankiet przeprowadzonych wśród osób, które z powodu kleszcza leżały w szpitalu, wiemy, że 90 proc. z nich w tygodniach poprzedzających zachorowanie nie było w lesie. Kleszcza spotkały koło domu.

LEKARZE ZA MAŁO MÓWIĄ O SZCZEPIONCE

Z raportu przygotowanego przez Ośrodek Badań Socjomedycznych Uniwersytetu Warszawskiego wynika, że: • tylko 6 proc. badanych Polaków usłyszało od lekarza, że warto się zaszczepić przeciwko KZM; • 41 proc. Polaków w ogóle nie wie, że taka szczepionka istnieje; • zaledwie 10 proc. z nas jest zaszczepionych (prawie 12 proc. kobiet i 8,6 proc. mężczyzn).

– Lekarze to najsłabsze ogniwo systemu szczepień przeciwko KZM. Gdyby częściej informowali pacjentów o możliwości szczepienia, wynik byłby zdecydowanie lepszy. Przez brak informacji od lekarzy, wielu Polaków traktuje tę chorobę jako mało prawdopodobne zagrożenie – mówi prof. Tomasz Sobierajski, kierownik autor raportu o wiedzy na temat KZM.

Na ukłucie kleszcza bardziej narażone są osoby, które mają psa lub wychodzącego z domu kota. Zwierzęta przenoszą kleszcze na grzbiecie.

Czy szczepionka przeciwko KZM jest skuteczna?

– Od lat korzystają z niej leśnicy i nie mieliśmy żadnego przypadku zachorowań w tej grupie zawodowej – mówi prof. Zajkowska. ●

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34375159

Prezydent Miasta Gniezna

ogłasza I przetarg ustny nieograniczony

na sprzedaż nieruchomości stanowiącej własność Miasta Gniezna, położonej przy ulicy Marii Konopnickiej w Gnieźnie.

WM.6840.22.2022

I. Dane dotyczące przedmiotu przetargu:
Przedmiotem przetargu jest nieruchomość stanowiąca własność Miasta Gniezna, oznaczona w ewidencji gruntów jako działka numer 38/6 o pow. 8731 m² na arkuszu numer 64, dla której Sąd Rejonowy w Gnieźnie prowadzi księgę wieczystą pod oznaczeniem PO1G/00029516/4.
Nieruchomość zabudowana pozostałościami budynku po dawnej hali sportowej, usytuowana jest na obszarze miasta o istniejącym zagospodarowaniu mieszkaniowym wielorodzinnym i usługowym.
Budynek hali pełnił funkcję sportowo – dydaktyczną, wybudowany prawdopodobnie w okresie przedwojennym. Fragmenty działki zagospodarowane dawnym boiskiem i pozostałościami po rozebranej hali sportowej oraz resztkami ogrodzenia. Teren wokół porośnięty trawą, drzewami, zakrzaczony.
Zgodnie z decyzją Powiatowego Inspektora Nadzoru Budowlanego w Gnieźnie Gmina Miasto Gniezno dokonała rozbiórki budynku, który nagle uległ katastrofie budowlanej.
Nieruchomość znajduje się na terenie objętym aktualnym miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego terenu w rejonie ulicy Konopnickiej w Gnieźnie, zatwierdzonego Uchwałą nr XXII/307/2020 Rady Miasta Gniezna z dnia 24.06.2020 r. Zgodnie z ustaleniami m. p. z. p. działka przeznaczona jest pod teren zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej i usługowej - symbol planu – **„MW/U"** wraz z pasem zieleni izolacyjnej oraz występującą strefą o wysokim poziomie wód gruntowych.
Działka położona jest w granicach archeologicznej strefy ochrony konserwatorskiej.
Zgodnie z zapisami m. p. z. p. obsługę komunikacyjną terenu ustala się z terenu drogi publicznej klasy dojazdowej KD-D.
Dojazd do nieruchomości prowadzi od strony ścisłego centrum miasta poprzez ul. Wrzesińską – wylotowa droga w kierunku Wrześni. Dojazd do działki następuje drogą mieszanej konstrukcji, z kostki betonowej oraz szutrową na odcinku sąsiadującym z wyceniana działką. Wjazd do działki następuje z pasa drogowego o nieurządzonym charakterze.
Działka znajduje się w sąsiedztwie pełnego uzbrojenia sieci: energetycznej, wodociągowej, kanalizacyjnej gazowej. Niezbędną infrastrukturę techniczną nabywca wykona we własnym zakresie i na własny koszt, na warunkach określonych przez dysponentów poszczególnych sieci.
W dziale III księgi wieczystej (obciążenia i ograniczenia) i dziale IV księgi wieczystej (hipoteki) brak jest jakichkolwiek wpisów. Na przedmiotowej nieruchomości nie ciążą żadne ograniczenia ani ograniczone prawa rzeczowe ustanowione na rzecz osób trzecich.
Działka jest ogólnodostępna, niezabezpieczona przed dostępem osób nieuprawnionych do przebywania na terenie.
Nabywca przejmuje nieruchomość w stanie istniejącym.

II. Przetarg odbędzie się dnia 15 lipca 2025 roku o godz. 10:00 w budynku Urzędu Miejskiego w Gnieźnie, ul. Lecha 6, parter, sala nr 9.

III. Cena wywoławcza, wadium :
Cena wywoławcza wynosi: **4 250 000,00 zł.**
Wadium: 850 000,00 zł.
Wadium w wysokości wyżej wskazanej należy wpłacić na rachunek bankowy Urzędu Miejskiego w Gnieźnie, nr: 07 9065 0006 0000 0000 6956 0009, w Banku Spółdzielczym w Gnieźnie z takim wyprzedzeniem, aby w dniu 11 lipca 2025 roku środki znajdowały się na tym koncie.
Na przelewie należy wpisać „Wadium - sprzedaż ul. Marii Konopnickiej dz. 38/6".
Wadium wniesione przez uczestnika, który przetarg wygrał zalicza się na poczet ceny nabycia. Pozostałym uczestnikom zwraca się wadium na wskazany przez uczestnika rachunek bankowy nie później niż przed upływem 3 dni od dnia zamknięcia przetargu. Wadium ulega przepadkowi w razie uchylenia się uczestnika, który przetarg wygrał od zawarcia umowy notarialnej.

IV. Warunki przetargu:
W przetargu mogą brać udział osoby fizyczne i prawne, które:
- w terminie wpłacą wadium w podanej wyżej wysokości;
- przedłożą komisji przetargowej przed otwarciem przetargu: dowód wniesienia wadium, w przypadku osób fizycznych dowód tożsamości, w przypadku osób prawnych i jednostek organizacyjnych nie posiadających osobowości prawnej, a podlegających wpisowi do rejestrów aktualny wpis, właściwe pełnomocnictwa, dowody tożsamości osób reprezentujących podmiot;
- oświadczą, że dokonały wizji lokalnej w terenie oraz zdobyły konieczne informacje o przedmiocie przetargu i zapoznały się z warunkami przetargu.
- Prezydent Miasta Gniezna może odwołać przetarg z ważnych powodów, niezwłocznie podając informacje o odwołaniu przetargu do publicznej wiadomości, poprzez wywieszenie w siedzibie Urzędu Miejskiego w Gnieźnie, ogłoszenie w prasie, a także na stronie internetowej Urzędu Miejskiego, podając przyczynę odwołania przetargu.

V. Publikacja:
Ogłoszenie o przetargu podlega wywieszeniu na okres 60 dni na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Gnieźnie oraz ukazuje się na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Gnieźnie. Informację o ogłoszeniu przetargu podaje się do publicznej wiadomości przez zamieszczenie wyciągu z ogłoszenia w prasie codziennej ogólnokrajowej.

Szczegółowych informacji można zasięgnąć w Urzędzie Miejskim w Gnieźnie, Wydział Majątku Miasta, tel. 61 426 04 91.

www.nekrologi.wyborcza.pl/34375070

Z głębokim smutkiem i poruszeniem przyjęliśmy wiadomość
o tragicznej śmierci

lek. Tomasza Soleckiego

który zginął w wyniku brutalnego ataku w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie.

W imieniu własnym oraz całego samorządu lekarskiego
składam najszczersze wyrazy współczucia

Rodzinie, Bliskim, Przyjaciołom,
a także wszystkim współpracownikom Zmarłego.

Niech spoczywa w pokoju!

Łukasz Jankowski
Prezes Naczelnej Rady Lekarskiej

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34375204

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34374608

W Sądzie Rejonowym w Raciborzu
w sprawie **Ns 1/25** z wniosku
Powszechnej Kasy Oszczędności Bank
Polski Spółki Akcyjnej z siedzibą
w Warszawie toczy się postępowanie
o stwierdzenie nabycia spadku
po **Bożenie Kowalskiej** zmarłej dnia
24.01.2024r. w Raciborzu.

Sąd wzywa spadkobierców, aby
w terminie 3 miesięcy od daty
publikacji ogłoszenia zgłosili
i udowodnili nabycie spadku, gdyż
w przeciwnym razie mogą być
pominięci w postanowieniu
o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34374594

W Sądzie Rejonowym w Mikołowie
w I Wydziale Cywilnym w sprawie
o sygnaturze akt **I Ns 441/24** toczy się
postępowanie z wniosku Celiny Groborz
o stwierdzenie nabycia spadku
po **Franciszku Dziugiewiczu**, synu Michała
i Marceli, zmarłym w dniu 2 kwietnia 2015
roku, którego ostatnim miejscem
zamieszkania były Łaziska Górne.

Sąd wzywa spadkobierców, aby w terminie
trzech miesięcy od dnia ukazania się
ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie
spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą
zostać pominięci w postanowieniu
o stwierdzeniu nabycia spadku
po Franciszku Dziugiewiczu.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34374983

STAROSTA STARACHOWICKI
GNOŚ.6821.6.2025

Starachowice, dnia 29.04.2025 r.

OGŁOSZENIE

Na podstawie art. 113 ust. 5 i 6, art. 114 ust 3 i 4 w związku z art. 124a ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (tekst jedn. Dz. U. z 2024 r. poz. 1145 ze zm.)

STAROSTA STARACHOWICKI

zawiadamia o zamiarze wszczęcia postępowania w sprawie ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości położonej w miejscowości Wawrzeńczyce, obręb 0034, gmina Pawłów, oznaczonej jako działka nr 4/1 o pow. 0,5784 ha, której stan prawny jest nieuregulowany, poprzez zezwolenie Gminie Pawłów na przeprowadzenie przewodów i urządzeń elektroenergetycznych tj. budowę słupa oświetleniowego i napowietrznej linii elektroenergetycznej oświetlenia ulicznego typu AsXSn 2x25mm² oraz ustanowienie pasa strefy kontrolowanej projektowanej sieci o szerokości 1,0 m (po 0,5 m po obu stronach od osi przewodu).
W związku z powyższym, jeżeli w terminie 2 miesięcy od dnia niniejszego ogłoszenia nie zgłoszą się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do opisanych nieruchomości, zostanie wszczęte postępowanie w sprawie ograniczenia sposobu korzystania z nieruchomości.

Z up. Starosty
Podinspektor
Monika Janikowska

eprasa.pl cd54021495

OBWIESZCZENIE O WSZCZĘCIU POSTĘPOWANIA

Na podstawie art. 8 ust. 1 pkt 3 i ust. 1a w związku z art. 38 pkt 7 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. *o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu* (Dz.U.2024.1286) – dalej: *Specustawa* oraz art. 49 i art. 61 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. *Kodeks postępowania administracyjnego* (Dz.U.2024.572) – dalej: Kpa,

WOJEWODA MAŁOPOLSKI

zawiadamia się, że 3 marca 2025 r. zostało wszczęte postępowanie administracyjne w sprawie wydania decyzji o ustalenie lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu dla inwestycji pn.: ***Budowa gazociągu średniego ciśnienia DN250 MOP 0,5MPa w m. Maruszyna, m. Skrzypne, m. Bańska Wyżna, gm. Szaflary, pow. Nowotarski, woj. Małopolskie,*** na wniosek inwestora: **Polskiej Spółka Gazownictwa Sp. z o.o., ul. Wojciecha Bandrowskiego 16, 33-100 Tarnów**, działającego przez pełnomocnika (wniosek złożony w Małopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Krakowie: 3 marca 2025 r., uzupełniony 9 kwietnia 2025 r.).

Inwestycją objęte są niżej wymienione nieruchomości (lub ich części), położone w granicach terenu wskazanego we wniosku, zlokalizowane w województwie małopolskim, na terenie powiatu nowotarskiego, w gminie Szaflary:
obręb 0004 Maruszyna: 8105/2 (NS1T/00067653/3), 8105/1 (NS1T/00067653/3), 8106/2 (NS1T/00091574/2), 8106/1 (NS1T/00087177/8), 8107/1 (NS1T/00087177/8), 8107/2 (NS1T/00177036/6), 8108/1 (NS1T/00101360/3), 8108/2 (NS1T/00069901/1), 8109/1 (NS1T/00069901/1), 8109/2 (NS1T/00047402/3), 8249/1 (NS1T/00160652/8), 8059/2 (NS1T/00077961/8), 7591/1 (NS1T/00059296/3), 7591/2 (NS1T/00149287/5), 7585/2 (NS1T/00149287/5), 7585/1 (NS1T/00149287/5), 7584/2 (NS1T/00109413/6), 7584/1 (NS1T/00109413/6), 7577 (NS1T/00135720/2), 7576 (NS1T/00135720/2), 7569 (NS1T/00084476/3), 7568/2 (NS1T/00089493/3), 7568/1 (NS1T/00084476/3), 7561/1 (NS1T/00059296/3), 7561/2 (NS1T/00059296/3), 7560 (NS1T/00133633/1), 7552 (NS1T/00119723/5), 7551 (NS1T/00091332/4), 7550 (NS1T/00073215/6), 7545 (NS1T/00059114/4), 7432 (brak KW), 7424 (NS1T/00059296/3), 7385/3 (NS1T/00108769/9), 7385/2 (NS1T/00108769/9), 7385/1 (NS1T/00108769/9), 7380 (NS1T/00108769/9), 7330/4 (NS1T/00155449/4), 7330/5 (NS1T/00091333/1), 7330/1 (NS1T/00144407/8), 9053/1 (NS1T/00091795/7), 9053/2 (brak KW), 7282/4 (NS1T/00152114/6), 7282/3 (NS1T/00152114/6), 7282/2 (NS1T/00152114/6), 7282/1 (NS1T/00068449/7), 7270/1 (NS1T/00171713/4), 7270/2 (NS1T/00059135/7), 7211/2 (NS1T/00161273/4), 7211/1 (NS1T/00053405/9), 7211/3 (NS1T/00121787/8), 7213 (NS1T/00159683/4), 7200/1 (NS1T/00159683/4), 7200/2 (NS1T/00159683/4), 7146 (NS1T/00159683/4), 8290 (NS1T/00160652/8), 7145 (NS1T/00089873/1), 7140/2 (NS1T/00089873/1), 7140/1 (NS1T/00089873/1), 7092 (NS1T/00089873/1), 7087 (NS1T/00107192/6), 7028/4 (NS1T/00107192/6), 7026/3 (NS1T/00107193/3), 7026/2 (NS1T/00060313/9), 7027/3 (NS1T/00060313/9), 7027/1 (NS1T/00060313/9), 7027/2 (brak KW), 7028/2 (brak KW), 7020 (NS1T/00091633/4), 7021 (NS1T/00091633/4), 6968/2 (NS1T/00136655/2), 6968/1 (NS1T/00125318/8), 6964 (NS1T/00142302/8), 6917 (NS1T/00142302/8), 6900/1 (NS1T/00136535/5), 6902/9 (NS1T/00059747/0), 6902/8 (NS1T/00164161/7), 6832/9 (NS1T/00167481/7), 6832/7 (NS1T/00167481/7), 6832/11 (NS1T/00048878/7), 6832/4 (NS1T/00048878/7), 6814/4 (NS1T/00048878/7), 6814/3 (brak KW), 6814/1 (brak KW), 6755 (NS1T/00137988/2), 6734 (NS1T/00053447/5), 6731 (NS1T/00041532/1), 8714 (NS1T/00041696/8), 6610 (NS1T/00096275/1), 6601 (NS1T/00096275/1), 6582 (NS1T/00064887/1), 6354 (NS1T/00100022/5), 6352 (NS1T/00050826/5), 6349 (NS1T/00050826/5), 8225 (brak KW), 6350 (NS1T/00050826/5), 6351 (NS1T/00050826/5), 6323/3 (NS1T/00068216/5), 6323/5 (NS1T/00168629/4), 6323/1 (NS1T/00068307/0), 6318 (NS1T/00068307/0), 6297/1 (NS1T/00108454/8), 6297/2 (NS1T/00052758/1), 6288 (brak KW), 6213 (NS1T/00117750/9), 6211 (NS1T/00051954/8), 6210 (NS1T/00051954/8), 6198 (NS1T/00105360/1), 6197/2 (NS1T/00105360/1), 6022/2 (NS1T/00105360/1), 8226 (NS1T/00160652/8), 6020/2 (NS1T/00105360/1), 5935/6 (NS1T/00153301/1), 5938/2 (NS1T/00153301/1), 5938/1 (brak KW), 5912/3 (NS1T/00070262/9), 5912/2 (NS1T/00103286/4), 5912/1 (NS1T/00058199/6), 5771/1 (NS1T/00116350/8), 5771/2 (NS1T/00051807/3), 8227/1 (brak KW), 5747/2 (NS1T/00098980/0), 5749/5 (NS1T/00060289/1), 5749/4 (NS1T/00060289/1), 5749/3 (NS1T/00060289/1), 5689 (brak KW), 5671 (brak KW), 5666/2 (NS1T/00148205/0), 5666/1 (NS1T/00112791/3), 5640 (NS1T/00112791/3), 5631/4 (NS1T/00112791/3), 5631/1 (NS1T/00112791/3), 5631/6 (NS1T/00066402/2), 8229 (NS1T/00079888/6), 5611 (NS1T/00079888/6), 5568 (NS1T/00006652/1), 5547 (NS1T/00057249/5), 8230/3 (NS1T/00057249/5), 5548/9 (NS1T/00057249/5), 5548/8 (NS1T/00069080/9), 5548/2 (NS1T/00057249/5), 5548/3 (brak KW), 5476/1 (NS1T/00118045/1), 5451 (NS1T/00090922/0), 5452/1 (NS1T/00090922/0), 5452/2 (NS1T/00090922/0), 8233 (NS1T/00056119/8), 5430 (NS1T/00056119/8), 5414 (NS1T/00108008/7), 5367 (NS1T/00069508/6), 5366 (NS1T/00069508/6), 5345/2 (NS1T/00068955/7), 5345/1 (NS1T/00068955/7), 5286 (NS1T/00129210/9), 8234 (brak KW), 5285/2 (NS1T/00129210/9), 5285/3 (NS1T/00100080/9), 5261 (NS1T/00100080/9), 5202/1 (NS1T/00064877/8), 5202/2 (NS1T/00064877/8), 5203/2 (NS1T/00064877/8), 5203/1 (NS1T/00064877/8), 5176/2 (NS1T/00064877/8), 5176/1 (NS1T/00175102/6), 5177/2 (NS1T/00175102/6), 8235 (NS1T/00175102/6), 5116/1 (NS1T/00175102/6), 5116/2 (NS1T/00140816/0), 5115/2 (NS1T/00140816/0), 8236 (NS1T/00154143/2), 5094/2 (NS1T/00100082/3), 5094/1 (NS1T/00154143/2), 5022/2 (brak KW), 5022/1 (NS1T/00109627/9), 5003 (NS1T/00148915/0), 4951/2 (NS1T/00148915/0), 4951/1 (brak KW), 4934 (brak KW), 8237 (brak KW), 4935 (brak KW), 4873 (NS1T/00062121/0), 4850/8 (NS1T/00148180/8), 4850/7 (NS1T/00053366/3), 4850/94 (brak KW), 4850/88 (NS1T/00085400/7), 4850/102 (NS1T/00085400/7), 4850/101 (NS1T/00182915/0), 4850/89 (brak KW), 4850/3 (NS1T/00061156/7), 4850/104 (NS1T/00125754/6), 4850/103 (NS1T/00126692/0), 4808/1 (NS1T/00125600/2), 8283 (NS1T/00160652/8), 4794/10 (NS1T/00095382/7), 4794/9 (NS1T/00083609/8), 4794/8 (NS1T/00163239/8), 4795/3 (NS1T/00101920/7), 4757/6 (NS1T/00013266/0), 4757/3 (NS1T/00091573/5), 4747/1 (NS1T/00108226/1), 4747/2 (NS1T/00056541/5), 4705/10 (NS1T/00138502/9), 4705/7 (NS1T/00105700/7), 4705/8 (NS1T/00105700/7), 4694/2 (NS1T/00125754/6), 4694/1 (NS1T/00061156/7), 8239 (brak KW), 4645/2 (NS1T/00072305/7), 4645/1 (brak KW), 4640/2 (NS1T/00108227/8), 4640/1 (NS1T/00044584/1), 4590/5 (brak KW), 4590/7 (brak KW), 4548/2 (NS1T/00149492/5), 4548/1 (NS1T/00090951/2), 4505/2 (NS1T/00090954/3), 4505/1 (NS1T/00090954/3), 4504 (NS1T/00105761/2), 4442/6 (NS1T/00117146/2), 4458/2 (NS1T/00105761/2), 4442/3 (NS1T/00117146/2), 4392/6 (NS1T/00117146/2), 4392/3 (NS1T/00117146/2), 4371 (NS1T/00181734/0), 4322 (NS1T/00172788/7), 4321 (NS1T/00095426/8), 4274 (NS1T/00052571/6), 4275 (NS1T/00052571/6), 4232/1 (NS1T/00065205/4), 4191/10 (NS1T/00161355/3), 4191/9 (NS1T/00095426/8), 4191/3 (NS1T/00095426/8), 4168/1 (brak KW), 4135/3 (NS1T/00060023/9), 4112/2 (NS1T/00060023/9), 4112/3 (NS1T/00060023/9), 4112/4 (NS1T/00060023/9), 4090/3 (NS1T/00068999/7), 4071/2 (NS1T/00068999/7), 4071/1 (NS1T/00103780/7), 4041/2 (NS1T/00097932/2), 4041/1 (NS1T/00061607/4), 3976/2 (NS1T/00023942/6), 3976/1 (NS1T/00172702/1), 3930/5 (NS1T/00095652/1), 4040 (NS1T/00061607/4), 8984 (NS1T/00118330/6), 3931 (NS1T/00097019/6), 3927/4 (NS1T/00102545/1), 8983 (NS1T/00118330/6), 3927/2 (NS1T/00072364/8), 3927/1 (NS1T/00139494/6), 3803 (NS1T/00072312/9), 3743 (NS1T/00072312/9), 3698 (NS1T/00072312/9), 3651 (NS1T/00157670/6), 8240 (brak KW), 3617/5 (NS1T/00105143/4), 3617/10 (brak KW), 3617/16 (NS1T/00153939/2), 3617/15 (NS1T/00083082/7), 3617/13 (NS1T/00083082/7), 3613/2 (NS1T/00051951/7), 3613/18 (NS1T/00053042/6), 3613/19 (NS1T/00051024/0), 8241 (brak KW), 8482 (NS1T/00075668/0), 3460/5 (NS1T/00062159/5), 3460/4 (NS1T/00072303/3), 8649 (NS1T/00102910/1), 8648 (NS1T/00102910/1), 8242 (brak KW), 8480/2 (NS1T/00071096/1), 3377/2 (NS1T/00056534/3), 8276 (NS1T/00056534/3), 3330/2 (NS1T/00056534/3), 3330/1 (NS1T/00079840/8), 3299/5 (NS1T/00079840/8), 3299/4 (NS1T/00079840/8), 3299/7 (NS1T/00135721/9), 8275/2 (NS1T/00135721/9), 3247/2 (NS1T/00135721/9), 3246 (NS1T/00050623/2), 3214 (brak KW), 3155/15 (NS1T/00147990/2), 3155/12 (NS1T/00139998/9), 3155/11 (NS1T/00057364/7), 3122/7 (NS1T/00120742/4), 3122/6 (NS1T/00101800/0), 3122/4 (NS1T/00131183/7), 3122/3 (NS1T/00119141/1), 3048/5 (NS1T/00119141/1), 3048/2 (NS1T/00119141/1), 3048/3 (NS1T/00119141/1), 3007/2 (NS1T/00119141/1), 3007/4 (NS1T/00069996/3), 3007/3 (NS1T/00062869/5), 2959/4 (NS1T/00072302/6), 2959/1 (brak KW), 2952 (brak KW), 2890 (NS1T/00127021/3), 2856 (NS1T/00063087/6), 2857 (NS1T/00063087/6), 2820 (NS1T/00063087/6), 2785 (NS1T/00072311/2), 8470 (NS1T/00072311/2), 2754 (NS1T/00125085/5), 2703 (NS1T/00105123/8), 2666 (NS1T/00041895/3), 2582/3 (brak KW), 2582/4 (brak KW), 2564/2 (NS1T/00073732/6), 2564/1 (NS1T/00073732/6), 2560 (NS1T/00037929/0), 2558 (NS1T/00037929/0), 8245/1 (NS1T/00160652/8), 2532 (NS1T/00045425/6), 2559 (NS1T/00037929/0), 2565/1 (NS1T/00073732/6), 2566/1 (NS1T/00073731/9), 2557 (brak KW), 2566/2 (NS1T/00073731/9), 2582/7 (brak KW), 2670 (NS1T/00041895/3), 2689/1 (NS1T/00105122/1), 2689/2 (NS1T/00133899/3), 2761 (NS1T/00125085/5), 2762 (NS1T/00125085/5), 2763 (NS1T/00125085/5), 2686 (NS1T/00133901/1), 2765 (NS1T/00125085/5), 2775 (NS1T/00051951/7), 2774 (NS1T/00051951/7), 2829 (NS1T/00064100/1), 2840 (NS1T/00064100/1), 2839 (NS1T/00064100/1), 2970 (NS1T/00072311/2), 2965 (NS1T/00183324/7), 2987/1 (NS1T/00064099/0), 2987/2 (NS1T/00064099/0), 2987/3 (NS1T/00151408/7), 2987/4 (NS1T/00069996/3), 2987/5 (NS1T/00069996/3), 3058 (NS1T/00052085/2), 3059 (NS1T/00052085/2), 8311/4 (brak KW), 8311/7 (brak KW), 3060 (brak KW), 3142/1 (NS1T/00099953/9), 3142/2 (NS1T/00180785/5), 3134 (NS1T/00077491/2), 3226/1 (NS1T/00077491/2), 3226/2 (NS1T/00043991/0), 3227/1 (NS1T/00043991/0), 3227/2 (NS1T/00043391/4), 3229/1 (NS1T/00043991/0), 3229/2 (NS1T/00043991/0), 3312/1 (brak KW), 8059/5 (NS1T/00130098/7), 7147 (NS1T/00089873/1), 7028/3 (NS1T/00060313/9), 7028/1 (NS1T/00060313/9), 7026/1 (NS1T/00060313/9), 6916/1 (NS1T/00048877/0), 6914/3 (NS1T/00158666/2), 6899/1 (NS1T/00090812/6), 6827/3 (NS1T/00129298/9), 6733 (NS1T/00053447/5), 6730 (NS1T/00041532/1), 8567 (NS1T/00050826/5), 6583 (NS1T/00064801/5), 8568 (NS1T/00050826/5), 8569 (NS1T/00064801/5), 6584/2 (NS1T/00064887/1), 6020/1 (NS1T/00126620/8), 5937/1 (brak KW), 5913/3 (NS1T/00132139/1), 5913/2 (NS1T/00103286/4), 5913/1 (NS1T/00058199/6), 5770/1 (NS1T/00116350/8), 5476/2 (brak KW), 5203/3 (NS1T/00064877/8), 5202/3 (NS1T/00064877/8), 5177/1 (NS1T/00064877/8), 4872/1 (NS1T/00062121/0), 4850/109 (NS1T/00069371/6p), 4758/2 (NS1T/00118157/9), 4233/3 (NS1T/00183532/8), 9040/1 (NS1T/00109811/6), 3377/1 (NS1T/00111739/4), 3155/14 (NS1T/00139998/9), 3378 (NS1T/00071096/1), 2787 (NS1T/00072311/2), 2753 (NS1T/00125085/5), 2565/2 (NS1T/00073732/6), 2582/8 (NS1T/00044544/9), 2688 (NS1T/00133901/1), 2777 (NS1T/00051951/7), 2684 (NS1T/00133900/4), 2683 (NS1T/00133900/4), 2766 (NS1T/00125085/5), 2773 (NS1T/0-0051951/7), 2830 (NS1T/00064100/1), 2969 (NS1T/00072311/2), 3057 (NS1T/00052085/2), 3312/2 (NS1T/00172640/8), 6756 (NS1T/00056037/9)
obręb 0005 Skrzypne: 384/1 (NS1T/00075078/7), 384/2 (NS1T/00111734/9), 384/6 (NS1T/00172642/2), 385/4 (NS1T/00066786/7), 2673 (brak KW), 397/1 (NS1T/00099955/3), 392 (NS1T/00127783/2), 390/1 (NS1T/00099955/3), 391 (NS1T/00045105/7), 398/2 (NS1T/00083608/1), 399/2 (NS1T/00084648/0), 399/3 (NS1T/00111734/9), 400/1 (NS1T/00149625/7), 400/3 (NS1T/00100853/9), 445/7 (NS1T/00081915/2), 445/2 (NS1T/00091637/2), 446/1 (NS1T/00097781/8), 446/2 (NS1T/00107293/4), 465/3 (NS1T/00088386/3), 465/9 (NS1T/00099171/3), 465/10 (NS1T/00122983/9), 495/6 (NS1T/00047070/6), 518/6 (NS1T/00047070/6), 541/1 (NS1T/00088388/7), 561/1 (NS1T/00084020/2), 587/2 (NS1T/00136960/3), 628/1 (NS1T/00065854/8), 690/1 (NS1T/00157083/4), 690/2 (NS1T/00119591/0), 717/1 (NS1T/00132845/3), 2677 (NS1T/00115657/3), 718/6 (NS1T/00180339/4), 746/1 (NS1T/00153627/2), 775/1 (brak KW), 783/2 (NS1T/00099144/5), 809/4 (NS1T/00082499/6), 809/3 (brak KW), 809/5 (NS1T/00126474/6), 2680 (brak KW), 812/1 (NS1T/00153623/4), 835/1 (NS1T/00170477/0), 838/1 (brak KW), 838/2 (brak KW), 838/3 (brak KW), 838/4 (brak KW), 859/1 (NS1T/00037931/7), 863/1 (NS1T/00002801/3), 862 (NS1T/00002801/3), 885/5 (NS1T/00176687/7), 885/7 (NS1T/00075063/9), 886/1 (NS1T/00109426/0), 886/4 (NS1T/00086415/2), 928/4 (NS1T/00122793/0), 928/5 (brak KW), 928/6 (brak KW), 928/16 (brak KW), 928/18 (NS1T/00158774/2), 882/7 (NS1T/00158774/2), 882/8 (brak KW), 931/1 (NS1T/00054631/9), 931/2 (NS1T/00054631/9), 957/1 (NS1T/00062839/6), 975/2 (NS1T/00084382/7), 1002/4 (NS1T/00109427/7), 998/7 (NS1T/00109427/7), 998/8 (NS1T/00164360/2), 1002/6 (NS1T/00109614/5), 1007/6 (NS1T/00109212/7), 1007/8 (NS1T/00150229/1), 2729 (NS1T/00084900/5), 1032/3 (NS1T/00184894/0), 1032/4 (NS1T/00090703/9), 1059/1 (NS1T/00045005/6), 1059/2 (NS1T/00086446/8), 1061/1 (NS1T/00086444/4), 1061/11 (NS1T/00091743/8), 1061/3 (NS1T/00109426/0), 1061/4 (NS1T/00109426/0), 1061/5 (NS1T/00109426/0), 1061/7 (NS1T/00046641/3), 1062/6 (NS1T/00046640/6), 1062/7 (NS1T/00046640/6), 1085/1 (NS1T/00135390/9), 1085/2 (NS1T/00104205/0), 2682/1 (brak KW), 1100/3 (NS1T/00115797/6), 1100/4 (NS1T/00124008/5), 1120/6 (NS1T/00136333/9), 1120/7 (NS1T/00127662/8), 1120/10 (NS1T/00084901/2), 1120/11 (NS1T/00135390/9), 1129/8 (NS1T/00096200/5), 1129/6 (NS1T/00044461/3), 1129/3 (NS1T/00059193/1), 2683/1 (brak KW), 1157/8 (NS1T/00150747/8), 1157/6 (brak KW), 1157/7 (NS1T/00064525/6), 1166/6 (NS1T/00181325/0), 1166/5 (NS1T/00096867/8), 1186/7 (brak KW), 1186/2 (NS1T/00066348/5), 1186/4 (NS1T/00066348/5), 1186/5 (NS1T/00052690/6), 1206/3 (NS1T/00052690/6), 1206/2 (NS1T/00081114/7), 1233/5 (NS1T/00109710/8), 1241/1 (NS1T/00161862/0), 1269/9 (NS1T/00070674/0), 1269/8 (NS1T/00055684/2), 1272/4 (NS1T/00052690/6), 1272/3 (NS1T/00099481/9), 1301/5 (NS1T/00106491/5), 1297/6 (NS1T/00106492/2), 1297/7 (NS1T/00154012/5), 1312/4 (NS1T/00152899/2), 1312/11 (NS1T/00055953/9), 1345/5 (NS1T/00055953/9), 1345/19 (NS1T/00055953/9), 1345/18 (NS1T/00129642/6), 1345/15 (NS1T/00091256/7), 1345/11 (NS1T/00164174/1), 1378/25 (NS1T/00170325/0), 1378/7 (NS1T/00116901/6), 1367/6 (NS1T/00116901/6), 1367/7 (NS1T/00075375/9), 1367/9 (NS1T/00163252/5), 1395/1 (NS1T/00076019/3), 1395/2 (NS1T/00076019/3), 1395/3 (NS1T/00064526/3), 1395/4 (NS1T/00061190/7), 1395/5 (NS1T/00097076/3), 1395/6 (NS1T/00072752/5), 1404/8 (NS1T/00157495/5), 1404/4 (brak KW), 1404/9 (NS1T/00143577/3), 1404/10 (NS1T/00109025/9), 1404/11 (brak KW), 1404/12 (NS1T/00109025/9), 1404/7 (NS1T/00088388/7), 1432/5 (NS1T/00084158/8), 1432/6 (NS1T/00109791/9), 1432/7 (NS1T/00072752/5), 1432/8 (brak KW), 1432/11 (NS1T/00167068/6), 1435/11 (NS1T/00080752/4), 1435/9 (NS1T/00170987/8), 1435/8 (NS1T/00170987/8), 1435/7 (NS1T/00059002/6), 1435/6 (NS1T/00161863/7), 1435/5 (NS1T/00040694/7), 1470/6 (NS1T/00109791/9), 1470/5 (brak KW), 1470/4 (brak KW), 1470/3 (NS1T/00168173/2), 1473/2 (NS1T/00059667/5), 1500/1 (NS1T/00090385/3), 1500/2 (NS1T/00102835/1), 1505/1 (NS1T/00104206/7), 1505/2 (NS1T/00104206/7), 2674 (brak KW), 1032/5 (NS1T/00086449/9), 1157/9 (NS1T/00150722/7), 1228/2 (NS1T/00143577/3), 1285/2 (NS1T/00132117/1), 1301/10 (NS1T/00106493/9), 1317/6 (NS1T/00136302/3), 1354/4 (NS1T/00164174/1)
obręb 0002 Bańska Wyżna: 402/7 (NS1T/00078482/3), 402/6 (NS1T/00097430/3), 402/17 (NS1T/00104034/0), 402/3 (brak KW), 402/29 (NS1T/00095752/2), 402/32 (NS1T/00105017/2), 402/2 (NS1T/00052766/0), 343/2 (NS1T/00177839/5), 300/13 (brak KW), 300/17 (brak KW), 300/23 (NS1T/00053637/4), 300/11 (NS1T/00066867/9), 6160/2 (brak KW), 302/1 (NS1T/00171906/4), 283/1 (NS1T/00099332/0), 262/1 (NS1T/00153408/1), 262/6 (NS1T/00153407/4), 261 (NS1T/00173964/2), 237/1 (NS1T/00164866/9), 237/4 (brak KW), 237/3 (NS1T/00171109/7), 8771 (brak KW), 231/11 (NS1T/00128929/5), 231/1 (NS1T/00093844/0), 200/3 (NS1T/00133149/1), 200/35 (NS1T/00036796/1), 200/18 (NS1T/00121764/1), 200/19 (brak KW), 200/27 (NS1T/00119046/5), 200/30 (NS1T/00096003/4), 229/2 (NS1T/00122854/6)
Na stronie BIP Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie, opublikowano mapy z przebiegiem inwestycji na ww. działkach. Są one dostępne w menu podmiotowym w zakładce: Urząd Wojewódzki/ Wydziały/Infrastruktury/Repozytorium plików/ *Załączniki graficzne do sprawy WI-IV.747.1.5.2025 - Bud* (…) https://bip.malopolska.pl/muw,a,2654538,zalaczniki-graficzne-do-sprawy-wi-iv747152025-budowa-gazociagu-sredniego-cisnienia-dn250-mop-05mpa-w.html
Zainteresowane strony lub ich pełnomocnicy, legitymujący się pełnomocnictwem sporządzonym zgodnie z art. 32 i 33 Kpa, mogą na każdym etapie postępowania, zapoznać się z materiałem dowodowym oraz dokumentacją przedłożoną przez inwestora w siedzibie Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego i w tym przedmiocie wnieść ewentualne uwagi lub zastrzeżenia, powołując się na znak sprawy: WI-IV.747.1.5.2025.
Kontakt z organem zapewniony jest za pośrednictwem wszelkich środków komunikacji zdalnej, w tym komunikacji elektronicznej (np. skrzynka ePUAP - /ag9300lhke/skrytka, adres e-Doręczeń: AE:PL-63706-53716-FRDUR-17, faks - 12 422 72 08; poczta tradycyjna). Uwagi i wnioski należy kierować na adres Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego w Krakowie (ul. Basztowa 22, 31-156 Kraków); osobiście po wcześniejszym uzgodnieniu terminu drogą telefoniczną (12 39-21-612).

POUCZENIA:
Z dniem doręczenia niniejszego zawiadomienia:
1) nieruchomości stanowiące własność Skarbu Państwa lub jednostki samorządu terytorialnego, objęte wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu, nie mogą być przedmiotem obrotu w rozumieniu przepisów o gospodarce nieruchomościami do dnia, w którym decyzja ta stała się ostateczna. Czynność prawna dokonana z naruszeniem tego wymogu jest nieważna;
2) w odniesieniu do nieruchomości objętych wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu, do dnia, w którym decyzja ta stała się ostateczna, nie wydaje się decyzji o pozwoleniu na budowę; toczące się postępowania ulegają zawieszeniu z mocy prawa do dnia, w którym decyzja o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu stała się ostateczna. Na wniosek strony postępowania, po uzyskaniu zgody inwestora, organ prowadzący postępowanie w sprawie wydania decyzji o pozwoleniu na budowę w odniesieniu do nieruchomości objętych wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu podejmuje zawieszone postępowanie;
3) w odniesieniu do nieruchomości objętych wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu, do dnia, w którym decyzja ta stała się ostateczna, zawiesza się postępowania o wydanie decyzji o warunkach zabudowy i zagospodarowania terenu w rozumieniu ustawy z dnia 27 marca 2003 r. *o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym*.

Zawieszenie postępowań, o których mowa w ww. pkt 2 i 3, nie dotyczy postępowań dotyczących terenów zamkniętych ustanowionych przez Ministra Obrony Narodowej lub innych postępowań prowadzonych na wniosek jednostek podległych Ministrowi Obrony Narodowej lub przez niego nadzorowanych lub na rzecz tych jednostek oraz postępowań w sprawie wydania decyzji o warunkach zabudowy i zagospodarowania terenu, decyzji o pozwoleniu na budowę, wszczętych na wniosek inwestora.
W przypadku, gdy po doręczeniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:
1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji w zakresie terminalu,
2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem jw.

- nabywca, a w przypadku, o którym mowa w ww. pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia właściwemu wojewodzie danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.
Niedokonanie ww. zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

eprasa.pl cd54021495

—

Gdy trudno opowiedzieć o śmierci

Napisz wspomnienie

ODESZLI.PL

W Sądzie Rejonowym w Mikołowie w I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt **I Ns 386/24** toczy się postępowanie z wniosku Futurę Niestandaryzowanego Funduszu Inwestycyjnego Zamkniętego Wierzytelności w Warszawie

o stwierdzenie nabycia spadku po Januszu Alfredzie Gawliczku (Gawliczek), synu Alfreda i Elżbiety, zmarłym w dniu 19 września 2023 w Mikołowie, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu był Mikołów.

Sąd wzywa spadkobierców, aby **w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia** zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku po Januszu Gawliczku.

1

Kraj/34374617

KSSE Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU PISEMNYM NIEOGRANICZONYM NA SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI

Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna,

działając w imieniu Prezydenta Miasta Jaworzno, na podstawie art. 12 ustawy z dnia 10 maja 2018 r. o wspieraniu nowych inwestycji (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 459), w oparciu o zarządzenie Prezydenta Miasta Jaworzna nr ON.0050.105.2025 z 1 kwietnia 2025 r. oraz na podstawie ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 z późn. zm.) i § 3 ust. 1 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 r. w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (t.j. Dz. U. z 2021 r., poz. 2213),

informuje,

że na stronie internetowej Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej S.A. www.ksse.com.pl oraz w siedzibie Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej S.A., na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Jaworznie www.bip.jaworzno.pl, w zakładce „Komunikaty i obwieszczenia" – „Nieruchomości" oraz na tablicy ogłoszeń w budynku głównym Urzędu Miejskiego w Jaworznie przy ul. Grunwaldzkiej 33, zostało podane do publicznej wiadomości ogłoszenie o:

I przetargu pisemnym nieograniczonym na sprzedaż prawa własności nieruchomości gruntowej stanowiącej własność Gminy Miejskiej Jaworzno

1. Przedmiotem przetargu jest **prawo własności działki nr 4556 o powierzchni 9,1294 ha w obr. geod. 1026 m. Jaworzna**, położonej przy ul. Jana Pawła II i ul. Radwańskich w Jaworznie, objętej księgą wieczystą **Nr KA1J/00032896/1**, prowadzoną w Sądzie Rejonowym w Jaworznie – Wydziale V Ksiąg Wieczystych. Zgodnie z wpisami zawartymi w ww. księdze wieczystej przedmiotowa nieruchomość stanowi własność Gminy Miasta Jaworzna. Nieruchomość nie jest obciążona żadnymi ograniczonymi prawami rzeczowymi oraz nie jest przedmiotem zobowiązań.
2. Zgodnie z ustaleniami miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego „Piłsudski" w Jaworznie, zatwierdzonego Uchwałą Nr XXIV/322/2008 Rady Miejskiej w Jaworznie z dnia 28 sierpnia 2008 r. (Dz. Urz. Woj. Śl. Nr 182 poz. 3321 z 3 października 2008 r.), przeważająca część nieruchomości położona jest na terenach oznaczonych symbolami **2PU** – tereny zabudowy produkcyjno – usługowej (pow. 82.887 m²) oraz **1ZI** – tereny zieleni izolacyjnej (pow. 7.714 m²).
   Pozostała część nieruchomości położona jest w granicach miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego „Za Rogatką" w Jaworznie, zatwierdzonego Uchwałą Nr XLIX/681/2010 Rady Miejskiej w Jaworznie z dnia 28 października 2010 r. (Dz. Urz. Woj. Śląskiego z dnia 20 stycznia 2011 r. Nr 17 poz. 304), w terenie oznaczonym symbolem **KDG** – droga główna (pow. 693 m²).
   Szczegółowe informacje w przedmiocie obowiązującego dla przedmiotowej nieruchomości planu zagospodarowania przestrzennego oraz dopuszczalnego sposobu jej zagospodarowania uzyskać można w Wydziale Urbanistyki i Architektury Urzędu Miejskiego w Jaworznie, ul. Grunwaldzka 52 (tel. 32 61 81 624).
   Ponadto miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego dostępne są na publicznym portalu planistycznym Miasta Jaworzna.
   Termin zagospodarowania nieruchomości: wykonanie i oddanie do użytkowania obiektów w terminie 5 lat od wydania nieruchomości, potwierdzone decyzją pozwalającą na użytkowanie obiektu.
3. **Cena wywoławcza nieruchomości: 10.792.800,00 zł netto** (dziesięć milionów siedemset dziewięćdziesiąt dwa tysiące osiemset złotych).
   Dostawa części działki położonej w strefach 2PU oraz KDG – opodatkowana VAT, dostawa części działki położonej w strefie 1ZI – zwolniona z podatku VAT.
4. Przetarg na sprzedaż nieruchomości odbędzie się **w dniu 04.07.2025 r. o godz. 12:00 w siedzibie Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej S.A. w Katowicach przy ul. Wojewódzkiej 42.**
5. **Warunki uczestnictwa w przetargu:**
   1) **złożenie pisemnej oferty** w dwóch egzemplarzach w zaklejonej kopercie z napisem: „Przetarg – prawo własności działki nr 4556 obr. geod. 1026 m. Jaworzna" w siedzibie organizatora przetargu w Katowicach przy ul. Wojewódzkiej 42, w terminie do dnia **30.06.2025 r. do godz. 16:00**
   2) **wniesienie w pieniądzu do dnia 30.06.2025 r. wadium w wysokości 1.618.920,00 zł** (słownie: jeden milion sześćset osiemnaście tysięcy dziewięćset dwadzieścia złotych) na rachunek Urzędu Miejskiego w Jaworznie prowadzony **w Banku Handlowym w Warszawie S.A. NRB 51 1030 1159 0000 0000 9206 6029 SUMY DEPOZYTOWE, z dopiskiem: „Przetarg pisemny – działka nr 4556 obr. 1026". Za potwierdzenie wpłaty przyjmuje się datę uznania rachunku bankowego Urzędu Miejskiego w Jaworznie**.
6. Szczegółowe informacje dot. procedury przetargowej uzyskać można w siedzibie Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej S.A. Podstrefy Sosnowiecko-Dąbrowskiej w Sosnowcu, ul. Żytnia 8, tel. 32 298 89 69 oraz w Wydziale Obrotu Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Jaworznie, Plac Górników 5, pok. 19, tel. 32 618 16 36.

Kraj/34374671

KSSE Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU PISEMNYM NIEOGRANICZONYM NA SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI

Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna,

działając w imieniu Prezydenta Miasta Jaworzno, na podstawie art. 12 ustawy z dnia 10 maja 2018 r. o wspieraniu nowych inwestycji (t.j. Dz. U. z 2024 r., poz. 459), w oparciu o zarządzenie Prezydenta Miasta Jaworzna nr ON.0050.106.2025 z 1 kwietnia 2025 r. oraz na podstawie ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 z późn. zm.) i § 3 ust. 1 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 14 września 2004 r. w sprawie sposobu i trybu przeprowadzania przetargów oraz rokowań na zbycie nieruchomości (t.j. Dz. U. z 2021 r., poz. 2213),

informuje,

że na stronie internetowej Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej S.A. www.ksse.com.pl oraz w siedzibie Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej S.A., na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Jaworznie www.bip.jaworzno.pl, w zakładce „Komunikaty i obwieszczenia" – „Nieruchomości" oraz na tablicy ogłoszeń w budynku głównym Urzędu Miejskiego w Jaworznie przy ul. Grunwaldzkiej 33, zostało podane do publicznej wiadomości ogłoszenie o:

I przetargu pisemnym nieograniczonym na sprzedaż prawa własności nieruchomości gruntowej stanowiącej własność Gminy Miejskiej Jaworzno

1. Przedmiotem przetargu jest **prawo własności działki nr 4561 o powierzchni 20,6391 ha w obr. geod. 1026 m. Jaworzna**, położonej przy ul. Jana Pawła II i ul. Radwańskich w Jaworznie, objętej księgą wieczystą **Nr KA1J/00032896/1**, prowadzoną w Sądzie Rejonowym w Jaworznie – Wydziale V Ksiąg Wieczystych. Zgodnie z wpisami zawartymi w ww. księdze wieczystej, przedmiotowa nieruchomość stanowi własność Gminy Miasta Jaworzna. Nieruchomość nie jest obciążona żadnymi ograniczonymi prawami rzeczowymi oraz nie jest przedmiotem zobowiązań.
2. Zgodnie z ustaleniami miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego „Piłsudski" w Jaworznie, zatwierdzonego Uchwałą Nr XXIV/322/2008 Rady Miejskiej w Jaworznie z dnia 28 sierpnia 2008 r. (Dz. Urz. Woj. Śl. Nr 182 poz. 3321 z 3 października 2008 r.), przedmiotowa nieruchomość położona jest na terenie oznaczonym symbolem **1PU** – tereny zabudowy produkcyjno – usługowej (pow. 202.493 m²), **2ZP** – tereny zieleni urządzonej, teren parku (pow. 2.619 m²) oraz **2ZI** – tereny zieleni izolacyjnej (pow. 1.279 m²)**.**
   Szczegółowe informacje w przedmiocie obowiązującego dla przedmiotowej nieruchomości planu zagospodarowania przestrzennego oraz dopuszczalnego sposobu jej zagospodarowania uzyskać można w Wydziale Urbanistyki i Architektury Urzędu Miejskiego w Jaworznie, ul. Grunwaldzka 52 (tel. 32 61 81 624).
   Ponadto miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego dostępny jest na publicznym portalu planistycznym Miasta Jaworzna.
   Termin zagospodarowania nieruchomości: wykonanie i oddanie do użytkowania obiektów w terminie 5 lat od wydania nieruchomości, potwierdzone decyzją pozwalającą na użytkowanie obiektu.
3. **Cena wywoławcza nieruchomości: 24.399.500,00 zł netto** (dwadzieścia cztery miliony trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy pięćset złotych).
   Dostawa części działki położonej w strefie 1PU – opodatkowana VAT, dostawa części działki położonych w strefach 2ZP i 2ZI – zwolniona z podatku VAT.
   Oferowana cena nabycia nieruchomości musi być wyższa od ceny wywoławczej.
4. Przetarg na sprzedaż nieruchomości odbędzie się **w dniu 04.07.2025 r. o godz. 10:00 w siedzibie Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej S.A. w Katowicach przy ul. Wojewódzkiej 42.**
5. **Warunki uczestnictwa w przetargu:**
   1) **złożenie pisemnej oferty** w dwóch egzemplarzach w zaklejonej kopercie z napisem: „Przetarg – prawo własności działki nr 4561 obr. geod. 1026 m. Jaworzna" w siedzibie organizatora przetargu w Katowicach przy ul. Wojewódzkiej 42, w terminie do dnia **30.06.2025 r. do godz. 16:00**
   2) **wniesienie w pieniądzu do dnia 30.06.2025 r. wadium w wysokości 3.659.925,00 zł** (słownie: trzy miliony sześćset pięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dwadzieścia pięć złotych) na rachunek Urzędu Miejskiego w Jaworznie prowadzony **w Banku Handlowym w Warszawie S.A. NRB 51 1030 1159 0000 0000 9206 6029 SUMY DEPOZYTOWE, z dopiskiem: „Przetarg pisemny – działka nr 4561 obr. 1026". Za potwierdzenie wpłaty przyjmuje się datę uznania rachunku bankowego Urzędu Miejskiego w Jaworznie**.
6. Szczegółowe informacje dot. procedury przetargowej uzyskać można w siedzibie Katowickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej S.A. Podstrefy Sosnowiecko-Dąbrowskiej w Sosnowcu, ul. Żytnia 8, tel. 32 298 89 69 oraz w Wydziale Obrotu Nieruchomościami Urzędu Miejskiego w Jaworznie, Plac Górników 5, pok. 19, tel. 32 618 16 36.

Kraj/34374666

eprasa.pl cd54021495

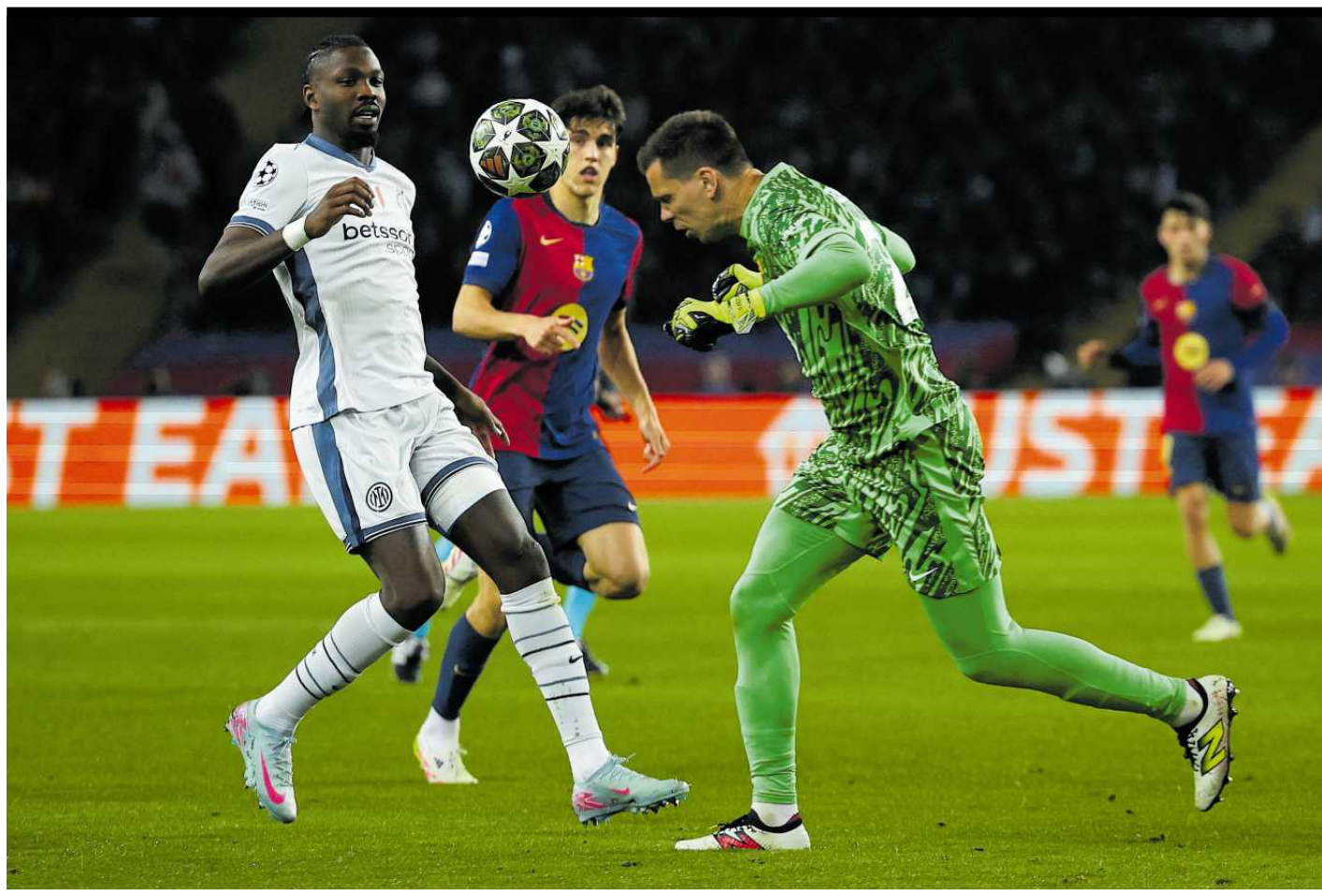

• **W akcji Marcus Thuram i Wojciech Szczęsny**
FOT. REUTERS / ALBERT GEA

Porywający thriller

Katalończycy przegrywali 0:2, potem 2:3, ale ocaleli, wyrównali, wraz z sensacyjnym Interem Mediolan stworzyli fantastyczny spektakl w półfinale Ligi Mistrzów.

Rafał Stec

Jeszcze raz okazało się, że hymn Ligi Mistrzów wyzwala w piłkarzach moce, których istnienia nawet nie podejrzewali. Szczególnie boleśnie odczuł to Wojciech Szczęsny.

Powtórzmy, polskiego kibica ta ballada nie nuży: Polak rozpoczynał sezon jako były piłkarz, bycząc się na środziemnorskiej plaży, a tuż przed jego zakończeniem debiutuje w półfinale Ligi Mistrzów. Kolekcjonuje trofea, powoli zbliża się do roku perfekcyjnego, najlepszego w całej karierze.

Spokoju nie zaznaje jednak prawie nigdy – dzięki defensywnemu roztargnieniu, nawet lekkomyślności Barcelony. I w środę znów doświadczył nieznanego, bo stracił gola po 30 sekundach gry, wcześniej niż ktokolwiek przed nim na etapie półfinału Champions League. W dodatku Marcus Thuram pokonał go w niebanalny sposób, trącając piłkę piętą. Francuz zagrał wspaniale, podobnie jak Denzel Dumfries, który podwyższył prowadzenie gości na 2:0 – on uderzył z powietrza, potężnie, z półobrotu.

Katalońska murawa zadrżała, tego nie spodziewał się nikt.

A mówili, że Inter ledwie zipie

Kiedy obie drużyny mierzyły się poprzednio, również wdały się w pasjonującą wymianę ciosów – zakończoną remisem 3:3, gospodarzy ocalił wówczas w doliczonym czasie gry Robert Lewandowski. Został bohaterem wieczoru, strzelił dwa gole. To jednak działo się w październiku 2022 roku, gdy dławiona głębokim kryzysem Barcelona niespodziewanie odpadała z Ligi Mistrzów już jesienią, natomiast Inter parł ku finałowi. Inna epoka.

Dzisiaj znajdujemy się zupełnie gdzie indziej. Gospodarze środowego półfinału od miesięcy zasłużenie wysłuchują komplementów dla najlepiej grającego zespołu w Europie, a w 2025 roku pozostają poniekąd niepokonani, jako jedyni na kontynencie – niedawna porażka w Dortmundzie nie miała znaczenia, nastąpiła w rewanżu po bezdyskusyjnym 4:0 u siebie. Katalończycy unoszą się nad boiskiem, w miniony weekend ponownie pokonali Real Madryt, tymczasem goście właśnie opadli na ziemię, prawdopodobnie przygniótł ich przeładowany kalendarz rozgrywek. Stracili pozycję lidera włoskiej Serie A, po bolesnym 0:3 z Milanem odpadli z krajowego pucharu, ponieśli trzy porażki z rzędu, w żadnym z oddanych meczów nie zdobyli bramki.

I niewykluczone, że wyjaśnienie widać w danych serwisu FBref.com, z których wynika, iż mediolańczycy wystawiają najstarszą drużynę wśród wszystkich 96 rywalizujących w pięciu czołowych ligach krajowych w Europie – jedyną ze średnią wieku przekraczającą trzydziestkę. W Italii rozbrzmiewają nawet opinie, że trener Simone Inzaghi przeholował, próbując poważnie traktować wszystkie rozgrywki, bo przez nadmiar ambicji zamiast upragnionego kompletu trofeów grozi mu sezon z pustą gablotą. A zdrowy rozsądek nakazywał oczekiwać, że weterani nieuchronnie przywiędną, ich nogi zaczną ważyć więcej.

I ostatnio rzeczywiście sprawiali wrażenie zmordowanych, ale Liga Mistrzów, jako się rzekło, ożywia. Zwłaszcza takich piłkarzy jak mediolańczycy – niedawno mieli tytuł na wyciągnięcie ręki, europejskie wyzwanie musi inspirować ich bardziej niż krajowe.

Co nie znaczy, że w środowy wieczór dominowali. Przeciwnie, faworyci swoim zwyczajem od początku oblegali wrogie pole karne i mieli nawet większe zasługi dla przebiegu wydarzeń, które składały się na fascynujące widowisko.

Jeszcze raz okazało się, że hymn Ligi Mistrzów wyzwala w piłkarzach moce, których istnienia nawet nie podejrzewali

Niepewny Szczęsny

Katalończycy już nie pamiętają, kiedy przegrali ważny mecz, ale oni przebywają na przeciwległym koniuszku klasyfikacji opartej na metrykach piłkarzy – mają ósmą najmłodszą drużynę w czołowych ligach Europy, pomimo obsadzania środka ataku Robertem Lewandowskim (leczy kontuzję). Wokół 36-letniego kapitana reprezentacji Polski krążą przedstawiciele innych generacji, na czele ze zjawiskowym Lamine Yamalem, który wciąż nie osiągnął dorosłości. I jeśli Barcelona wkrótce nie wyhamuje, będzie trzeba się zastanowić, czy nie podziwiamy najznakomitszego niepełnoletniego gracza w dziejach futbolu. Został już mistrzem kontynentu, i to jako jeden z liderów hiszpańskiej kadry, a teraz zmierza po najcenniejsze zaszczyty w rywalizacji klubów.

To on zadał pierwszy cios Interowi, co poprzedził serią piruetów. Jednemu rywalowi uciekł, drugiego minął, potem wbiegł w cały ich tłum, celnie uderzył – on uwielbia przeciskać się w tłoku, manewruje ze swobodą w najmniejszej przestrzeni. Jeśli nie zwolni, urośnie na poważnego pretendenta do triumfu w plebiscycie Złota Piłka.

Yamal strzelił gola kontaktowego, wyrównującego dorzucił Ferran Torres i gdyby nie wynik, w pierwszej połowie wieczór przebiegałby zgodnie z oczekiwaniami. Obaj rywale przez cały sezon uprawiają wszak skrajnie odmienny styl gry. Jak mediolańczycy górują nad wszystkimi w Lidze Mistrzów pod względem kunsztu defensywnego – w ośmiu jesiennych spotkaniach stracili jednego gola! – tak piłkarze Barcelony zawsze wyprawiają się tam, gdzie odwaga przeobraża się w brawurę, ryzykanctwo, poszukiwanie przygód za wszelką cenę.

Tym razem również nacierali uporczywie, w trybie sprinterskim, do utraty tchu wymieniając pozycje, co zmuszało do skrajnego wysiłku – fizycznego i psychicznego – mediolańską defensywę, w której centrum operował Francesco Acerbi, zawodnik o pół roku starszy nawet od Lewandowskiego. Po przerwie już prawie nie rozstawali się z piłką.

I co z tego? Nie dość, że Katalończycy umieją skrzywdzić samych siebie w każdych okolicznościach, niezależnie od klasy przeciwnika, to jeszcze tym razem trafili na wybitnie efektywnych spryciarzy. Interowi wystarczyło raz wyprawić się w ich pole karne, by ponownie objąć prowadzenie. Szaleństwo trwało, przewagę gospodarze mieli głównie teoretyczną, po błyskawicznym wyrównaniu na 3:3 wciąż nie wiedzieliśmy, do jakiego rozstrzygnięcia zmierza thriller w Barcelonie. Zwłaszcza że Szczęsny reagował w sposób daleki od ideału – przed stratą kolejnego goli ocalił go minimalny spalony.

Nie było jednostronnie, było jak w dreszczowcu, w rewanżu może zdarzyć się wszystko. ●

FC Barcelona – Inter Mediolan 3:3 (2:2): Yamal (24.), Torres (38.), Sommer (65., sam.) – Thuram (1.), Dumfries (21., 63.); Arsenal – Paris Saint-Germain 0:1 (0:0): Dembelé (4.). Rewanże we wtorek, 6 maja (Inter – Barcelona) i w środę, 7 maja (PSG – Arsenal). Finał 31 maja w Monachium.

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34375047

OBWIESZCZENIE O WNIESIENIU ODWOŁANIA OD DECYZJI

Na podstawie art. 12 ust. 4 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. *o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu* (Dz.U.2024.1286) oraz art. 49 i 131 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. *Kodeks postępowania administracyjnego* (Dz.U.2024.572)

WOJEWODA MAŁOPOLSKI

zawiadamia, że **zostały wniesione odwołania od decyzji Wojewody Małopolskiego z 24 marca 2025 r. znak: WI-IV.747.1.3.2025** o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycji w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu dla inwestycji pod nazwą: ***„Budowa gazociągu w/c DN500 MOP 5,5 MPa wraz z infrastrukturą towarzyszącą" w ramach zadania: „Gazociąg relacji Oświęcim–Zelczyna DN500 PN 6,3 MPa odcinek: przekładka Kossowa etap 1 – Ryczów – wykonanie dokumentacji projektowej",*** wydanej na wniosek inwestora: ***Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A., ul. Mszczonowska 4, 02-337 Warszawa***. Odwołanie wraz z aktami sprawy (w tym ww. decyzją Wojewody Małopolskiego), zostało przesłane w celu rozpatrzenia do Ministerstwa Rozwoju i Technologii.

34365287

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
GRAFICY: Magdalena Birska, Paweł Kapusta, Tomasz Lebioda, Paweł Lubowicz, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek, Natalia Michalska
KOLPORTAŻ: Michał Szałański
Problemy z dostępnością „Wyborczej" lub z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl

Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, bsky.app/profile/wyborcza.pl, instagram.com/gazeta_wyborcza
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Marta Gądek
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl cd54021495